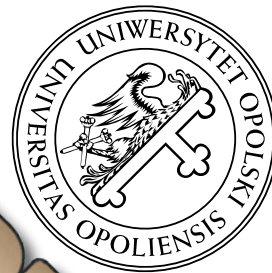


PISMO UNIwersYTETU OPOLSKIEGO

Nr 1–2 (145–146)
ISSN 1427–7506

luty 2014



NUMER 1



Vivat Academia! 20 lat temu powołano Uniwersytet Opolski (fot. Łukasz Morawiec)

W numerze m.in.:

Beski, Cofałka, Czupryna, Dindorf, Duda, Feusette, Gajda, Goczół, Górniak, Hamada, Kozera, Nicieja, Patelski, Piecuch, Pobóg-Lenartowicz, Sadliński, Spątek, Suchoński, Sułek, Suwiński, Wierciński, Woźny

Spis treści

Kronika uniwersytecka	3	<i>Nauczycielka nauczycieli</i> (Adam Suchoński)	71
Kolejne uprawnienia	7	<i>Będzie nam Was brakowało</i> (Anna Pobóg-Lenartowicz)	74
Stypendia dla najlepszych	7	<i>Biblioteka, głupcze!</i> (Stanisław Gajda)	76
Laury Umiejętności i Kompetencji przyznane	8	<i>Związki nie tylko chemiczne</i>	78
Podwójny jubileusz	9	Odeszli: prof. Władysław Lubaś (Stanisław Gajda)	80
Program obchodów święta UO	9	Zmarł Wojciech Kilar, doktor honoris causa UO	82
<i>Od WSP do uniwersytetu</i> (Jerzy Duda)	10	<i>Dwa portrety</i> (Wojciech Dindorf)	83
<i>Magister nr 1</i> (rozmowa z Tadeuszem Bednarcukiem)	15	<i>Kola Nesterowicz. Suplement opolski</i> (Jan Trzos)	87
<i>Pół wieku temu</i> (zdjęcia Pawła Czupryny)	20	<i>Helena Lehr – w stulecie urodzin</i> (Jan Cofałka)	88
<i>Moje uniwersytety wuespowskie</i> (Jan Feusette)	22	Cytaty z importu: <i>Nie bójmy się pasji</i> (Janusz Tazbir)	90
<i>Moja odkrytka na 20 lat uniwersytetu</i> (Zbigniew Górniak)	26	<i>Listy, polemiki</i>	92
<i>Dwa razy niebo i raz ziemia</i> (Bartosz Sadliński)	30	Cytaty z importu: <i>Elity jak spod kiosku z piwem</i> (fragment rozmowy Krzysztofa Ogioldy z prof. Stanisławem S. Nicieją)	93
<i>Marian Załucki – mistrz humoru</i> (Stanisław S. Nicieja)	33	<i>Powrót do domu</i> (Konrad Glombik)	95
<i>Z mrowiskiem – 2</i> (Jan Goczoł)	40	<i>Kilka tysięcy lat w godzinę</i> (Dorota Barcik)	97
<i>Historia w ruinie</i> (Mariusz Patelski)	41	<i>Spory nad zbrodnią</i> (Tomasz Czajka, Kordian Gawlik)	98
<i>Wielka moc słabej płci</i> (Anna Pobóg-Lenartowicz)	46	<i>Dziecięce deficyty rozwojowe</i> (Anna Młynarz, Katarzyna Jaruzel)	100
<i>Grotowski ugodzony śmiechem</i> (Jerzy Beski o opolskim spektaklu <i>Dziadów</i>)	49	<i>Ten mecz wygrali artyści</i>	101
<i>Piosenka o końcu zimy</i> (Bartosz Suwiński)	52	<i>Staropolska kadra poselska</i> (Włodzimierz Kaczorowski)	102
<i>Za szybkie pisanie – 30</i> (Adam Wierciński)	54	<i>To nie jest książka spod igły</i> (Aleksander Woźny)	103
<i>Niepokorny sublokator</i> (Andrzej Hamada)	58	Półka Sułka: <i>Nie potrafię tańczyć tanga</i> (Witold Sułek)	108
<i>Studia ze znakiem zapytania</i> (Bartłomiej Kozera)	61	Noty o autorach	109
Sofa filozofa: <i>Katedra i koloratka</i> (Joachim Piecuch)	62	Nowości wydawnicze	111
<i>Teoria ewolucji znową elit?</i> (relacja z wykładu prof. Adama Łomnickiego)	64		
<i>Gdzie wilki strzegły źródła</i> (Krzysztof Spatek)	66		



Pomieszczenia przyszłego muzeum Uniwersytetu Opolskiego na miesiąc przed otwarciem (fot. Jarosław Mokrzycki)

Indeks. Pismo UO

Wydawca: Uniwersytet Opolski. Adres redakcji: 45-040 Opole, pl. Kopernika 11, Collegium Maius UO, pok. 17
tel. 77 541-60-17, e-mail: indeks@uni.opole.pl, www.indeks.uni.opole.pl. Nakład: 650 egz.

Redaktor naczelna: Barbara Stankiewicz-Buchowska

Zdjęcia: Jarosław Mokrzycki, Tadeusz Parcej. Opieka merytoryczna: prof. Stanisław S. Nicieja

Skład komputerowy: Henryk Kobiela, Druk: ALNUS Sp. z o.o., 30-698 Kraków, ul. Wróblowicka 63, biuro@alnus.pl

Zastrzega się prawo do adiustacji, skrótów, dawania własnych tytułów, śródtytułów, nagłówków, przypisów itp.,
a w przypadku zdjęć i rysunków – własnego kadrowania.

Kronika uniwersytecka

■ **3 grudnia.** Grupa Logiki, Języka i Informacji oraz Wydział Ekonomiczny i Instytut Historii UO to organizatorzy spotkania z prof. dr. hab. Januszem Słodczykiem, prorektorem ds. nauki i finansów UO, który w Auli Błękitnej wygłosił wykład pt. *Logika planowania miast w dziejach*. Więcej na str. 97.

■ **4 grudnia.** Prof. dr hab. Adam Łomnicki, biolog ewolucyjny, ekolog, członek rzeczywisty PAN, członek czynny PAU, Academia Europaea, American Society of Naturalists oraz Komitetu Biologii Ewolucyjnej i Teoretycznej PAN wygłosił w Auli Błękitnej wykład – w ramach Złotej Serii Wykładów Otwartych UO – pt. *Czy Darwinowska teoria ewolucji jest dogmatem współczesnej biologii, czy też zmową elit?* Gościami towarzyszyli: rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja i prof. dr hab. Tadeusz Zatwarnicki, kierownik Samodzielnej Katedry Biosystematyki. Więcej na str. 64.

• Prorektor ds. promocji i zarządzania prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak uczestniczyła w posiedzeniu Komitetu Monitorującego Strategię Rozwoju Woj. Opolskiego, które odbyło się w Urzędzie Marszałkowskim Woj. Opolskiego.

■ **5 grudnia.** *Życie za kratami: tatuaże, subkultury, grypsera więzienna* – to tytuł spotkania, którego gościem był mec. Miłosz Kościelniak-Marszał, a które zorganizowali studenci z Koła Naukowego Prawa Karnego „Wokanda”.

■ **9 grudnia.** W Sali Plafonowej Collegium Maius UO wręczono Nagrody Quality, przyznawane za działalność na rzecz podnoszenia jakości kształcenia w Uniwersytecie Opolskim w roku akademickim 2012/2013. Otrzymali je: dr Izabela Jasicka-Misiak (Wydz. Chemii), mgr Mateusz Musiał (Wydz. Ekonomiczny), dr Katarzyna Molek-Kozakowska (Instytut Filolo-

gii Angielskiej), dr Barbara Curyło (Instytut Politologii), dr Anna Malec (Instytut Studiów Edukacyjnych), prof. dr hab. Tadeusz Nadzieja (Wydz. Matematyki, Fizyki i Informatyki), dr Monika Sporek (Kat. Biotechnologii i Biologii Molekularnej), dr hab. inż. Mirosław Wiatkowski, prof. UO (Katedra Ochrony Powierzchni Ziemi), dr Leszek Bednarski (Wydz. Prawa i Administracji), ks. prof. dr hab. Stanisław Rabiej (Wydz. Prawa i Administracji), mgr Iwona Karpińska (Studium Języków Obcych). W uroczystości wziął udział prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr hab. Marek Masnyk.

■ **9–10 grudnia.** Państwowa Komisja Akredytacyjna wizytowała Wydział Ekonomiczny UO. Członkowie komisji, którym towarzyszyła dziekan prof. dr hab. Stanisława Sokołowska, byli gośćmi prorektorów: prof. dr hab. Janusza Słodczyka i prof. dr hab. Marka Masnyka.

■ **10 grudnia.** W sali koncertowej Państwowej Szkoły Muzycznej w Opolu odbyła się uroczystość wręczenia dyplomów uczniom szkół ponadgimnazjalnych – stypendystom prezesa Rady Ministrów i ministra edukacji narodowej, podczas

której władze Uniwersytetu Opolskiego reprezentował prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr hab. Marek Masnyk.

• W studio Radio-Sygnarów w Studenckim Centrum Kultury kolegowali – wraz ze studentami – prorektorzy Uniwersytetu Opolskiego: prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, prof. dr hab. Janusz Słodczyk oraz prof. dr hab. Marek Masnyk.

■ **11 grudnia.** Prorektor ds. promocji i zarządzania prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak wzięła udział w konferencji pt. *Promocyjne narzędzia przeciwdziałania depopulacji*, która obradowała w Urzędzie Marszałkowskim Woj. Opolskiego.

• Pokaz wieczornego nieba i prelekcja pt. *Skale odległości we wszechświecie* – to główne atrakcje wieczoru otwartego w Obserwatorium Astronomicznym, na które zapraszał Instytut Fizyki UO.

■ **17 grudnia.** Prorektor ds. promocji i zarządzania prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak była gościem *Wigilii słowiańskiej*, zorganizowanej w Studenckim Centrum Kultury UO przez studentów z Koła Naukowego Sławiściów i Koła Naukowego Kultury



4 XII 13. Gościem Złotej Serii Wykładów Otwartych był prof. Adam Łomnicki (na zdjęciu z lewej). Obok – prof. Tadeusz Zatwarnicki i rektor UO prof. Stanisław S. Nicieja

Rosyjskiej oraz Centrum Partnerstwa Wschodniego UO.

■ **18 grudnia.** W Miejskiej Bibliotece Publicznej w Opolu wręczono dyplomy tegorocznym stypendystom prezydenta Miasta Opola. W uroczystości uczestniczył prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr hab. Marek Masnyk. Więcej na str. 7.

• W Warszawie odbyło się pierwsze w tej kadencji posiedzenie Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Jednym z jej 21 członków, powołanych przez ministra kultury Bogdana Zdrojewskiego został rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja, który już raz zasiadał w tej Radzie, jako senator RP. Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa ma za zadanie dbać o zachowanie pamięci walki i męczeństwa narodu polskiego, a także upamiętniać miejsca martyrologii na ziemiach polskich. Jej przewodniczącym jest Władysław Bartoszewski.

■ **8 stycznia 2014.** W Muzeum Diecezjalnym odbyło się spotkanie opłatkowe dla środowiska akademickiego Opola.

■ **9 stycznia.** Rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja spotkał się z czytelnikami swoich książek w Miliczu i Wołowie.

■ **10 stycznia.** Prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk uczestniczył w uroczystości wręczenia Kryształowego, Platynowych, Złotych i Srebrnych Laurów Umiejętności i Kompetencji 2013, która odbyła się w Filharmonii Opolskiej. Więcej na str. 8.

■ **11 stycznia.** Rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja oraz prorektorzy: prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak i prof. dr hab. Janusz Słodczyk wzięli udział w uroczystości święceń biskupich ks. bp. dr. hab. Rudolfa Pierskały mianowanego przez papieża Franciszka biskupem pomocniczym diecezji opolskiej. Uroczystość odbyła się w kościele seminaryjno-akademickim p.w. św. Jadwigi Śląskiej.

■ **13 stycznia.** Koło Naukowe Pedagogiki Międzykulturowej oraz

Studium Doktoranckie przy Instytucie Nauk Pedagogicznych UO to organizatorzy konferencji naukowej dla doktorantów pt. *Wykluczenie i dyskryminacja w systemie edukacji. W poszukiwaniu rozwiązań i dobrych praktyk. Konteksty teoretyczne i praktyczne.*

• Rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja uczestniczył w posiedzeniu Rady Programowej TVP Opole.

■ **14 stycznia.** Rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja, kanclerz Ewa Ruryńkiewicz oraz przedstawiciele Wydziału Przyrodniczo-Technicznego to uczestnicy spotkania z marszałkiem województwa Andrzejem Bułą, które odbyło się w Prószkowie. W dyskusji na temat przejęcia przez uniwersytet budynków pomologii uczestniczyła także burmistrz Prószkowa Róża Malik. Więcej na str. 116.

• Prorektor ds. promocji i zarządzania prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak przyjęła prezesa Pro Media Krzysztofa Krupę i redaktora naczelnego „Nowej Trybuny Opolskiej” Krzysztofa Zyziaka. Rozmowa dotyczyła promocji Uniwersytetu Opolskiego.

• Twórczość zmarłego Wojciecha Kilara, doktora h.c. Uniwersytetu Opolskiego była przedmiotem rozmowy z rektorem prof. dr hab.

Stanisławem S. Nicieją, nagranej w studio Radia Opole.

■ **16 stycznia.** Prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk wziął udział w posiedzeniu Uniwersyteckiej Komisji Nauki. Program spotkania obejmował praktyczne i prawne aspekty realizacji projektów NCN oraz dalszą dyskusję dotyczącą oceny parametrycznej.

• Tegoroczny Dzień Judaizmu w Opolu uświetniła Tanya Segal – pierwsza, stale pracująca w Polsce kobieta – rabin, w latach 2007–2008 rabin pomocnicza Beit Warszawa, od stycznia 2009 – rabin Beit Kraków, która wygłosiła wykład pt. *Rola kobiet w judaizmie.* Halina Łabędzka przedstawiła symbolikę nagrobków kobiecych na przykładzie badań na żydowskim cmentarzu w Opolu, a całość dopełniła muzycznie Schola Gregoriańska Wyższego Seminarium Duchownego pod dyr. ks. Joachima Waloszka.

• W ramach Wielkiej Powtórki z Historii, zorganizowanej przez Instytut Historii UO prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr hab. Marek Masnyk wygłosił wykład dla licealistów pt. *Konsekwencje I wojny światowej jako przyczynę do genezy wybuchu II wojny światowej.*



23 I 2014. Z udziałem rektora UO prof. Stanisława S. Nicieji (na zdjęciu z lewej) obradowała Rada Wydziału Przyrodniczo-Technicznego. Na zdjęciu także: prodziekan dr Krzysztof Badora, dziekan prof. Stanisław Koziarski i prodziekan prof. Maria Ząbkowska-Waławek



28 I 2014. Spotkanie z Regimą Wasiak-Taylor, sekretarz Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, absolwentką opolskiej WSP, prowadził dr Adam Wierciński z Instytutu Polonistyki i Kulturoznawstwa UO (fot. Rafał Mielnik)

■ **17 stycznia.** Prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk wziął udział w konferencji *Studenci zagraniczni w Polsce 2014* zorganizowanej przez Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, KRASP oraz miesięcznik „Perspektywy”.

■ **20 stycznia.** Zostało podpisane porozumienie o współpracy pomiędzy Instytutem Nauk Pedagogicznych UO, reprezentowanym przez prof. dr. hab. Zenona Jasińskiego a Okręgowym Inspektorem Służby Więziennej w Opolu reprezentowanym przez płk Lidę Olejnik, określające zasady realizacji programów resocjalizacyjnych, odbywania praktyk studenckich oraz prowadzenia badań naukowych przez studentów kierunku: pedagogika o specjalności: resocjalizacja z profilaktyką społeczną (studia I stopnia) oraz resocjalizacja (studia II stopnia).

■ **21 stycznia.** Rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja uczestniczył w posiedzeniu Konferencji Rektorów Wrocławia, Opola i Zielonej Góry, które odbyło się na Politechnice Wrocławskiej.

■ **23 stycznia.** Członkowie Rady Wydziału Przyrodniczo-Technicznego UO dyskutowali nad przejęciem obiektów pomologii w Prószkowie. W obradach uczestniczył także rektor UO prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja.

■ **24 stycznia.** Prorektor ds. promocji i zarządzania prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak wzięła udział w debacie dotyczącej Specjalnej Strefy Demograficznej w Opolu, która odbyła się w Urzędzie Marszałkowskim Woj. Opolskiego oraz – w Sali Plafonowej Collegium Maius – w spotkaniu z Komisją ds. Współpracy z Zagranicą Sejmiku Woj. Opolskiego, pod przewodnictwem Norberta Rascha. W spotkaniu wzięli również udział

wolontariusze Centrum Partnerstwa Wschodniego UO – rozmawiano o planach współpracy regionu z państwami zza naszej wschodniej granicy.

28 stycznia. *Ojczyzna literatura. O środowisku skupionym wokół Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie* – to tytuł książki Reginy Wasiak-Taylor, sekretarz Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, którą autorka promowała w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Opolu. Spotkanie prowadził dr Adam Wierciński z Instytutu Polonistyki i Kulturoznawstwa UO. Regina Wasiak-Taylor, absolwentka Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu, była także gościem rektora prof. dr. hab. Stanisława S. Nicieji.

■ **29 stycznia.** Na Uniwersytecie Opolskim gościła delegacja z Ukrainy: Lutsiya Kovalska – dyrektor Liceum im. Marii Konopnickiej we Lwowie, prof. Ivan Ostashchuk – dyrektor Domu Kultury Polskiej i Dialogu Europejskiego w Iwano-Frankowsku Richard Vintsens – nauczyciel historii w Liceum nr 10 we Lwowie, Yanina Ivaschysyn – zastępca kuratora oświaty we Lwowie i Katarina Gorohovska – emeryto-



29 I 2014. Na Uniwersytecie Opolskim gościła delegacja z Ukrainy. Na zdjęciu, w dolnym rzędzie (od lewej): Yanina Ivaschysyn, Lutsiya Kovalska, Katarina Gorohovska, prorektor prof. Wiesława Piątkowska-Stepaniak. W drugim rzędzie (od lewej): prof. Ivan Ostashchuk, dr Ewa Ganowicz, rektor UO Stanisław Sławomir Nicieja, Richard Vintsens

wana naczelnik Wydziału Oświaty we Lwowie, działaczka organizacji oświatowych. Celem wizyty gości z Ukrainy było sfinalizowanie rozmów dotyczących przeprowadzenia w szkołach średnich Lwowa i Stanisławowa olimpiady wiedzy o Europie. Organizatorem olimpiady, która ma się odbyć wiosną tego roku, jest Instytut Politologii UO, a patronat nad tym przedsięwzięciem obejmą: Uniwersytet Opolski i konsulat RP we Lwowie. Ukraińscy goście spotkali się z rektorem UO prof. dr. hab. Stanisławem S. Nicieją i prorektorem ds. promocji i zarządzania prof. dr. hab. Wiesławą Piątkowską-Stepaniak.

■ **30 stycznia.** W Krasiejowie, w obiekcie JuraParku, obradował Senat UO. Ofertę oraz plany rozbudowy JuraParku przedstawili senatorom: wiceprezes Zarządu Stowarzyszenia „Delta” Halina Kisiel i dr Andrzej Boczarowski z Wydziału Nauk o Ziemi Uniwersytetu Śląskiego, paleontolog, członek ekipy tworzącej krasiejowski JuraPark, który przedstawił realizowany już projekt Parku Nauki i Ewolucji Człowieka – obiekt będzie oddany do użytku latem tego roku. O uniwersyteckiej części JuraParku – stanowisku dokumentacyjnym „Trias” opowiadali, przypominając także historię wykopalisk w Krasiejowie, dr hab. Adam Bodzioch, prof. UO, i dr Dorota Konietzko-Meier z Zakładu Paleobiologii UO. Więcej na str. 116.

■ **3 lutego.** Z udziałem rektora UO prof. dr. hab. Stanisława S. Nicieji obradowała Rada Programowa TVP Opole.

■ **4 lutego.** Lesław Tomczak, dyrektor Wojewódzkiego Ośrodka Doskonalenia Informatycznego i Politechnicznego w Opolu był gościem prorektora ds. promocji i zarządzania prof. dr. hab. Wiesławy Piątkowskiej-Stepaniak oraz kanclerz UO Ewy Rurynkiewicz. Przedmiotem rozmowy były działania zmierzające do podniesienia poziomu edukacji w województwie opolskim.

• Prorektor ds. promocji i zarządzania prof. dr. hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak spotkała się z redaktorem naczelnym „Nowej Trybuny Opolskiej” Krzysztofem Zyzikiem oraz prezesem spółki Pro Media Krzysztofem Krupą. Rozmowa dotyczyła promocji Uniwersytetu Opolskiego.

■ **6 lutego.** Prorektor ds. kształcenia i studentów prof. dr. hab. Marek Masnyk podpisał z przedstawicielami Domu Tłumaczeń SOWA w Opolu umowę o współpracy z Uniwersytetem Opolskim.

■ **10 lutego.** Rektor UO prof. dr. hab. Stanisław S. Nicieja wygłosił wykład o dawnych kresach Rzeczypospolitej na Uniwersytecie III Wieku w Kędzierzynie-Koźlu.

■ **20 lutego.** Miejska Biblioteka Publiczna w Sieradzu była organizatorem spotkania z prof. dr. hab. Stanisławem S. Nicieją, podczas którego rektor promował kolejny tom swojej książki pt. *Kresowa Atlantyda*.

Z dniem 1 lutego br. minister gospodarki powołał **prof. dr. hab. inż. Krystynę Czaję** na członka Rady Naukowej Instytutu Chemii Przemysłowej im. prof. Ignacego Mościckiego w Warszawie.

Wcześniej powołana została do Rady Naukowej Instytutu Ciężkiej Syntezy Organicznej „Blachownia” w Kędzierzynie-Koźlu, gdzie już drugą kadencję (od 2008 r.) pełni funkcję przewodniczącej Rady. Od 2007 r., już drugą kadencję, jest członkiem Rady Naukowej Centrum Materiałów Polimerowych i Węglowych Polskiej Akademii Nauk, w której jest przewodniczącą Komisji ds. Kadrowych.

Kapituła Opolskiej Nagrody w dziedzinie Odnawialnych Źródeł Energii przyznała **dr. hab. inż. Mirosławowi Wiatkowskiemu, prof. UO**, statuetkę „Opolska OZE” w kategorii: Działalność na rzecz promocji ekoenergetyki, za przyczynianie się do rozwoju odnawialnych źródeł energii w województwie opolskim i w kraju.

Rozstrzygnięto konkurs na *Debiut naukowy 2013* pod hasłem

Zrównoważony rozwój, zorganizowany przez raciborskie biuro prof. dr. hab. inż. Jerzego Buzka, we współpracy z Wyższą Szkołą Menedżerską w Warszawie, Państwową Wyższą Szkołą Zawodową w Raciborzu, Kołem Naukowym Doktorantów Instytutu Politologii UO oraz Państwową Akademią Nauk Pedagogicznych Ukrainy. Jego zwieńczeniem będzie publikacja monografii *Zrównoważony rozwój – Debiut naukowy 2013*, do której zakwalifikowano kilkadziesiąt artykułów z całej Polski, a wśród nich teksty studentów Uniwersytetu Opolskiego: *Zrównoważony rozwój jako kategoria instrumentalna w budowaniu wizerunku globalnej marki. Analiza przypadku korporacji Hannes and Mauritz (Wiktor Balcer)*; *Nie wszystko złoto, co się świeci: CSR jako manipulacja ideą zrównoważonego rozwoju (Szymon Pytlik)*; *Zrównoważony rozwój w kontekście islamskich tradycji etycznych (Karolina Rojek)*; *Telemedycyna jako przykład realizacji polityki zrównoważonego rozwoju (Sandra Gwóźdź)*; *System jakości ISO 14000 wektorem ku zrównoważonemu rozwojowi. Analiza przypadku miasta Racibórz (Henryk Andrzej Kretek)*. W tomie znajdują się także recenzje wszystkich artykułów nadesłanych w języku polskim oraz recenzje z publikacji obcojęzycznej. Autorem recenzji artykułów w języku angielskim jest **dr hab. Robert Geisler, prof. UO**.

Dwa zespoły reprezentujące Uniwersytet Opolski w Studenckim Turnieju Negocjacyjnym (studenci z II roku stosunków międzynarodowych i III roku politologii), zajęły *ex equo* pierwsze miejsce. W turnieju rozegranym we Wrocławiu startowało 12 drużyn z sześciu różnych uczelni Wrocławia i Opola. Polscy studenci awansowali do etapu ogólnopolskiego, który odbędzie się w marcu br. w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie.

**Zebrała: Barbara Stankiewicz
Fot. Jarosław Mokrzycki**

Kolejne uprawnienia

Decyzją Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów Naukowych, w grudniu ub. roku Wydział Chemii UO otrzymał uprawnienia do nadawania stopnia naukowego doktora habilitowanego w dziedzinie nauk chemicznych w dyscyplinie: chemia (czytaj także na str. 78), a Wydział Prawa i Administracji UO – uprawnienia do nadawania stopnia naukowego doktora nauk prawnych w dyscyplinie: prawo.

Tym samym Uniwersytet Opolski umacnia swoją pozycję wśród 19 polskich uniwersytetów tzw.

bezprymiotnikowych. Warto przypomnieć, że tylko w ostatnich latach (2008–2013) uczelnia otrzymała uprawnienia doktoryzowania w następujących dyscyplinach naukowych: fizyka (2008), chemia (2009), nauki o polityce (2010), matematyka (2012). W 2012 roku Wydział Przyrodniczo-Techniczny otrzymał uprawnienia nadawania stopnia doktora habilitowanego w dyscyplinie: biologia.

(bas)

Stypendia dla najlepszych

W grupie najwybitniejszych studentów w Polsce w roku akademickim 2013/2014, którym przyznano prestiżowe stypendia ministra nauki i szkolnictwa wyższego za wybitne osiągnięcia naukowe, artystyczne lub sportowe, znalazły się studentki (studia II stopnia) Uniwersytetu Opolskiego: **Natalia Roślik** (II rok filologii), **Natalia Lechowicz** (II rok ekonomii), **Sabina Waluś** (II rok ekonomii) i **Katarzyna Czapla** (II rok biotechnologii).

17 grudnia ub. roku w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Opolu 58 studentów studiujących na opolskich uczelniach otrzymało stypendia prezydenta Opola – wśród nich aż 45 studentów Uniwersytetu Opolskiego. W ten sposób, poza wynikami w nauce, docenione zostało także zaangażowanie w aktywność kół naukowych i organizacji studenckich, prowadzenie badań naukowych, uczestnictwo w sympozjach i konferencjach.

(bas)



Stypendyści prezydenta miasta Opola – wśród nich 45 studentów Uniwersytetu Opolskiego (fot. Sylwester Koral)

Laury Umiejętności i Kompetencji 2013 przyznane

Historia tej nagrody sięga 1992 roku. Wtedy przedstawiciele Regionalnej Rady Gospodarki przy Regionalnej Izbie Gospodarczej w Katowicach wspólnie z Zarządem Telewizji Polskiej SA (oddział terenowy w Katowicach), redakcje: Radia Katowice i „Trybuny Śląskiej” postanowili co roku nagradzać Laurami Umiejętności i Kompetencji nieprzeciętnych menedżerów, firmy, organizacje i instytucje, które wprowadzają skuteczne rozwiązania restrukturyzacyjne i torują drogę nowoczesnej gospodarce rynkowej, a także autorytety moralne i najwybitniejszych reprezentantów nauki, oświaty,

kultury i sztuki. Skład pierwszej kapituły uzupełniono na stałe reprezentantami izb gospodarczych z Bielska-Białej, Częstochowy, Opola i Rybnika. Postanowiono także co roku zapraszać do kapituły wojewodów i marszałków z województwa śląskiego i opolskiego oraz laureatów z poprzednich lat. Od 2000 roku Opolska Izba Gospodarcza zaczęła sama organizować regionalną gałę laurów.

10 stycznia br. w Filharmonii Opolskiej uroczystie wręczono złote, srebrne i platynowe laury za rok 2013 oraz Kryształowy Laur Umiejętności i Kompetencji, który przyznano **Elżbiecie Bień-**

kowskiej, wicepremier, minister infrastruktury i rozwoju. Wśród laureatów znalazł się **dr hab. Mirosław Lenart**, prof. UO, kierownik Pracowni Literatury Epok Dawnych Instytutu Polonistyki i Kulturoznawstwa UO, dyrektor Archiwum Państwowego w Opolu, któremu Srebrny Laur Umiejętności i Kompetencji w kategorii *Pro Publico Bono* wręczyli przewodniczący Kapituły Laurów Umiejętności i Kompetencji **prof. dr hab. Marian Duczmal** oraz marszałek województwa opolskiego **Andrzej Buła**.

(b)



Srebrne Laury Umiejętności i Kompetencji odebrali (od prawej): lek. med. Zofia Kucharska – ordynator Oddziału Noworodków i Wcześnieaków Samodzielnego Specjalistycznego Zespołu Opieki Zdrowotnej nad Matką i Dzieckiem w Opolu, starosta opolski Henryk Lakwa, prof. Mirosław Lenart – dyrektor Archiwum Państwowego w Opolu, Paweł Wąsik – dyrektor Kluczborskiego Inkubatora Przedsiębiorczości i Wilhelm Beker – prezes Stowarzyszenia Klaster Dobrej Żywności „Oleski Koszyk”

Podwójny jubileusz

Podwójny, bo dotyczący zarówno Uniwersytetu Opolskiego, powołanego 20 lat temu ustawą Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 10 marca 1994 roku, jak i jego poprzedniczki, Wyższej Szkoły Pedagogicznej, która – na mocy uchwały Rady Ministrów z 26 października 1954 r. o przenosinach z Wrocławia – swój pierwszy rok akademicki zainaugurowała w Opolu przed 60 laty.

Jakże różne okoliczności, motywy i mechanizm decyzyjny. I tylko doniosłość obu historycznych wydarzeń spaja te odległe od siebie czasy, a nawet epoki. Wtedy, przed ponad półwieczem, przenosiny wrocławskiej placówki naukowo-dydaktycznej do Opolu były tylko szansą, której niedawno powstałe województwo opolskie na szczęście nie zmarnowało.

Znaczący dorobek naukowy uczelnianej kadry, dziesiątki tysięcy absolwentów, których wiedza i umiejętności wystawiały bardzo dobre świadectwo opolskiej WSP, wciąż powiększająca się i unowocześniana baza materialna, zaangażowanie wielu osób i środowisk opiniotwórczych – to były atuty wnoszone do trudnej gry o uniwersytet w Opolu, zakończonej wygraną w 1994 r.

„Indeks”, z okazji podwójnego jubileuszu, sporo miejsca w tym numerze poświęca obu organizacyjnym etapom w dziejach opolskiej uczelni. Autorzy zamieszczonych tekstów patrzą na minione lata z różnych, osobistych perspektyw, chłodny ogląd pozostawiając historykom.

Chlubiąc się dziś uniwersyteckim statusem, powinniśmy pamiętać zarówno o poprzedzającej go WSP-owskiej historii, jak i nie zapominać, że lata, które przed nami, same w sobie nie wystarczą, aby w trudnych dla szkolnictwa wyższego czasach atuty czerpać wyłącznie z przeszłości, także tej najnowszej, dwudziestoletniej.

Barbara Stankiewicz

Program obchodów święta Uniwersytetu Opolskiego 6–10 marca 2014 r.

- 6 marca** Rozpoczęcie posiedzenia Konferencji Rektorów Uniwersytetów Polskich w Uniwersytecie Opolskim (obrazy KRUP odbędą się w dniach 6–8 marca br.).
- 7 marca** **9.30.** Uroczyste posiedzenie Senatu UO (aula Wydz. Teologicznego, ul. Drzymały). W programie m.in.: wystąpienie rektora UO prof. dr. hab. Stanisława Sławomira Nicieji i wystąpienia gości: minister nauki i szkolnictwa wyższego prof. dr. hab. Leny Kolarskiej-Bobińskiej, przewodniczącego KRUP prof. dr. hab. Bronisława Marciniaka, biskupa opolskiego ks. prof. dr. hab. Andrzeja Czai, marszałka woj. opolskiego Andrzeja Buły. Podczas posiedzenia zostaną wręczone pamiątkowe medale z okazji jubileuszu 20-lecia Uniwersytetu Opolskiego.
- 9 marca** **18.00.** Uroczysta msza św. w intencji Uniwersytetu Opolskiego, której będzie przewodniczył ks. bp Andrzej Czaja, ordynariusz diecezji opolskiej (kościół seminaryjno-akademicki p.w. św. Jadwigi Śląskiej, ul. Drzymały).
- 10 marca** **12.00.** Uroczyste otwarcie Muzeum Uniwersytetu Opolskiego (Collegium Maius, plac Kopernika 11).
19.00. Jubileuszowy koncert w wykonaniu chóru akademickiego UO *Dramma per Musica*, orkiestry symfonicznej Państwowej Szkoły Muzycznej I i II^o w Opolu oraz solistów (Filharmonia Opolska).

Jerzy Duda

Od WSP do uniwersytetu

60 lat temu w Opolu pojawiła się pierwsza uczelnia – Wyższa Szkoła Pedagogiczna.
20 lat temu – Uniwersytet Opolski.

„Gazeta Wyborcza Opole”, 13 listopada ub. roku, zamieściła informację o tym, że: *Konferencja Rektorów Uniwersytetów Polskich (KRUP) będzie w Opolu obradować w dniach 6 do 8 marca 2014 roku w ramach obchodów dwudziestolecia Uniwersytetu Opolskiego. To będzie jeden z głównych punktów uroczystości jubileuszowych. Przyjadą do nas rektorzy wszystkich dwudziestu uniwersytetów, w tym wiodących jak Uniwersytet Jagielloński czy Uniwersytet Warszawski.*

Powstanie i pierwsze lata Uniwersytetu Opolskiego zostały znakomicie opisane przez prof. Stanisława S. Nicieję. Przypomnijmy: 28 września 1994 roku, przyjmując w Bazylice św. Piotra w Rzymie wielotysięczną grupę pielgrzymów i turystów z Polski, papież Jan Paweł II przywitał przede wszystkim ordynariusza opolskiego księdza biskupa Alfonsa Nossola i wyraził publicznie radość, iż za kilka dni zainauguruje swą działalność uniwersytet w Opolu, z pierwszym w Polsce na uczelni świeckiej Wydziałem Teologicznym¹.

Już 1 października 1994 roku Ojciec Święty skierował na ręce ordynariusza diecezji opolskiej list, w którym m.in. możemy przeczytać: *W dniu uroczystej inauguracji I roku akademickiego 1994/95 na Uniwersytecie Opolskim, dzieląc radość całej ziemi opolskiej i Kościoła opolskiego, przesyłam Rektorowi Uczelni, Senatorom, Profesorom oraz wszystkim studentom świeckim i duchownym moje najlepsze życzenia na drogę ofiarnej i rzetelnej służby Prawdzie, zawierając je w modlitwie: Veni Sancte Spiritus, mentes tuorum visita².*

Uroczysta inauguracja pierwszego roku pracy Uni-



10 marca 1994 r. na korytarzu sejmowym tuż po uchwaleniu przez posłów ustawy powołującej Uniwersytet Opolski. Na zdjęciu, od lewej: posłanka Danuta Danczewicz, premier Waldemar Pawlak, prof. Maria Nowakowska. Wyżej, od lewej, posłowie: Jerzy Wuttke, prof. Jerzy Zdrada, ks. dr Helmut Sobeczko, u góry, z prawej – poseł dr Jerzy Szteliga, z lewej – senator Gerhard Bartodziej

wersytetu Opolskiego rozpoczęła się 4 października 1994 roku (wtorek) w opolskiej katedrze św. Krzyża, obecnych powitał ksiądz biskup Alfons Nossol: *Ten dwunasty z kolei w naszej ojczyźnie uniwersytet jest dość swoisty, bo powrócił do swojej tradycyjnej formy, pragnąc być prawdziwą Universitas – Wszechnicą, mając w swojej strukturze jako część integralną także Wydział Teologiczny³.*

Druga część uroczystości odbyła się w wypełnionej po brzegi auli uniwersyteckiej. Przewodniczył jej ostatni rektor Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu i zarazem pierwszy rektor Uniwersytetu Opolskiego prof. Jerzy Pośpiech. Uroczystość zakończył wykład inauguracyjny jednego z najwybitniejszych polskich uczonych, filologa, językoznawcy, człowieka, który

¹ Stanisław Sławomir Nicieja: *Alma Mater Opoliensis. Ludzie. Fakty. Wydarzenia*. Opole 1995, Wydawnictwo Uniwersytetu Opolskiego, s. 209.

² Ibidem, s. 210.

³ Ibidem, s. 212.



4 października 1994 r., opolska katedra. Msza św. w intencji nowo powstałego Uniwersytetu Opolskiego, której przewodniczył ówczesny prymas Polski ks. kardynał Józef Glemp, a koncelebrował m.in. ówczesny ordynariusz diecezji opolskiej ks. bp. Alfons Nossol (na zdjęciu z prawej). Homilię wygłosił nuncjusz apostolski w Polsce ks. abp Józef Kowalczyk

odegrał wybitną rolę w walce o powołanie Uniwersytetu Opolskiego, prof. Stanisława Gajdy. Wykład nosił tytuł *Nauka i język*.

Główni bohaterowie drugiej części inauguracji: rektor prof. Jerzy Pośpiech – absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego i prof. Stanisław Gajda – absolwent opolskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej, połączyli łąkiem tęczowym obie te uczelnie, podkreślając niezwykłą rolę Uniwersytetu Wrocławskiego w powstaniu opolskiej uczelni. Pięknie o tym napisał pierwszy z wyboru rektor Uniwersytetu Opolskiego prof. Franciszek Marek: *To nie zamożni Niemcy przynieśli ludowi górnośląskiemu światło nauki i wiedzy, lecz ubodzy Polacy, ograbieni i wypędzeni przez Rosjan. To dziesiątkowani przez hitlerowskiego najeźdźcę i okupanta profesorowie lwowscy nie tylko przejęli uniwersytet i politechnikę we Wrocławiu, ale założyli także Śląską Akademię Medyczną w Rokitnicy, Politechnikę Śląską w Gliwicach...Dziełem kresowych teologów były w dużej mierze wyższe seminaria duchowne w Opolu i Nysie. Profesorowie wrocławscy, przeważnie lwowskiego pochodzenia, założyli także Wyższą Szkołę Pedagogiczną, która w 1954 roku przeniesiona została z Wrocławia do Opola, a po czterdziestu latach awansowała do rangi Uniwersytetu Opolskiego⁴.*

Swoistym przyczynkiem do jubileuszu Uniwersytetu Opolskiego są wydane ostatnio ważne i cenne publikacje ukazujące trudną, czterdzieści lat (1954–1994) trwającą drogę, którą przebyła uczelnia i pracujący w

niej akademicy nauczyciele, drogę zwieńczoną majestatycznym tytułem: uniwersytet.

Szczegółowo, niemal dzień po dniu, opisuje ten szlak prof. Maria Nowakowska wspólnie z profesorami: Krystyną Czają, Stanisławem Gajdą i księdzem Helmutem J. Sobeczką*. Pierwsze apele o potrzebie powołania w Opolu uczelni uniwersyteckiej pojawiły się już w połowie lat pięćdziesiątych minionego wieku, wkrótce po przeniesieniu Wyższej Szkoły Pedagogicznej z Wrocławia do naszego miasta. Idea ta, raz zgłoszona, pojawiała się potem co jakiś czas, ale nie poprzestawano tylko na tym. Usilnie, z uporem starano się, by z dniem każdym uczelnia stawała się placówką znakomitą. W 1959 roku Wydział Filologiczno-Historyczny, w czasie kadencji dziekana prof. Stanisława Dąbrowskiego uzyskał uprawnienia do nadawania

stopnia doktora nauk humanistycznych w dziedzinie historii, językoznawstwa i literaturoznawstwa. W 1973 roku (kadencja dziekana prof. Feliksa Pluty) wydział ten uzyskał z kolei prawo habilitowania w zakresie historii, a wkrótce potem także językoznawstwa i literaturoznawstwa. W 1975 roku staraniem prof. Janusza Kroszela uruchomiono dwa nowe, nienauczycielskie kierunki studiów ekonomicznych, podobnie w Instytucie Chemii powołano kolejne nienauczycielskie specjalności, w tym unikatową w skali kraju agrobiochemię. To były milowe kroki w rozwoju opolskiej uczelni, dowodzące, że środowisko naukowe nie tylko zgłasza postulaty, ale twórczo wykuwa kolejne stopnie, prowadzące do utworzenia w Opolu uniwersytetu. Starania te właściwego tempa nabrały w okresie kadencji rektorskiej prof. Mariana Adamusa (1981–1984), konsekwentnie realizującego swój program wyborczy zakładający przekształcenie Wyższej Szkoły Pedagogicznej w uniwersytet. Próby utworzenia nowej uczelni poprzez integrację z opolską Wyższą Szkołą Inżynierską nie przyniosły rezultatu.

10 marca 1988 roku na zamku w Brzegu erygowano Społeczny Komitet ds. Powołania Uniwersytetu w Opolu na czele z ówczesnym wojewodą dr. inż. Kazimierzem Dzierzanem. W skład prezydium weszli m.in.: prof. prof. Maria Nowakowska, Stanisław Gajda, Stanisław Kochman, Stanisław Rogala. W kwietniu 1991 roku przewodnictwo komitetu objął ksiądz biskup prof. Alfons Nossol, prace organizacyjne nabrały wielkiego rozmachu. Idea utworzenia w Opolu uniwersytetu została poparta przez senaty Uniwersytetu Jagiellońskiego i Uniwersytetu Wrocławskiego, zaoferowały one równocześnie długofalową pomoc

⁴ Franciszek Marek: *Tradycje oświatowe Górnego Śląska*, w: *Oświata i nauka na Śląsku Opolskim*, red. Stanisław Gawlik, Uniwersytet Opolski, Kuratorium Oświaty, Opole 1995, s. 25.



Podczas mszy św. w opolskiej katedrze. Na zdjęciu (od lewej): prorektorzy – prof. Zbigniew Kołaczkowski i prof. Grzegorz Bryll, rektor prof. Jerzy Pośpiech i prorektor prof. Piotr Blaik

w kształceniu kadry naukowej dla przyszłej uczelni. W lipcu 1993 roku ksiądz biskup prof. Alfons Nossol wspólnie z rektorem Wyższej Szkoły Pedagogicznej przekazali premierowi oraz ministrowi edukacji narodowej *Wniosek o powołanie Uniwersytetu Opolskiego*. Dopiero jednak – po pokonaniu wielu jeszcze trudności – 10 marca 1994 roku, w szóstą rocznicę powołania społecznego komitetu, Sejm Rzeczypospolitej przyjął *Ustawę o utworzeniu Uniwersytetu Opolskiego*. Za uchwaleniem ustawy głosowało 353 posłów, przeciw było 3, od głosu wstrzymało się 7. Kiedy 18 kwietnia 1994 roku prezydent RP Lech Wałęsa podpisał tę ustawę, można było przystąpić do przygotowywania pierwszej uniwersyteckiej inauguracji roku akademickiego 1994/95. Do uczelnianej legendy przeszły słowa rektora, prof. Jerzego Pośpiecha, wtedy wypowiedziane: *Śląsk Opolski ma swój własny uniwersytet. Oto świat nauki polskiej wzbogaca się o jeszcze jeden ośrodek akademicki, jakim jest Uniwersytet Opolski. Chwila niezmiernie doniosła nie tylko dla ziemi opolskiej, ale całej ojczyzny.*

Wielką zaletą publikacji jest nie tylko precyzja opisu poszczególnych etapów starania się i walki o Uniwersytet Opolski, ale nade wszystko bogactwo nazwisk (są ich setki), wydaje się, że nikt, kto choćby w niewielkim nawet stopniu przyczynił się do powołania tej placówki naukowej nie został pominięty.

O pierwszych, pionierskich latach Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu opowiada kolejna książka – autorstwa znakomitego dydaktyka i popularyzatora fizyki, nauczyciela tego przedmiotu w renomowanych zagranicznych szkołach mgr. Wojciecha Dindorfa, *czarodzieja fizyki*⁵, absolwenta opolskiej uczelni (1957 r.), potem wieloletniego jej pracownika naukowego**. We

wstępie autor napisał: *Moją opowieść przedstawię w słowach i w obrazkach. Słowa to w większości mój punkt widzenia, a więc muszą być subiektywne. Cytuję też miejscami mój pamiętnik z tamtych lat. Część dokumentów zawartych w książce stanowią strony „Kroniki Wyższej Szkoły Pedagogicznej”, którą udostępnił mi absolwent historii Wyższej Szkoły Pedagogicznej (1971 r.) Jego Magnificencja prof. dr hab. Stanisław Sławomir Nicieja. Przy pisaniu książki pomocne wielce okazały się także informacje, dokumenty, zdjęcia, wycinki prasowe udostępnione przez 72 absolwentów z pierwszych lat istnienia Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Zamieszczono 340 zdjęć, każde z nich nader starannie opisane, to dowód wielkiej troski autora*

o odtworzenie uczelnianego życia we wszystkich jego przejawach. W kończącym publikację wykazie: *Ludzie występujący w książce*, pojawia się prawie pięćset nazwisk – bohaterów relacji, a na dołączonym do książki dysku jest ich znacznie więcej. Dostajemy barwny, wszechstronny obraz życia studenckiego w pionierskich latach Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu. Zwraca uwagę wielkie zaangażowanie i udział studentów w życiu kulturalnym uczelni i miasta. W rozdziale *Życie świetlicowe* czytamy: *Zupełnie nie pamiętam inauguracji roku 1953/54, tzn. nie pamiętam części oficjalnej. Ale pamiętam, że część artystyczną przygotowały pierwsze lata wspólnie z istniejącym już pod kierunkiem Tadeusza Sawickiego (III mat.) zespołem mandolinistów. I wiem, że od razu zdobyliśmy sympatię studenckiej widowni. Po przenosinach do Opoli działalność artystyczna nabrała nowych wartości, obok zespołów wokalnych, muzycznych, tanecznych itp. dużym powodzeniem cieszył się zespół dramatyczny prowadzony przez darzonego wielką sympatią Jana Machulskiego. Przygotował on z zespołem cztery duże inscenizacje, m.in. *Ballady i romanse Aleksandra Maliszewskiego, Chorego z urojenia Moliera*, a także cieszącą się powodzeniem *Studencką miłość*. Studenci swoje talenty prezentowali nie tylko na terenie uczelni, występowali w mieście, wyjeżdżali z występami także poza Opole. Nadszedł rok 1956: *po ponad dziesięciu latach oziępienia politycznego, programowego otumaniania młodych jedynie słuszną ideologią marksistowsko-leninowską, „Historię WKP(b)”, odwieczną przyjaźnią z ZSRR, i świeżutką z NRD, pozwolono nam zacząć myśleć*. Powstały na fali ruchu społecznego „Studencki Komitet Rewolucyjny przy WSP w Opolu” sformułował m. in. wniosek o likwidację Związku Młodzieży Polskiej, który *zamiast bronić praw młodzieży, godził w jej najistotniejsze interesy, ale już pod**

⁵ „Nowa Trybuna Opolska” z 6 grudnia 2013 r.



Goście uroczystej inauguracji (od lewej): ks. kardynał Józef Glemp, ks. bp Alfons Nossol i minister edukacji narodowej Aleksander Łuczak. Z tyłu: opolscy parlamentarzyści

koniec października wyrażono zgodę, by nowej egzekutywie Komitetu Wojewódzkiego PZPR dać czas na wykazanie się konkretnymi czynami świadczącymi o jej poparciu dla spraw demokratyzacji. Życie wróciło w dawne koleiny.

Ta książka adresowana jest nie tylko do absolwentów opolskiej uczelni, świadków tamtych wydarzeń, poprzez zapis kulturowanych przez nauczycieli aka-

demickich metod kształtowania osobowości przyszłych nauczycieli – spośród których wielu odegrało ważną rolę w życiu oświatowym i gospodarczym Opolszczyzny i kraju. Może ona służyć także obecnym pracownikom uniwersytetu i jego wychowankom. Dzięki talentowi autora możemy poznać nielawą rzeczywistość tamtych lat. Mimo przeróżnych utrudnień, życie studentów było bogate, podejmowane przez nich działania dobrze służyły naszemu miastu i ziemi opolskiej.

Naturalną kontynuacją zapisu dziejów opolskiej uczelni jest przygotowana przez Krzysztofa Borkowskiego i Jerzego Nowika publikacja poświęcona latom sześćdziesiątym minionego wieku,

dokładniej – studiom na kierunku matematyka w okresie 1963–1968. Po raz pierwszy absolwenci matematyki (rocznik 1968) spotkali się na 30-lecie ukończenia studiów, od tego czasu spotykają się systematycznie, uznali bowiem, że te spotkania pozwalają na *odnawianie starych znajomości, przyjaźni, a także nawiązywanie nowych wśród tych, którzy kiedyś byli tylko kolegami i kolegami*. I właśnie na 50-lecie immatrykulacji



Inauguracja pierwszego roku akademickiego na Uniwersytecie Opolskim, 4 października 1994 r. Na zdjęciu, za stołem prezydyjnym (od lewej): dziekan Wydz. Ekonomicznego prof. Janusz Słodczyk, prodziekan Wydz. Filologiczno-Historycznego prof. Franciszek Marek, prorektorzy – prof. Zbigniew Kołaczkowski i prof. Piotr Błaik, rektor prof. Jerzy Pośpiech, prorektor prof. Grzegorz Bryll, dziekan Wydz. Teologicznego ks. prof. Helmut Sobeczko, dziekan Wydz. Matematyki, Fizyki i Chemii prof. Andrzej Gawdzik



Inauguracja pierwszego roku akademickiego na Uniwersytecie Opolskim odbyła się w starej auli przy ul. Oleskiej

postanowiono wydać tę książkę***. Na prośbę inicjatorów jej wydania swoje wspomnienia i refleksje przesłało siedemnastu absolwentów. Niezwykle ciekawa jest opowieść Krzysztofa Borkowskiego o legendarnym czasopiśmie uczelnianym „Fama”, które do białej gorączki doprowadzało pracowników Komitetu Wojewódzkiego PZPR, bo według nich w kształtowaniu niewłaściwej postawy studentów niemalą rolę odgrywało wydawnictwo studenckie „Fama”. Z materiałów, jakie m.in. zakwestionował Wojewódzki Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, wynika, że przemycane tam pozycje były wrogie. Wydaje się, że trzeba dokonać oceny postaw politycznych członków kolegium tego pisma. Ponadto zachodzi potrzeba przedyskutowania kierunków tego pisma pod względem merytorycznym. Większy wpływ i kontrolę nad treścią tego pisma musi wykazać Komitet Zakładowy PZPR. Krzysztof Borkowski tuż przed wejściem na obronę pracy magisterskiej 20 czerwca 1968 roku został poinformowany przez sekretarkę dziekanatu: *To pan nie wie, że jest zawieszony w prawach studenta?* Elżbieta Socha-Sucheka tak napisała o tym wydarzeniu: *Krzysiek w czarnym garniturze, białej koszuli i krawacie przygotowany był do obrony. Kiedy usłyszał o zawieszeniu, był w kompletnym szoku. Wydał z siebie ryk – inaczej nie umiem tego nazwać.* Redaktorzy „Famy” zostali nie tylko zawieszani w prawach studenckich, kiedy wreszcie kończyli studia zostali pozbawieni prawa podjęcia pracy nauczycielskiej. Trzeba tu wspomnieć, że właśnie z inicjatywy matematyków (rocznik 1968) rektor prof. dr hab. Stanisław Sławomir Nicieja przyznał tytuł profesora Uniwersytetu Opolskiego doc. dr. Bolesławowi Gleichgewichtowi – matematykowi, nauczycielowi akademickiemu, który w 1968 r. odszedł z pracy w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu. Każde ze wspomnień może stanowić podstawę do barwnego literackiego opracowania,

przeplatają się w nich radość, smutek, dramat, ich autorzy lat przeżytych tu w Opolu w Wyższej Szkole Pedagogicznej nie zamieniliby na nic. Niedawno zmarły dr Jerzy Nowik⁶, jeden z twórców metody pomiaru dydaktycznego osiągnięć uczniowskich, tak napisał: *Co mi dały studia? Przede wszystkim otworzyły głowę na świat. Nauczyły ciekawości świata i ludzi. Pokazały, że potrafię myśleć, pracować z dziećmi i młodzieżą i nawet nie będąc najlepszym matematykiem, byłem chyba niezłym nauczycielem. Studia pokazały, co to jest przyjaźń i dały mi wielu przyjaciół, z którymi chętnie się spotykam nie tylko na naszych zjazdach. Może nie zawsze poznaję wszystkich od razu, ale wiem, że są dla mnie ważni – zawsze.* A Jerzy Skotnicki pięknie uzupełnił tę wypowiedź: *Jesteśmy dumni, że przed 45 laty zostaliśmy absolwentami tej właśnie uczelni, która – jak pisze w swej znakomitej monografii obecny rektor Uniwersytetu Opolskiego prof. dr hab. Stanisław Sławomir Nicieja – została uznana za najlepszą uczelnię pedagogiczną w kraju i ostatecznie stała się fundamentem obecnego Uniwersytetu Opolskiego.*

Jerzy Duda

* Maria Nowakowska (redakcja), *Droga do powstania Uniwersytetu Opolskiego i stan jego dojrzałości po 18 latach*. Redakcja Wydawnictw Teologicznych Uniwersytetu Opolskiego, Opole 2012, s. 204.

** Wojciech Dindorf, *Na początku był kabaret. Narodziny Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu. Na 60-lecie WSP/UO w Opolu. Lata 5.0 XX wieku*. Wydawnictwo MS, Opole 2013, s. 264.

*** Krzysztof Borkowski, Jerzy Nowik (opracowanie), *Pół wieku później, czyli co nam zostało z tych lat? Absolwenci Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu. Matematyka 1963/64 – 1968*. Wydawnictwo Nowik, Opole 2013, s. 160.

⁶ Krzysztof Borkowski, *Dr Jerzy Nowik (1944–2013)*. „Indeks” nr 9/10 (143/144), grudzień 2013, s. 67.

Profesor Kolbuszewski pytał, ile razy w *Iliadzie* padał deszcz, profesor Bąk wypasał swoją kozę w ruinach powojennego Wrocławia, a matka Anny German uczyła rosyjskiego. Czyli – wrocławskie początki opolskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej we wspomnieniach Tadeusza Bednarczuka, pierwszego magistra WSP w Opolu (rozmowa Barbary Stankiewicz z Tadeuszem Bednarczukiem, opublikowana w „Indeksie” przed jedenastu laty – „Indeks”, październik-listopad 2003, nr 45–46).

Tadeusz Bednarczuk zmarł w 2012 r., w wieku 81 lat.

Magister numer jeden

– W czerwcu 1956 roku otrzymał Pan dyplom ukończenia studiów wyższych na Wydziale Filologicznym opolskiej WSP, uzyskując stopień magistra filologii polskiej. Dyplom opatrzone numerem 1 – tym samym został Pan pierwszym magistrem w dziejach opolskiej uczelni. Jak doszło do tego, że w Pana życiu pojawiło się Opole i Wyższa Szkoła Pedagogiczna?

– I skąd ten dyplom z numerem 1? To bardzo proste – moje nazwisko zaczyna się na literę „B”, a w grupie osób, które zdały wówczas egzamin magisterski nie było nikogo o nazwisku na „A”. Ot i cała tajemnica. A skąd Opole? Najpierw był Wrocław. A jeszcze wcześniej marzenia o zawodzie nauczycielskim i fascynacja literaturą polską, którą zaraziła mnie moja nauczycielka języka polskiego w szkole średniej, wtedy studentka Uniwersytetu Wrocławskiego, Wiktoria Hajdamowicz. Ta młoda polonistka z wielkim znanstwem i pasją dzieliła się z uczniami swoją wiedzą, umiłowaniem literatury. Już jako maturzysta wiedziałem, że chcę być nauczycielem języka polskiego, stąd moja decyzja o podjęciu studiów polonistycznych w Wyższej Szkole Pedagogicznej we Wrocławiu. Nie bez znaczenia był fakt, że na tej uczelni studiowała już Lucy na, moja przyszła żona... Był rok 1952. Na dwa lata przed przeniesieniem uczelni do Opolą, a siedem lat po wojnie. Miasto było kompletnie zrujnowane. Ulice tylko częściowo odgruzowane, z Podwala, gdzie mieścił się nasz akademik, do budynku uczelni przy ulicy Poniatowskiego szło się wąskim przesmykiem między zwałami gruzów. Ulica Poniatowskiego była jedną z lepiej zachowanych ulic Wrocławia, budynek uczelni też na szczęście nie ucierpiał podczas działań wojennych: parter i pierwsze piętro zajęli licealiści, dwa wyższe piętra – Wyższa Szkoła Pedagogiczna, która funkcjonowała od 1950 roku. Mieściła się tam też biblioteka, aula, a w budynku obok – sala gimnastyczna i stołówka. Ale najważniejszy był klimat tamtych lat: Wrocław był już wtedy wielkim ośrodkiem akademickim, z uniwersytetem, akademią medyczną i politechniką. Na uczelniach wykładało wielu lwowskich profesorów, całe miasto zresztą opanowali bliscy me-

mu sercu lwowiacy – sam przecież pochodzę z powiatu tarnopolskiego... To wszystko sprawiało, że o Wrocławiu marzył wówczas każdy młody człowiek.

– Jak Pan wspomina swoich kolegów z grupy?

– Nasza grupa liczyła na początku trzydzieści trzy osoby. Kilku kolegów przyjechało z Warszawy – tam zdali egzaminy wstępne, ale z braku miejsc zostali skierowani do Wrocławia. Dominowali dwudziestolatkowie, świeżo po maturze, ale były i dwie koleżanki koło trzydziestki, które podjęły studia tuż po zwolnieniu z wojska w stopniu oficerskim. Troszkę starszy od nas był nieżyjący już niestety Henio Wopiński, przyszły doktor, językoznawca, wykładowca w opolskiej WSP – już wtedy był żonaty, miał syna, uczył w Dzierżonowie. Wyjątkowo dobrze pamiętam ceremonię immatrykulacji – ogromnie wzruszającą uroczystość, w trakcie której poczuliśmy się prawdziwymi studentami. Wielu z nas nosiło studenckie czapki – białe, z czerwonymi otokami, przedmiot prawdziwej dumy. Wkrótce po rozpoczęciu roku akademickiego w grupach odbywały się zebrania, podczas których wybierano starostów – pełniłem tę funkcję przez dwa lata, później, już w Opolu, powierzyliśmy te obowiązki nieżyjącej już Zosi Owczarczak-Skorupińskiej. Jak wtedy było? Biednie było. Niemal wszyscy w naszej grupie wywodzili się z rodzin robotniczych, chłopskich i urzędniczych i wszyscy czekali na stypendia jak na zbawienie. Dostawali je wszyscy – po 180 złotych miesięcznie, a za bardzo dobre wyniki w nauce dodatkowych 60 złotych tzw. stypendium naukowego. Większą część stypendium trzeba było przeznaczyć na opłacenie obiadów. Na szczęście chleba na stołówce nam nie wydzielano, można było wynosić pajdy bez ograniczeń... Dorabialiśmy sobie na wakacjach, pracując, w ramach praktyk pedagogicznych, na koloniach letnich. W trakcie roku szkolnego mieszkaliśmy w akademiku przy ulicy Podwale – była to kamienica z podwórkiem-studnią – w obskurnych pokojach, wyposażonych w metalowe łóżka i byle jakie szafy, ponemieckie sprzęty zwiezione z miasta. Wykłady i ćwiczenia były obowiązkowe, na każdych zajęciach musieliśmy podpisy-



Wrocław, 1952 r. Na tle powojennych ruin – studenci Państwowej Wyższej Szkoły Pedagogicznej

wać listę – za kilka nieobecności student mógł być usunięty z uczelni. Wszelkie sprawy dyscyplinarne omawiano na zebraniach Związku Młodzieży Polskiej, do którego należeli niemal wszyscy. Oczywiście, nie samą nauką żyliśmy, był czas i na teatr, kino, operę. Pamiętam burzliwe dyskusje nad poszczególnymi przedstawieniami, które odbywały się w... kuchni naszego akademika, a szczególnie jedną, dotyczącą premiery spektaklu *Bieg do Fragala*. Stworzyliśmy też własny teatr amatorski pod kierunkiem Haliny Dzieuduszyckiej, bardzo urodziwej aktorki, która prowadziła na uczelni zajęcia z kultury słowa. Wystawialiśmy sztukę pt. *Brygada szlifierza Karhana*, socrealistyczny utwór pełen hasań i zachęt do współzawodnictwa pracy. Fizycy, a wśród nich bystry i dowcipny Wojtek Dindorf, zorganizowali kabaret, w którego działalność też byłem zaangażowany. Wyjeżdżaliśmy w tzw. teren, gdzie byliśmy bardzo serdecznie przyjmowani przez widownię. W sąsiadujących z Wrocławiem miejscowości sprzedawaliśmy książki – w ramach „Dni oświaty, książki i prasy”. Działał też chór uczelniany, który – na prośbę profesora Rosponda – założył i prowadził Henio Wopiński. Oczywiście, w tamtych czasach wielu rzeczy nie wolno nam było robić. Na przykład nosić kolorowych skarpetek ani opiętej marynarki w kratę, bo te atrybuty bikiniarza oznaczały sprzeciw wobec norm socjalistycznej obyczajowości, nie wolno było grać w brydża, bo to była kapitalistyczna gra. Ale grywaliśmy, w głębokiej konspiracji – z obawy przed donosicielami – przy zasłoniętych oknach, zamkniętych drzwiach. Nie wolno było słuchać zachodnioeuropejskich stacji. I nie słuchaliśmy – w akademikach były tylko tzw. kołchoźniki, z których dobiegały wyłącznie słuszne treści i taka sama muzyka. Niesłychanie uciążliwe dla studentów było obowiązkowe wówczas studium wojskowe. Ćwiczenia rozpoczynały się o

szóstej rano w poniedziałki, i trwały przez cały dzień. Każdy z nas ubierał zielony kombinezon, pobierał z magazynu karabin... Trzymaliśmy również całonocne warty, pilnując uczelni i sprzętu wojskowego. Wychowanie fizyczne z kolei prowadził z nami jeden z wrocławskich trenerów sportowych. Chyba wiosną 1953 r. odbyła się uczelniana spartakiada, zdobyłem wtedy pierwsze miejsce w biegu na 100 metrów.

– A profesura? Kto wykładał, prowadził zajęcia w tamtych czasach?

– To byli naprawdę niezwykli ludzie, prawdziwe osobowości. I oryginały. Przede wszystkim profesor Stanisław Kolbuszewski, filar polonistyki, wybitny znawca romantyzmu, lwowianin, który do Wrocławia przybył w 1945 roku. Mój mistrz, pod kierunkiem którego pisałem pracę magisterską. Bardzo bezpośredni, życzliwy i ciepły człowiek, lubiany przez wszystkich studentów. Muszę powiedzieć, że wyróżniał dziewczyny, nie był obojętny na kobiece wdzięki – a one to subtelnie wykorzystywały... Wtedy zbliżał się do sześćdziesiątki. Mój Boże, nam, dwudziestolatkom, wydawał się starcem! Pamiętam, jak opowiadając nam o jednym z twórców, a swoje wykłady bardzo często okraszał anegdotami, użył słów: *I ten młodzieniec, proszę państwa, w wieku 53 lat się zakochał!* Wtedy śmiałem się ze wszystkimi, a dziś powiem tak: profesor Kolbuszewski zmarł mając **tylko** 64 lata. Pamiętam, jak mawiał, że obok medycyny polonistyka jest najbardziej czasochłonnym kierunkiem studiów. I tak rzeczywiście było – naszym podstawowym zajęciem było ślęczenie nad książkami. We Wrocławiu były wówczas dwie wielkie biblioteki: uniwersytecka i Ossolineum, w których przesiadywaliśmy od godziny dziewiątej, nawet do dwudziestej – w dni świąteczne. I nic dziwnego, profesor Kolbuszewski potrafił pytać o najmniejsze szczegóły, na przykład



Maj 1956. Studenci polonistyki opolskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w akademiku *Mrowisko*. Na zdjęciu pierwszy z lewej – Tadeusz Bednarczuk, obok Krystyna Ochocka, pierwsza z prawej – Urszula Dembska (Krauze). Z tyłu: Edward Kasperski (z lewej), Zbigniew Kołodziejczyk, Bronisława Gołąbek

o to, ile razy w *Iliadzie* padał deszcz... W owych czasach, kiedy wszędzie słyszało się: *towarzysze*, profesor Kolbuszewski zawsze zwracał się do nas: *proszę państwa*. Jako przeciwnik marksistowskiej teorii literatury nie cieszył się zbyt dużą sympatią towarzyszy różnego autoramentu. Kolejnym wielkim Stanisławem był prof. Stanisław Bąk, wtedy ponadpięćdziesięcioletni językoznawca, dialektolog, wybitny znawca śląskiej gwary, wspaniały człowiek, któremu żona często przynosiła do pracy pierogi, i który osobiście wypasał swoją kozę na trawie i zielsku wyrosłym w ruinach powojennego Wrocławia. To był prawdziwy naukowiec – całe wakacje poświęcał na badania dialektologiczne, pieszo przemierzył cały Śląsk. Wykładał m.in. język staro-cerkiewno-słowiański. Mówił bardzo szybko. Jedną ręką pisał na tablicy, drugą ścierał to, co napisał... Trzeba było ogromnej koncentracji, żeby nadążyć za myślą i wywodem profesora, o jego wielkich wymaganiach krążyły legendy: kto zdał egzamin u profesora Bąka, ten mógł być niemal pewien, że ukończy studia. Profesor Bąk egzaminował głównie w siedzibie katedry języka polskiego Uniwersytetu Wrocławskiego przy ulicy Szewskiej – opowiadano, że z jego okna często wylatywały studenckie indeksy... Kiedyś oblał na egzaminie studentkę. Przyszły do niego koleżanki dziewczyny, prosząc o jej ponowne przeegzaminowanie: dziewczyna ma kłopoty, jest w ciąży... Bąk na to: *a czy ja jestem te-*

mu winien? Pamiętam też sąd nad profesorem Bąkiem – sędzieli go zetempowcy na specjalnym zebraniu tej organizacji, w trakcie którego zarzucono mu, że jest zbyt wymagający i surowy podczas egzaminów. Profesor Bąk usiadł za stołem prezydyjnym. Członkowie ZMP ruszyli do ataku: w powietrzu fruwały kolejne oskarżenia... Profesor tymczasem ze stoickim spokojem wyciągnął ze sfatygowanej teczki jakieś notatki, fiszki, luźne kartki. I czytał. Segregował. Na salę nie spojrzął ani razu. Po dwudziestu minutach nawet najbardziej agresywni zetempowcy całkowicie się wyszczekali. Zapadła cisza. Wówczas profesor Bąk zdjął okulary, popatrzył po zebranych i jakby ocknąwszy się, zapytał: *To już wszystko?* Nikt nic nie powiedział.

Profesor zgarnął swoje notatki i wyszedł, zostawiając w sali skonsternowanych oskarżycieli. Od tej pory dano mu spokój. A przecież mógł być usunięty z uczelni, bo takie to były tragikomiczne czasy.

– Kto był wtedy rektorem WSP we Wrocławiu?

– Uczelnią kierował prof. Stanisław Rospond, rektor, a jednocześnie kierownik katedry języka polskiego w Uniwersytecie Wrocławskim, znany już wówczas autor książek z dziedziny językoznawstwa, wybitny znawca Śląska, który przed wojną był asystentem w Uniwersytecie Belgradzkim, a zaraz po wojnie członkiem komisji ustanawiającej na Śląsku polskie nazwy



Opole, podwórko przy ul. Luboszyckiej, po obronie prac magisterskich. Na zdjęciu (od lewej): Tadeusz Bednarczuk, Henryk Wopiński, Urszula Dembska (Krauze) i Adam Fabisiak

miejsowości. Powszechnie było wiadomo, że miał brata biskupa. Profesor Rospond był człowiekiem bardzo komunikatywnym, wykladał w sposób rzeczowy, zawsze interesował się studentami, wypytywał skąd pochodzą... Nawet my, studenci, widzieliśmy wyraźnie, że bardzo mu zależy na rozwoju naszej WSP, mimo że przecież miał etat w Uniwersytecie Wrocławskim. Zachęcał też studentów do podejmowania pracy naukowej – większość z nas myślała o zawodzie nauczyciela, ale np. Jurek Kopeć z mojego roku obronił pracę doktorską z językoznawstwa, do dziś pracuje na Uniwersytecie Wrocławskim. Henio Wopiński też się doktoryzował... W tamtych czasach na uczelni było dwóch dziekanów: Stanisław Dąbrowski, dziekan Wydziału Filologicznego i prof. dr Witold Kruk-Ołpiński, dziekan Wydziału Matematyczno-Fizycznego. Dziekan Dąbrowski, który miał za sobą praktykę nauczyciela języka polskiego w milickim Liceum Ogólnokształcącym oraz kuratora w województwie wrocławskim, zajmował się sprawami bytowymi studentów. Jako starsza roku miałem z nim stały kontakt.

Od Tadeusza Nalewajki – mojego przyjaciela – dowiedziałem się, że w czasie okupacji dziekan Dąbrowski był oficerem Armii Krajowej, do czego oczywiście w tych stalinowskich czasach się nie przyznawał. Prowadził zajęcia z literatury współczesnej. Doktorat obronił już w Opolu. Dziekan Kruk-Ołpiński natomiast wykładał psychologię. To był profesor jak z anegdoty: wiecznie roztargniony, zawsze w kaloszach i z parasolem, bez względu na pogodę... Lubiliśmy też bardzo zmarłego

już niestety Stefana Reczka, późniejszego profesora językoznawcy rzeszowskiej WSP, wówczas niespełna trzydziestoletniego asystenta profesora Rosponda, który traktował nas jak kumpli. I na uniwersytecie, i u nas krążyły plotki, że jest wielkim wielbicielem pań. I chyba rzeczywiście tak było – po rozwodzie z dotychczasową żoną ożenił się z naszą koleżanką z roku, Anią Kolendą. Z tego związku urodził się Miłek Reczek, dziś znany wrocławski aktor. Dużą sympatią darzyliśmy też znakomitego, choć nieutytułowanego wykładowcę, Zdzisława Krzemińskiego. Twarz pokrywała mu blizna – w czasie wojny był czołgista, jego czołg został trafiony... Języka rosyjskiego – trzeciego obok łaciny i niemieckiego języka obcego – uczyła nas Irma Berner, matka Anny German, wtedy ośmioletniej dziewczynki, która często przychodziła z matką na uczelnię.

– Jak studenci wrocławskiej WSP przyjęli wieść o przenosinach uczelni do Opolu?

– Głośno o tych przenosinach zrobiło się wiosną 1954 r. Początkowo traktowaliśmy to jak złośliwą plotkę...

– Dlaczego złośliwą?

– Bo czymże w porównaniu z akademickim, wręcz mitycznym miastem, jakim był Wrocław, było małe, prowincjonalne Opole? Te przenosiny wydawały nam się nieporozumieniem, studenci i pracownicy naukowci pukali się w czoło... Okazało się jednak, że to prawda:



Tadeusz Bednarczuk – na zdjęciu w środku – był częstym gościem uniwersyteckich uroczystości (12 marca 2004 r., święto Uniwersytetu Opolskiego). Obok – red. Iwona Kłopocka i dr Jan Heffner (fot. Tadeusz Parcej)

ówczesny kurator opolski Teodor Musioł spotkał się z kierownictwem naszej uczelni, podjęto decyzję o przeniesieniu WSP z Wrocławia do Opola. Studenci polonistyki byli zdecydowanie na „nie”.

Wtedy rozeszła się pogłoska, że nie mamy specjalnego wyboru: oporni zostaną skreśleni z listy studentów. Mimo to kilka naszych koleżanek i kolegów trwało przy swoim postanowieniu, później kontynuowali studia na uniwersytetach we Wrocławiu, Warszawie i Poznaniu. Na szczęście do Opola dojeżdżało wielu naszych wykładowców z Wrocławia. Wykład inauguracyjny rok akademicki 1954/55 – pierwszy w Opolu – wygłosił w sali Teatru Miejskiego prof. Stanisław Kolbuszewski. Absolwenci studiów pierwszego stopnia otrzymali dyplomy, starsze roczniki poinformowano, że studia zostaną przedłużone i zakończą się uzyskaniem tytułu magistra. Już w Opolu do naszej grupy dołączył Franciszek Marek, późniejszy naukowiec opolskiej WSP, pierwszy rektor UO.

– Jakie były początki opolskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej?

– Warunki w domach studenckich były lepsze. Ja mieszałem w akademiku, byłem internacie, przy Nysy Łużyckiej, razem z Tadeuszem Nalewajko i Michałem Lewkowiczem. Dziewczyny zakwaterowano w akademiku przy ulicy Dubois. Stołówkę mieliśmy na miejscu, sale wykładowe – w budynku po liceum pedagogicznym przy Luboszyckiej. Na Luboszyckiej, w małym pokoiku nad czytelnią, zamieszkał też profesor Kolbuszewski. Inni profesorowie dojeżdżali z Wrocławia i Katowic. Dojeżdżaliśmy i my – do bibliotek we Wrocławiu, zwłaszcza gdy przyszedł czas pisania prac magisterskich, bo księgozbiór zgromadzony w Opolu okazał się niewystarczający. My, poloniści, trzymaliśmy się razem. Opole było wtedy – zwłaszcza w porównaniu z Wrocławiem – kulturalną pustynią. Jeden, półamatorski teatr, jedno kino „Odra”, kawiarnie: „Bajka” na Ozimskiej i „Teatralna”. I to wszystko. Mimo to usiłowaliśmy włączyć się w nurt życia kulturalnego miasta. Dzięki spotkaniu z Jerzym Bałabanem, ówczesnym redaktorem działu miejskiego „Trybuny Opolskiej”, nawiązałem współpracę z tą gazetą. Niedługo minie pół wieku od czasu, gdy zamieściłem w „Trybunie” pierwszą notatkę dotyczącą życia studenckiego. Mój kolega, Edek Kasperski, podjął współpracę z raczkującym wtedy opolskim radiem. Pojawił się pomysł powołania kwartalnika. Pamiętam, że profesor

Kolbuszewski ogłosił wtedy w naszej grupie konkurs na tytuł tego pisma. Niestety, moja propozycja – „Znad Odry i Nysy” – nie przeszła, pismo do dziś nosi tytuł „Kwartalnik Opolski”. Na początku 1956 r. przenieśliśmy się do akademika przy ul. Katowickiej. Tam już były prawdziwe luksusy. Niedługo się nimi cieszyliśmy, bo nadeszła pora obrony prac magisterskich. Ja, za namową profesora Kolbuszewskiego, pisałem pracę o życiu i twórczości Jakuba Kani, działacza społecznego i ludowego poety z Siołkowic. Kania jeszcze żył, więc odwiedziłem go kilka razy w jego rodzinnym domu, korzystałem też z jego pamiętników, spisanych przez syna Jakuba Kani, Bronisława, wówczas dyrektora Technikum Rolniczego w Izbioku. Dzięki życzliwości dyrektora Instytutu Śląskiego Józefa Kokota i Zbyszka Bednorza w 1968 r. wspomnienia Kani – pod moją redakcją – ukazały się drukiem. W 1956 r. egzamin magisterski w opolskiej WSP zdało 21 osób. To było wielkie wydarzenie, które uczciliśmy zakrapianym wieczorkiem. Rano obudził mnie głos kolegów: *wstawaj, rewolucja!* Kiepski dowcip, pomyślałem. Ale to nie był kawał – z nastawionego na cały regulator kolchoznika spiker czytał wiadomość o wydarzeniach w Poznaniu: robotnicy wyszli na ulicę, wojsko strzela, są ranni i zabici, premier Cyrankiewicz grozi, że utnie rękę każdemu, kto ją podniesie na władzę ludową... Następnego dnia załadowano nas do wagonów towarowych i wywieziono – wraz z kolegami z wrocławskiego uniwersytetu, Wyższej Szkoły Muzycznej i Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych, których zabraliśmy po drodze – na miesięczny poligon wojskowy do Żar. Ten wyjazd nie miał związku z wydarzeniami w Poznaniu, bo poligon zaplanowano wcześniej, ale tak dziwnie się te daty zbiegły... Po miesięcznych ćwiczeniach w Żarach mianowano nas na pierwszy oficcerski stopień – podporucznika.

– Czym się Pan zajmował po ukończeniu studiów?

– Moje życie zawodowe dzielę na trzy etapy: od 1956 do 1963 roku byłem nauczycielem języka polskiego, od 1963 do 1976 roku pracowałem jako dyrektor szkół w Oleśnie i Żłobinie. Od 1976 do 1991 r. byłem dziennikarzem „Trybuny Opolskiej”. W 1991 roku przeszedłem na emeryturę. Dziś jestem zastępcą redaktora naczelnego „Nowego Magazynu Brzeskiego”.

– Dziękuję za rozmowę.

Od redakcji: Tadeusz Bednarczuk był m.in. redaktorem książki Jakuba Kani pt. *Moje wspomnienia* (1968 r.), autorem prac: *Olescy powstańcy* (1969), *Nasze próby wychowawcze* (1973), *Spacerkiem po Paczkowie* (1990), a także książek: *Był taki czas* (2000), *Szumi pamięci wiatr* (2003) i *Tarnopolskie rachunki krzywd* (2010). W latach 1962–1969 pełnił funkcję prezesa Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Oleskiej, w latach 1978–1990 był członkiem i wiceprzewodniczącym Klubu Publicystów Oświatowych stowarzyszeń dziennikarskich. Współzałożyciel *Głosu Olesna*, miesięcznika *Magazyn Brzeski* oraz *Gazety Brzeskiej*. Zmarł 3 lipca 2012 r.

Pół wieku temu

(zdjęcia Pawła Czupryny,
w latach 1959–1964 studenta historii WSP w Opolu)



Pierwsze zdjęcie akademika *Mrowisko* – widokówka, która przyniosła Pawłowi Czuprynie znaczne korzyści finansowe. Jak wspomina – sprzedawały ją życzliwe studentom panie portierki z akademika: Kazimiera Uhruska i Aniela Kiełbowa



Spotkanie na uczelni z Janem I. Sztudyngerem



Kierowniczki dziekanatów: Alina Kurpierz (Wydział Filologiczno-Historyczny) i Teresa Kołaczowska (Wydział Matematyczno-Fizyczny) na balu akademickim



Prof. Stanisław Pigoń, historyk literatury polskiej, profesor uniwersytetów w Wilnie i Krakowie (UJ) na spotkaniu ze studentami w klubie *Skrzat* (1962 r.)



Dziekan doc. Eugeniusz Konik w klubie *Skrzat*. Pierwszy z prawej – ówczesny kierownik biblioteki mgr Jan Jakubowski



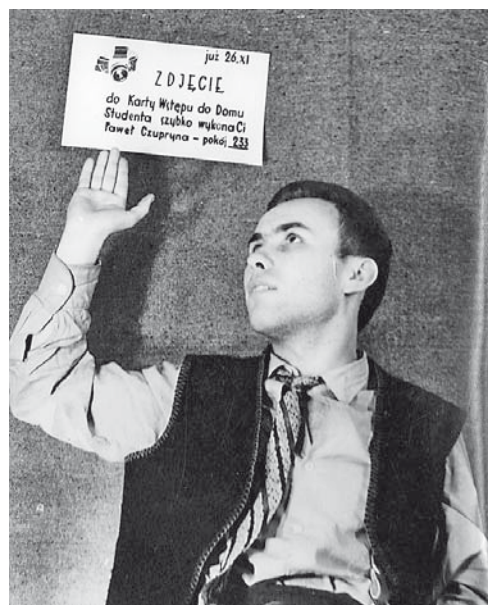
Dziekan doc. Władysław Dziewulski ze studentami III roku historii wracają z wykopalisk archeologicznych na opolskim Ostrówku



Dymitr Slezion, jako św. Mikołaj, odwiedził Mrowisko



Fotografia z koncertu Andrzeja Kurylewicza i Wandy Warszawskiej. Przy perkusji Andrzej Dąbrowski



Autor zdjęć, Paweł Czupryna, reklamuje swoje usługi fotograficzne na portierni w Mrowisku



Doc. Józef Kokot. Zdjęcie wykonane po obronie prac magisterskich Pawła Czupryny, Zygmunta Stryczka, Michała Lisa i Zbigniewa Kowalskiego



Gmach główny WSP w Opolu od ulicy Oleskiej (1963)

Jan Feusette

Moje uniwersytety wuespowskie

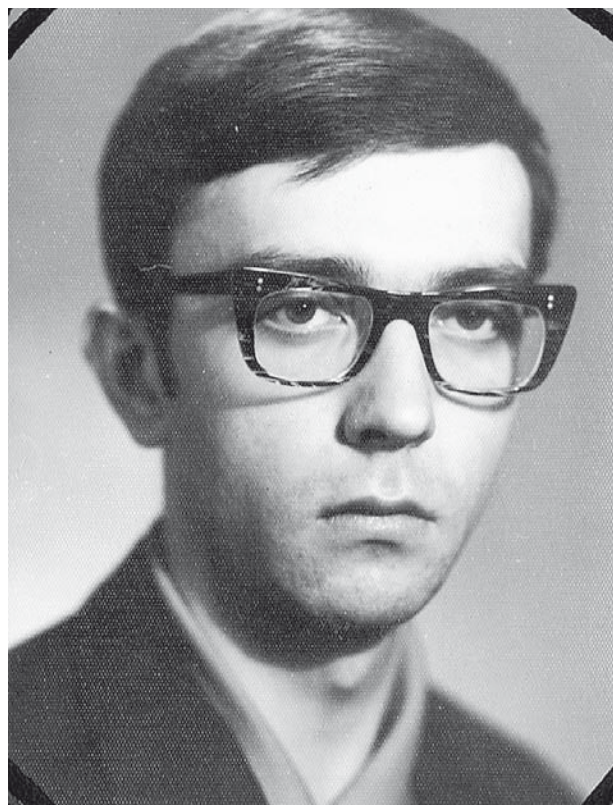
W uniwersyteckim piśmie i z okazji jubileuszu ze wspomnień absolwenta trzeba odsiać wszystkie niedobre myśli, porażki i pretensje. Wygrzebany z domowych zakamarków indeks nie ujawni „Indeksowi” jakichś niechlubnych zapisów. Wystarczy oświadczyć, że magisterka w terminie, a nad resztą zasłona niepamięci. Choć zależy to jeszcze od rubryki. Bo wśród nazwisk prowadzących zajęcia wiele jest godnych szacunku i serdecznych myśli. Będą więc przypomniane. Przeszłość nigdy nie jest anonimowa. Zaludniają ją ludzie. Bardzo często ci, których już nie ma wśród nas, z którymi nie da się już pogadać, zweryfikować fakty i oceny, powzruszać się i pośmiać.

Słusznie mówi się, że uniwersytet to coś więcej niż uczelnia w granicach swojej autonomii i suwerenności, że powinien promieniować znacznie szerzej. Dla Opola Wyższa Szkoła Pedagogiczna bywała w takim sensie już wtedy uniwersytetem. Sławą nielicznych, ale znakomitych uczonych: Rosponda, Kolbuszewskiego, Słupeckiego, Horna, Opolskiego, z młodszych Kaczmarka i Borka. Ale nie mnie o tym pisać. Promieniowanie dotknęło mnie jako licealistę z innej strony – z aktywności twórczej samych studentów. Znaleźć się wśród nich było nobilitacją. Trzeba też było samemu zrobić mały krok w ich kierunku. Moja droga do WSP nie była jednak tak prosta: słyszało się o kabarecie „Skrzat” Metzlera, Greczanika i Kanioka, czytało się wiersze w „Famie”, zdało się wstępny i już ten wymarzony status studenta. Nie, to szło zakolami, bardzo ważnymi zakolami.

Trafiłem tu dopiero dwa lata po maturze. Ale wcześniej uczelnia przysłała do ucznia III LO. Kształciła nauczycieli, to wysyłała studentów na praktyki do szkół. Do mojej klasy trafiła na polski Irena Wyczółkowska, a na rosyjskim nasz wychowawca Zdzisław Bryk przedstawił Wiesława Malickiego. Chyba już wiedziałem, że to poeci. Redagowaliśmy z Włodkiem Bednorzem, synem Zbyszka, pismo szkolne „Kleks”. Pan Zbyszko był wśród nas, był dla nas wielkim autorytetem. Przy okazji zdawało nam się, że mamy kontakt ze środowiskiem. Polonistka, Irena Rzeczkowska-Drozdowska, opiekunka Kółka Literackiego, na pewno dyskretnie wskazała praktykantom uczniowskich wierszokletów. Irena Wyczółkowska, odkrycie wielkiego Tymoteusza Karpowicza, drukująca we wrocławskiej „Odrze” poetka, umówiła się ze mną na piwo w knajpcie na Barlickiego. Rozmawialiśmy o pisaniu, czułem powiew Poezji, papierosowego dymu, zapachu piwa, uchylały się drzwi do intrygującego, nawet fascynującego pałacu bohemy. Zaszczytem dla mnie jest przyjaźń z Ireną,

która trwa do dziś, choć nasze życie na pewno nie ma nic wspólnego z pałacami. Wiesiek Malicki zaprowadził mnie do „Mrowiska”. W ciasnym pokoiku z piętrowymi łózkami czekali już na adepta: brodaty Harry Duda i prawie dwumetrowy Wiesiek Kazanecki. Kim jest i jaki ma dziś dorobek Harry, wszyscy w Opolu wiemy. Znakomita poezja Kazaneckiego, później przez wiele lat mieszkańca Białegostoku, jest doceniona w historii współczesnej literatury polskiej, a nagroda jego imienia uznana jest przez poetów za bardzo cenną. Wkrótce poznałem wielkiego posturą, mądrością i talentem Bogusława Żurakowskiego, autora *Tańca bez ludzi*, potem wielu jeszcze znakomitych tomów poezji, książek krytycznoliterackich, profesora UJ.

A tuż przed maturą, w 1964, odbywała się kolejna Wiosna Opolska – Festiwal Artystyczny Ziem Zachodnich i Północnych, konkursy w wielu dziedzinach sztuki. Konkurs poetycki wygrał wrocławski poeta Kazimierz Koszutski. Jury z Wilhelmem Machem zakwalifikowało kilkanaście wierszy do plebiscytu publiczności. Były wydrukowane w specjalnym programie. Oto wymarzony debiut. Na Turniej do KMPiK-u (w lokalu późniejszej restauracji „Europa” na placu Wol-



Jan Feusette w czasach studenckich

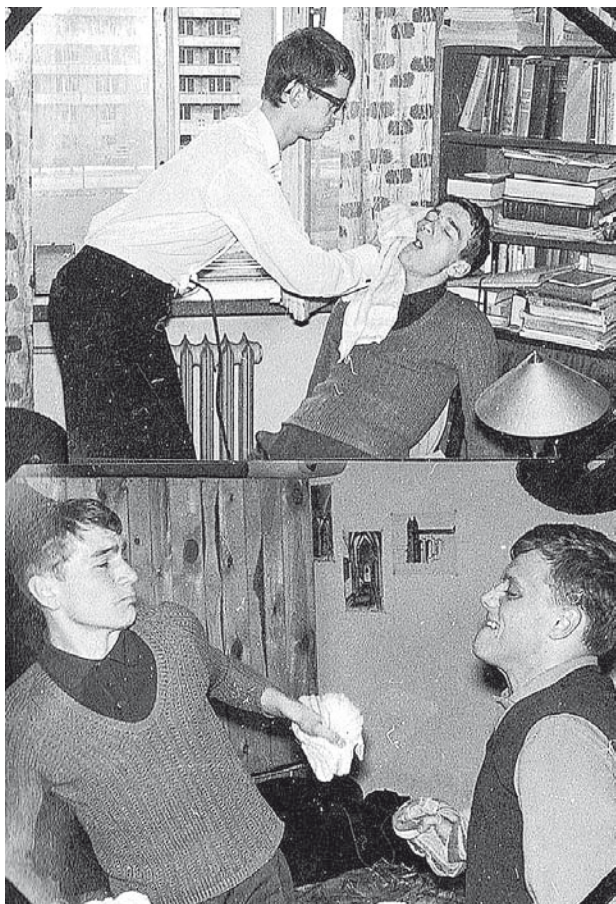


Kartka z albumu Jana Feusette. Autorem portretu z prawej, wykonanego w 1971 r., jest Fryderyk Kremser. Na fotografii grupowej, ze spotkania autorskiego w Głogówku, siedzą (od prawej): Irena Wyczółkowska, Rena Marciniak-Nyczajowa, Jan Feusette i Harry Duda

ności) przyszło sporo licealistów. Przysięgam, że nie organizowałem tej klaki. Dostałem nagrodę i dyplom. Nie byłoby o czym mówić, gdyby nie dodatkowo zaproszenie na bankiet do Wojewódzkiej Rady. Okazało się, że wszedłem z tą nagrodą w paradę komuś, kto bardzo liczył na gotówkę, a nie był lubiany przez wrocławskich poetów. Wśród gratulujących, oprócz Koszutkiego, byli więc Jan Czopik-Leżachowski i Krzysztof Coriolan. Wybrałem Wrocław. W Opolu nie było chemii, więc chemia na politechnice. Sama chemia skończyła się po dwóch latach, ale ten Wrocław i ta bohema. Czopik kazał iść do studenckiego „Pałacyku”. Wiersze w antologii Klubu „Arka”, wiersze w uniwersyteckiej „Agorze” Lothara Herbsta, śpiewająca Teresa Tutinas (*Na całych jeziorach ty*), na małej scenie grająca w Pinterze Krystyna Mikołajewska (*Faraon*), wyjazd na I (i jedyny) Festiwal Kultury Studenckiej do Warszawy – Pietrzak śpiewający *Ogrody* w Sali Kongresowej, świetny kumpel Maciek Zembaty. I wielki teatr we Wrocławiu. Właśnie przeniósł się

Grotowski, na którego chodziło się w Opolu, Pantomima Tomaszewskiego, europejskie sukcesy studenckie „Kalamburu” i „Gestu”, „Polski” Skuszanki i Krasowskiego. I poeci: Karpowicz (nobilizujący młodych w „Odrze”), Jacek Łukasiewicz, Urszula Koziół. Przyjaźnie z młodszymi: Wojciech Sitek (późniejszy twórca wrocławskiej socjologii), Mietek Orski (od wielu lat naczelny „Odry”), Janusz Styczeń... I ten niesamowity, fascynujący brutalnością i młodzieńczą delikatnością zarazem, wielkością poezji – Rafał Wojaczek.

Uradziliśmy w rodzinie, że będę zdawał na polonistykę. Dwa lata po maturze, po chemii, fizyce i po laborach wiedza humanistyczna bardzo niepewna. Może w Opolu będzie łatwiej zdać i przede wszystkim taniej studiować. Wtedy te pierwsze znajomości, z Ireną, z Bogusiem, z Harrym, z brzeskim nauczycielem Markiem Jodłowskim stały się szczególnie ważne. Jeśli oni tu żyją, tu piszą, to czemu nie ja. I wielka, potem dozgonna, przyjaźń z kobietą-poetką Krystyną „Dzidką” Rychnowską-Purzycką. Pracowała w muzeum. W Opolu!



Na zdjęciach: Zbigniew Kadyszewski (sekundant) i Adam Frej oraz (u dołu) Adam Frej i Krzysztof Szuwalski

Pierwszy rok wuespowskiej polonistyki. Dopiero teraz prawdziwe studenckie życie i studencka, a nie „dorosła” twórczość. Wiersze w „Famie” (zlikwidowanej po Marcu 68), teksty do piosenek na Zimową Giełdę dla Greczanika (wyjechał po Marcu do Szwecji) i Hetman (jakżeż ona miała na imię), gra w kości w „Stylowej” według autorskiego zapisu przejętego jako anonimowy twór przez następne pokolenia... Przede wszystkim jednak literatura, a w Marcu też polityka. Dyskusje, a czasem kłótnie z przyjaciółmi z roku: Adamem Frejem, Zbyszkciem Kadyszewskim, Adamem Wiercińskim, Krzyśkiem Szuwalskim, relegowany po rozprawie sądowej Stasio Żebrowski. Nasza obecność w sądzie mu nie pomogła. Właśnie kończyła się po Marcu względnie swobodna kultura studencka.

Pierwsze referaty na zaliczenie, zachwyty staropolską, na nowo odkrywanie warsztatowej wspólnoty współczesnych z wielkimi klasykami: z Kochanowskim i ulubionym Morsztynem. Może nawet piątka (po chemicznych trójkach) z baroku u serdecznej i przyjaznej pani doktor Adeli Pryszczewskiej-Kozołub.

Wykłady z teorii u znakomitego staropolanina Mariana Kaczmarka.

Tu epizod z późniejszym Panem Profesorem (mogłem Go spotykać po latach jako jurora teatralnych Konfrontacji „Klasyki Polskiej”). Usprawiedliwiam nieśmiało nieobecność na zajęciach: – Byłem w Lublinie. – A co pan tam robił? – Byłem na Zjeździe Młodych Pisarzy (1966). – To wspaniale. Niechże pan coś opowie. Niepewnie wspominam niesamowite, bardzo antypaństwowe wystąpienie Tomasza Burka (to też był Zjazd pierwszy i ostatni). Rozmowa z Panem Doktorzem przeciąga się. – Proszę mnie czasem jeszcze odwiedzić i opowiedzieć, co tam u młodych poetów. Profesor potrafił też bratać się ze studentami w celach naukowo istotniejszych. Dotyczyło to osób poważnie myślących o pracy naukowej. Z mego roku Ewy Pietrygi (miała niestety życie tragiczne) i Krzysia Szuwalskiego, który potem, po skończeniu UJ, jak Adam Wierciński po swoim krótkim belferowaniu, wrócił do pracy naukowej na WSP. Krzysztof w końcu wyjechał do Niemiec i zrobił tam wielką karierę jako wydawca. Z rzadka do siebie pisaliśmy, podobnie jak ze szwedzkim nauczycielem fizyki – Włodzimierzem (Wówką) Greczanikiem.

Z wielkim szacunkiem nasz rocznik wspomina też doktora (potem profesora) Henryka Borka. To ze względu na wiedzę, miłość do Śląska i jasny, przystępny wykład na tematy, szczególnie dla literatów, trudne. Jednak co do bratania się i serdecznych kontaktów, często nawet przy stoliku w „Stylowej”, w wiecznej pamięci pozostanie cudowne (wówczas) dziecko lingwistyki – zawsze młodzieńczy doktor Jerzy Kopeć, po którym pozostał skrót językowy, dodający ducha studenckiej braci: *obojętym Kopciem*. Na przykład: *ja to zdam obojętnym Kopciem*. Równie braterski był pan od logiki, magister Tadeusz Rilke, otoczony nimbem pokrewieństwa z Rainerem Marią. Nie miał nic z młodzieńczości, raczej steranie życiem, ale jak



Nad erkaemem. Na zdjęciu (od prawej): Jan Feusette, Adam Wierciński i Leszek Zielony



Autor, jako wychowawca, na kolonii w Smarchowicach Wielkich k. Namysłowa (1969 r.)

o tym życiu mądrze filozofował przy jednej (no, może dwóch) lampce w „Stylowej” (informacja dla młodzieży: okolice dzisiejszego Klubu Akademickiego w bloku naprzeciw stacji benzynowej, który kiedyś nazywaliśmy Domem Profesora). W bloku tym mieszkała piękna, mądra absolwentka genewskiej psychologii (od wielkiego Piageta), późniejsza profesor jednego z uniwersytetów paryskich – Kamila Witkowska, która pozwala mi dziś mówić, jak znajomość z Nią była ważna dla pewnego studenta polonistyki. Odwiedziny Rafała zawsze były świętem, bo częściej bywał u Żurakowskiego. W „Stylowej” opowiadał, jak to redagował program w więziennej radiostacji, gdzie przebywał w związku z pewnym towarzysko-politycznym ekscysem. Kiedy wyszliśmy na chłodny wieczór, pokazałem mu okno na czwartym piętrze jedynej wówczas siedziby uczelni, na Oleskiej. – Świeci się w pokoju Kamili, tej, o której ci opowiadałem. Ona ma tam mały telewizor i oglądaliśmy razem koncert tego młodego z Krakowa, chyba Grechuta czy jakoś tak.

Gdzieś obok naszej grupy towarzyskiej trwała jakże ważna praca koleżanek, jeżdżących z ciężkimi magnetofonami w misji utrwalania śląskiego folkloru przez bezcenną działalność badawczą pani doktor Doroty Simonides. Jedną z tych koleżanek była Joasia Parma (teraz Kern), która po latach życia w Niemczech odnowiła miłość do swego studenckiego Opoła i serdeczną znajomość z Panią Profesor, co potwierdziła artykułami w „Stronach”. Czyż nie ma to rangi symbolu.

Z inną koleżanką z roku, Teresą Olejnik (teraz Żółna), do dziś się przyjaźniąc i pogrywając w brydża, wspominamy błyskotliwie inteligentnego oryginała językoznawcę, którego niestety szybko wywiało z Opoła – Franciszka Bizonia. Błyskotliwym oryginałem był też przedwojenny łacinnik Mieczysław Gąszczczyński, z którym jeszcze jako uczeń III Liceum miałem lekcje – uwaga! – z propedeutyki filozofii. Kiedyś na łacinie spytał kolejno Zbyszka, Adama F. i mnie, czy jesteśmy przygotowani z tłumaczenia. Koledzy się pod-

dali, a ja, znając poczucie humoru „Gąszcza” zwanego też „Rybka Złocistą”, powiedziałem, że jestem przygotowany, tylko nie znam słówek. – To ja panu podyktuję słówka, a pan się wyłoży na gramatyce – powiedział Gąszcz. Podyktował i postawił cztery. Tak, gramatyka jest najważniejsza! – potwierdził jeszcze raz.

Pewnego razu podszedłem do stolika dziewcząt z młodszego roku i spytałem: – Nie widziałyście Freja? – Nie mówcie mu – odezwała się Krystyna – nawet cześć nie powiedział. Jakiś czas potem w „Mrowisku” te same dziewczyny robią kanapki z serem. Jedna mówi: – Wstań z tej podłogi, kanapki gotowe. A Krystyna na to: – Zostawcie go. I podaje kanapki opartemu o ścianę. Została moją żoną.

Napisałem pracę o Tymoteuszu Karpowiczu i Zbigniewie Bienkowskim jako kontynuatorach Awangardy Krakowskiej. Wielki, niezdawkowy „szacun” (gdybyż tak dzisiaj mówić jak student) dla profesora Stanisława Dąbrowskiego; za troskę o terminy, o przypisy i w ogóle za ludzkość. Pierwszy reportaż dla nowego miesięcznika „Opole” – o chemikach z Instytutu Ciężkiej Syntezy Organicznej w Blachowni. 26 sierpnia 1971 roku urodził się pierworodny syn Krzysztof, a ja miałem pierwszą w życiu radę pedagogiczną w II Liceum jako nowy polonista i bibliotekarz. Wdzięczność dla Pochronia, Goczola i Jodłowskiego za szansę pracy w redakcji. Chociaż po tekście o baroku naczelny delikatnie pogroził palcem. Nie takie tu u nas tematy na tapiecie. Był początek gierkowszczyzny.

Jan Feusette

Jan Feusette studiował na WSP w latach 1966–1971. Krótko pracował jako nauczyciel w II LO, potem jako dziennikarz w redakcji miesięcznika „Opole” (1972–1993). W latach 1982–1990 kierownik literacki Teatru im. J. Kochanowskiego w Opolu, potem jego dyrektor naczelny i artystyczny (1992–1996). Od 1996 do 2012 starszy wykładowca w Instytucie Nauk Pedagogicznych UO, od 1999 do 2011 dyrektor Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej w Opolu. Radny miasta Opoła I i III kadencji. Autor ok. 200 artykułów, głównie o literaturze i teatrze. Ostatnio wydał tom wierszy *Sprawa gardłowa*.

Zbigniew Górniak

Moja odkrytka na 20 lat uniwersytetu

Nazwałem te zapiski odkrytką. W polszczyźnie, jakiej dziś nikt już nie używa, to słowo oznacza kartkę pocztową, nierzadko z życzeniami (w tym przypadku dla UO – z okazji jubileuszu). Ale dla mnie jego dodatkowa poręczność polega na skojarzeniu z odkrywaniem się.

Tak, odkryję się tu nieco, choć nie liczcie na momenty! Przecież może to przeczytać młodzież. Choć czy ona cokolwiek dziś jeszcze czyta?

1.

I znowu tu jestem. W samym środku węzła, jeśli posłużyć się metaforą pętli, choć ona, ta pętla, kojarzy się źle, bo samobójczo. A tu chodzi zaledwie o pętlę czasu.

To samo miejsce, choć po liftingu zmiany ustrojowej i wszystkiego pożytecznego, co po niej nastąpiło. Te same twarze, nawet nie ukąszone słynnym zębem czasu. Może jak się sam człowiek starzeje, to i u innych tego nie zauważa? Tak czy tak, to specyficzne uczucie oglądać swoich nauczycieli akademickich po 25 latach i kłaniać im się już jako kolega z pracy.

Oczywiście, wiele twarzy nowych, bo zastępowalność pokoleń to zasada, która dotyczy nie tylko mrowiska czy stada fok, ale i uczelni wyższej. Ci młodzi uśmiechnięci, mocno smartfonowi, piekielnie zaganiani i uginający się pod brzemieniem projektów, głównie unijnych.

2.

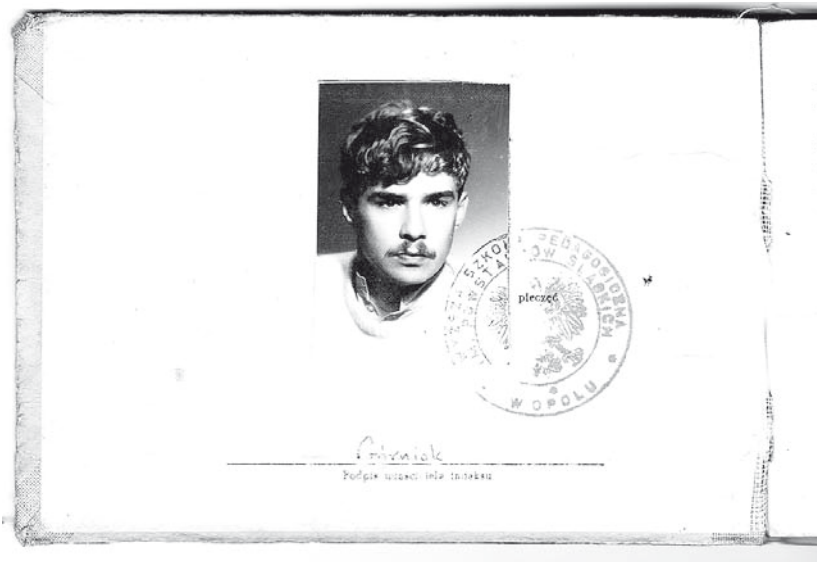
Są jeszcze studenci, bo to przecież uniwersytet. Studenci, z którymi zajęć na początku piekielnie się bałem, a dziś mam tylko taki kłopot, że za mało czytają i czy przyjmować ich zaproszenia do grona znajomych na Facebooku. Podobne rozterki miewam, gdy otrzymuję „fejsowe” zaproszenie od swoich byłych nauczycieli.

W obu przypadkach bywam niekonsekwentny, co jest wynikiem tego, że moja uległość i uprzejmość wciąż zmagają się z poczuciem niestosowności i nie chodzi o jakieś względy obyczajowe, bynajmniej. Nie jestem też nadętym ważniakiem, drżącym, by mu korona z głowy nie spadła. Tu chodzi raczej o ten naturalny odwieczny podział na Indian i kowboi, którzy mogą czasem wypalić fajkę pokoju, ale nie powinni jej nabijać haszyszem, żeby nie zaburzyć dystansu.

Powiada się, że Facebook zdechnie niebawem wskutek masowej ucieczki młodych, którzy nie chcą w sieci kolegować się ze swoimi rodzicami. Może do tej śmierci przyczyni się też dezercja nauczycieli, którzy nie chcą kolegować się ze swymi uczniami? I na odwrót: uczniów, których krępują zaproszenia od nauczycieli, nawet od tych, których uwielbiali. Bo co innego wychylić z nauczycielem lampkę szampana na studniówce, a co innego otwierać przed nim swoją prywatność. Nawet jak się ma 50 lat, a on 70.

3.

Zatoczyłem pętlę o obwodzie 25 lat, ale jej średnica nie jest zbyt duża. Najdalej zaniósł mnie do Wenezueli, ale to się nie liczy, bo co można prze-



Fotografia z indeksu, z pieczęcią Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu



Absolwenci uczelni na schodach Studenckiego Centrum Kultury UO. Na zdjęciu (od lewej): Radosław Świąt, Zbigniew Górniak i Arkadiusz Wiśniewski

żyć przed dwa *alles inklusive* tygodnie oprócz kawa i przeżarcia? Do tego osiem miesięcy wojska i sześć tygodni sanatorium u doktora Granady. Poza tym tkwię tu jak ten krzok ze słynnej śląskiej trójcy demograficznej *pniok, krzok i ptok*.

Po co te zwierzenia? Z osobistej wdzięczności. Bo praca na uniwersytecie oprócz wielu korzyści, jakie mi daje, pozwala jeszcze okiełznać czas. Poukładać wspomnienia, uporać się z tym wszystkim, co się stało pomiędzy odebraniem dyplomu a dniem dzisiejszym.

Gdy chodzę po sfatygowanym gmachu przy Oleśkiej, czuję nieustające *deja vu*. Tak samo czuję się zapewne dawni mieszkańcy miast kresowych, gdy spacerują po swoich nostalgicznych uliczkach. Albo obywatele Bundesrepublikii odwiedzający Heimat, którzy mijając hutę Małapanew albo hutę Andrzej, rzucają do swoich dzieciaków na tylnym siedzeniu mercedesa: *A tutaj po szkole robiłem przez dwanaście lat*.

Niedawno rozmawiałem z kimś ważnym w budynku, gdzie za moich czasów mieścił się akademik. Nie mogłem się skupić, bo wciąż miałem przed oczami to, co wyprawialiśmy w tym pokoju po zaliczeniu zimowej sesji w 1987 roku.

4.

Moje dzisiejsze biurko stoi mniej więcej w tym miejscu, gdzie na zapleczu baru klubu „Kocioł” trzymano beczki z piwem. To był tak zwa-

ny *pierwszy escek*. 20 lat temu lubiłem tu przychodzić i wisieć na barze do zamknięcia, zadając sztyku startą skórzaną kurtką i zapalniczką Zippo.

Pierwszy SCK był miejscem, gdzie kondensowała się cała uroda, wariactwo i łączywość pierwszej połowy lat 90. Studenci aktywni dorabiali się na piwie, bramki pilnowali ludzie z miasta, a stoły bilardowe stawały w najbardziej nawet niedorzecznych miejscach. Ja miałem zawsze wjazd za darmo i bez kolejki.

A dziś w praktycznych murach Collegium Civitas nauczam dziennikarstwa i kombinuję, co zrobić, aby uniwersytet jeszcze lepiej kojarzył się społeczeństwu i jego potencjalnym studentom. Czy ten zbieg okoliczności nie jest zabawny? A może nawet wymowny? I czy to naprawdę tylko zwyczajny przypadek?

Napisałem o *praktycznych murach*, a nie *dostojnych*, jak się zwykło pisać sztamowo, bo po pierwsze, zbyt świeże to mury, a po drugie, czy może kiedyś nabrać dostojności ściana obłożona styropianem, w którą jak się puka, to wydaje głuchy odgłos? No ale przynajmniej pracuje mi się w ciepłku.

5.

Co innego Collegium Maius. Tu styropian byłby świętokradztwem, więc rachunki za ciepło są pewnie kosmiczne. Trudno, taka jest uroda i ta-

ki jest koszt dostojności, co piszę bez szczypty ironii, waląc się przy okazji kulakiem w pierś. W czasach bowiem, gdy podpalałem sobie papierosy zapalniczką Zippo, wadziłem się felietonowym piórem z władzami UO, które chciały zlikwidować targowisko „Cytrusek”, niczym slums buzujące u stóp wznoszącego się uniwersytetu. Jakże ja kochałem ten buz. Kapitalizm, wolny rynek i walka o przetrwanie od czwartej rano, te sprawy. Ręce precz od przekupek i sprzedawców kiełbasy!

Dziś, starszy i mniej silny, nie jestem już taki chojrak. Majestat, aby nim pozostał, nie może chadzać w rozczłapanych butach. A tak właśnie prezentował się wtedy uniwersytet z tym moim ukochanym „Cytruskim” jako swoim przedpokojem. Majestat wymaga dystansu przestrzennego i dobrze, aby ten dystans był zagospodarowany czymś bardziej estetycznym niż bazarowe budy.

A zresztą ci, którzy czerwonymi od mrozu dłońmi podawali nam wtedy na „Cytrusku” egzotyczne frykasy i papierosy bez akcyzy, i tak przegrali w dziejowym procesie. Polegli, bo nie załapali się na akumulację pierwotną, która w polskich warunkach pierwszej dekady XXI wieku polegała na oddzieleniu się biznesmenów od biznesu i przejściu do niezliczonych centrów oraz agencji – rozwoju, modernizacji, wspierania i czegoś tam jeszcze. Ci działacze gospodarczy, sownie dotowani, z politycznymi stemplami na czołach, zamiast robić biznes, wciąż o nim gadają. Kolumbowie innowacji, które na zawsze pozostaną na papierze.

Więc teraz u stóp uniwersytetu jest równie ohydny parking. Choć ja, gdy wypada mi jakieś spotkanie w rektoracie, wstaję tego dnia pół godziny wcześniej i prasuję sobie koszulę. Z szacunku dla majestatu.

6.

Słowo „uniwersytet” to moc i jakość. Należy do tej samej grupy rzeczowników co „fundament”, „pewnik”, „baza”. Daje poczucie stabilności. Uspokaja, krzepi, ma właściwości dobrego znaku towarowego. Mieć uniwersytet w swoim mie-

ście, to jak mieć w mieszkaniu wazę z dynastii Ming pośród barachła z supermarketu.

Teraz mam tego pełną świadomość, choć gdy jeszcze przychodziłem do „pierwszego eseku” w skórzanej kurtce, na którą czyhał każdy dyskotekowy złodziejaszek, była to dla mnie taka sama uczelnia jak każda inna. Nie wyłączając tych wszystkich wyskakujących jak wysypka Wyższych Szkół Zawijywania Sznurowadeł i Pastowania Butów w Trąbkach Wielkich.

Niejasno zacząłem przeczuwać znaczenie słowa „uniwersytet” dopiero w 1996 roku. Jak na dziennikarza, to lekko opóźniony zapłon. Dlaczego tak dobrze pamiętam datę?

Tego roku Polska Agencja Prasowa rozesłała po kraju następującą depezę:

Doroczna nagroda wrocławskiego miesięcznika kulturalnego „Odra” przyznana została Ryszardowi Kapuścińskiemu za jego dotychczasową twórczość – reportaże i eseje będące wymownym i wnikliwym świadectwem epoki, w której żyjemy. Ponadto rozstrzygnięty został ogólnopolski konkurs „Odry” na reportaż i artykuł publicystyczny pod hasłem „Krótki kurs kapitalizmu”. Laureatem I nagrody został Zbigniew Górniak z Opola za reportaż „Witaj miotło”.

Koledzy z pracy, jak to koledzy, puścili małą notkę gdzieś na boku strony. W Opolu to norma. Aż tu nagle, w ozdobnej kopercie, posłaniec przynosi list z uniwersytetu. Szykowny papier, nieomal królewskie pieczęcie, dostojny styl, w którym sformułowano gratulacje oraz dumę, że mają takiego absolwenta. To było dla mnie bardzo niezwykłe, że komuś takiemu jak szef uniwersytetu chce się układać do mnie osobisty list z powodu reportażu, który napisałem w jedną noc, lewą ręką i po trzech piwach.

Ten list długo wisiał nad moim biurkiem w NTO, trzymam go teraz w swoich osobistych papierach. Jest podziurkowany jak twarz człowieka, który przeszedł ospę, bo przypinałem do niego przez lata różne fiszki, wizytówki, zdjęcia. Drobiazg?

Zbigniew Górniak jest absolwentem opolskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej – studiował filologię polską w latach 1983–1988. W latach 1988–2005 był dziennikarzem „Trybuny Opolskiej”, a następnie „Nowej Trybuny Opolskiej”. W latach 2005–2007 – redaktor naczelny wrocławskiego „Echa Miasta”. Obecnie pracuje w Dziale Promocji UO. Prowadzi zajęcia z dziennikarstwa prasowego, współpracuje z „Nową Trybuną Opolską” i Radiem Opole. Felietonista, autor trzech powieści wydanych m.in. przez WAB i Wyd. Prószyński i s-ka.

Może, ale przez takie dziurki wlewa się człowiekowi do głowy olej.

7.

Przez kilka semestrów na warsztatach dziennikarskich serwowałem każdej nowej grupie takie ćwiczenie. Oto dwa teksty opublikowane z okazji którejś tam rocznicy 13 grudnia w dwóch różnych gazetach. Tytuł dobrego reportażu z NTO: *General Jaruzelski? A kto to? – pytają licealiści*. Tytuł tekstu omawiającego w „Rzeczpospolitej” kolejną sondę: *Młodzież chce rozliczenia stanu wojennego*. Jak się ma w tym odnaleźć czytelnik?

Aż ostatnio wpadłem na pomysł, żeby – zanim rozdram teksty do analizy – zapytać, kto wie, co się stało 13 grudnia. Wiedziała jedna osoba. Podkreślałam, pytałem przyszyłych dziennikarzy.

Nie przytaczam tutaj tego, aby się pastwić nad stanem wiedzy współczesnej młodzieży. Nie wyręczę się tu zatem rytualną odzywką *za moich czasów...* i narzekaniem, że głównym tematem rozmów studenckich, jakie zdarza mi się czasem podsłuchiwać, są taryfy telefonii komórkowej oraz to, ile kto wypił na imprezie. Za moich czasów też się tym przechwalaliśmy.

Po co zatem o tym opowiadam? Bo po początkowym szoku, pomyślałem sobie, że może to są już całkiem inni ludzie? Inni studenci? Inni Polacy? Może mają już całkiem inne mózgi? Może całkiem inaczej odliczają czas i od innych niż my cezur? Może taką granicą jest dla niektórych przejście z jednej telefonicznej taryfy do drugiej? Albo zamiana Microsofta na Apple? Wejście na Facebooka i opuszczenie go?

Nie chcę tego oceniać, ja tylko pytam. A wiecie, co mi najmocniej uświadomiło tę różnicę? To, że gdy redakcja „Indeksu” poprosiła mnie o jakies zdjęcie z czasów studiów, którym można

by ozdobić tę publikację, uświadomiłem sobie, że nie mam i nigdy takiego zdjęcia nie miałem. Poza tym, które zrobiłem sobie do indeksu, ale tego z małej litery.

Dziś jednego tylko dnia na jeden tylko Facebookowy profil jednego tylko studenta potrafi wskoczyć tyle zdjęć, ile kiedyś nie robili sobie studenci licznego roku przez całe studia.

8.

Na słowo UNIWERSYTET na dyplomie nie łąpałem się. Zabrakło mi sześciu lat i nie wiem, jak bardzo musiałbym bimbać, nie wiem, ile wziąć dziekanek zdrowotnych czy jakie tam jeszcze były, żeby dotrwać na studiach do ważnego roku 1994.

Poza tym, musiałbym to jeszcze wtedy wiedzieć. A za moich czasów nikt przecież nie podejrzewał, że stara pocziwa i przyzwoicie kształcąca WSP zamieni się nobliwy w uniwersytet. A nawet jeśli jacyś aktywiści czy społecznicy już planowali to brawurowe wywyższenie, to nie chwalili się tym wszem i wobec. Wtedy słowa *promocja* nie używano nawet w sklepach, zresztą i tak nie było co promować.

Sześć lat to kawał czasu, tym bardziej, że i tak uciekły mi trzy lata, bo po pierwszym nieudanym podejściu na anglistykę, zwiąłem przed wojskiem do prószkowskiej Pomologii. Która dzisiaj – co za kolejny zbieg okoliczności! – jest już własnością UO. Taka moja dodatkowa pętelka czasu związana przez życie na pętli głównej. Czy przypadkowa?

Prawie każdy psycholog, spośród tych, z którymi zetknął mnie los, mawiał, że w życiu nie ma przypadków.

Zbigniew Górniak

Bartosz Sadliński

Dwa razy niebo i raz ziemia

Choć parę lat temu „Big Cyc” nie śpiewał jeszcze o tzw. słoikach, zjawisko to bez dwóch zdań istniało; czekało tylko na nazwanie. Osobiście wyłamywałem się z kręgu prawdziwych słoików jedynie tym, że wałówka, którą otrzymałem, pakowana była do plastikowych pojemników (często po lodach). Na odbiór racji żywnościowych czekałem zwykle przy głównym dworcu autobusowym; stałem dopóki kierowca nie przyjechał i nie wręczył mi napakowanej torby.

Żeby tego było mało, stanie przy dworcu dawało przekrój chyba całego społeczeństwa. Takie miejsce nie może zresztą istnieć bez osób, którym – nazwijmy to najogólniej – trochę w życiu nie wyszło. Więc proszą, co łaska (lecz zwykle nie mniej niż złotówka). Zresztą nowoczesny pozyskiwacz drobnych nie wstydzi się już swoich motywacji i zapotrzebowań. *Nie będą ściemniał, że potrzebuję na chleb* – potrafi zdobyć się na szczerość.

Przygody związane z migracjami wałówki na trasie Prudnik-Opole to jednak nie wszystko. Studiując, przekonałem się także o względności wpisanej w percepcję przestrzeni. Otóż mieszkalem przy ul. Kościuszki, w pierwszym (od strony deptakowej Krakowskiej) bloku zwanym potocznie akwariem. Cóż za zbieg okoliczności, że moje obecne prudnickie lokum mieści się również przy ulicy, której swoje nazwisko podarował słynny przywódca powstania, i co więcej blok nosi tę samą ksywkę (jedynie piętro z najwyższego zmieniło się na najniższe). Ale to tak na marginesie... Wracając zatem do względności – gdy przez pierwsze trzy lata studiowałem w Collegium Maius UO (mieszczącym się przy placu Kopernika), wówczas (z radością po swojej stronie i zrozumieniem po stronie odbiorcy) mówiłem, że mieszkam na początku ul. Kościuszki. Gdy zaś przez ostatnie dwa lata studiów pobierałem nauki o rodzinie na Wydziale Teologicznym, wówczas (już z mniejszą radością własną i z mniejszym zrozumieniem po stronie odbiorcy) informowałem, iż moje lokum mieści się na końcu ulicy. Fakt, musiałem przejść ją całą, żeby dojechać na wydział. I z powrotem.

Spotkanie organizacyjne dla nowych studentów Wydziału Teologicznego jakoś zapadło mi w pamięć. Już na wstępie dowiedziałem się o licznych formach pomocy materialnej dla studentów, co rozwiało (zalegające jeszcze w mojej neofickiej głowie) resztki negatywnego nastawienia do tzw. bogatych księży. Duchowny, który pokusił się o parę słów wstępu, najpierw przedstawił się jako mól książkowy, a następnie zaznaczył, że chrześcijaństwo to religia ludzi inteligentnych (*inteligentnych studentów, rolników itd.* – dodał, jakby na

wszelki wypadek). Prosił też, byśmy nie odcinali się od swoich korzeni. Miał jeszcze trzecią myśl przewodnią, ale niestety nie udało mi się jej zapamiętać.

Na Wydziale Teologicznym najpierw zwróciła moją uwagę jedność czasu i miejsca akcji. Niemal wszystkie zajęcia odbywały się w tej samej sali, zupełnie jak w edukacji na poziomie pierwszej, drugiej i trzeciej klasy szkoły podstawowej. Wykładowcy (w większości w koloratkach), przychodząc na nasze zajęcia, podnosili z podłogi przenośną katedrę, kładli ją na biurku i, oparci o nią, mówili wykład. Często zaczynał się on modlitwą. Na jednym z pierwszych wykładów ksiądz poprosił z uśmiechem, by osoby wierzące pomodliły się z nim wspólnie, zaś niewierzące nie przeszkadzały.

Cóż, gdy szedłem na nauki o rodzinie (bo taki właśnie dwuletni magisterski kierunek rozpocząłem na Wydziale Teologicznym), byłem przekonany, że wybierają się tam wyłącznie ludzie wierzący. Sądziłem, iż ateista, agnostyk czy nawet wyznawca którejś denominacji protestanckiej nie chciałby skazywać się na dyskomfort, wynikający ze słuchania wszystkich tych katolickich treści, a poza tym od początku uważałem ów kierunek za dający niewielkie perspektywy na zatrudnienie w tzw. swoim zawodzie, więc uznałem, że studiuje się go raczej dla idei, traktując jako rekolekcje z indeksem w rękę. Wyszło na jaw, że grubo się pomyliłem. Sporo osób, i to wcale nie żart, nie zdawało sobie sprawy, na jakim wydziale mieści się kierunek, wyobrażając go sobie raczej jako pedagogikę o innej nazwie. Jak zwykle nasłuchiwałem się też o hipokryzji księży i różnych ich zachowaniach, które *idealistę kłują w oczy*. Ja jednak mam zawsze podobny problem (czy raczej szczęście), że gdy słyszę ostrą krytykę pod adresem kościoła, mam szczerze (nieideologiczne) poczucie, że chyba mowa jest o czymś (lub o kimś) innym niż to, co dane mi było poznać w swoim (już teraz 28-letnim) życiu.

Studiując na Wydziałach Teologicznym i Filologicznym (wspomniane Collegium Maius), zobaczyłem pewne podobieństwa. W obu przypadkach byłem bliżej nieba. Można się domyślić, w jakim sensie owo zbliżenie nastąpiło w przypadku Wydziału Teologicznego. Jeśli zaś chodzi o Filologiczny, od początku (jeszcze zanim przeniosłem się z polonistyki na kulturoznawstwo), żartowałem, że – jak przystało na poetów – jesteśmy wysoko, pod chmurami. Nasze zajęcia odbywały się głównie na trzecim piętrze, a tam przez szklany sufit widzieliśmy błękit. Collegium Maius, jeden z pierwszych odnowionych budynków Uniwersytetu Opolskiego, robił wrażenie. Gdy zaczynałem polo-

nistykę, dziwnym trafem tłukły mi się po głowie słowa z *Dnia świra o braciach polonistach i siostrach polonistkach*, którzy myśleli, że nogi Boga złapali, że oto przyjęto ich do szkoły poetów. Wtedy wydawało mi się, że mam do tych słów stosunek (auto)ironiczny. Okazało się jednak, że nie do końca.

Dyskusja o symulakrach (Jean Baudrillard), rozmowa o tym, że mit jest słowem (Roland Barthes), zgłębianie semiotyki według Umberto Eco (który – jak się okazało – napisał coś więcej niż tylko *Imię róży*) – to brzmiało dumnie. A do tego analiza, czym różni się turysta od włóczęgi (w opisie świata postmodernistycznego, autorstwa Zygmunta Baumana) – to wszystko pozwalało poczuć pod dotykiem palców owe nogi Boga. Wiedzieliśmy, że wszystko zależy od kultury. Kanibalizm, a następnie rytualne torsje? Czemu nie. Częstoowanie kolegi, który przyszedł w gości, własną żoną – żaden problem. Co kraj, to obyczaj. Taka perspektywa pozwalała – w zależności od nastroju i sytuacji – nabrać dystansu do własnej kultury, ale też ponabijać się z „dzikusów”.

Przede wszystkim jednak rządziła śląska kultura tradycyjna – samo bogactwo. Słowa „mądrość ludowa” od początku budziło we mnie podejrzenia. Kładę to jednak na karb młodzieńczo-mieszcząńskiej megalomanii. Lecz w jednym na pewno zgadzałem się z prof. Dorotą Simonides – w kulturze ludowej nikt nie czuł się samotny. Mnie zaś to poczucie bez wątpienia towarzyszyło właśnie w pierwszym okresie studiów. To był jednak zaszczyt. Być samotnym – jak Stachura, jak Wojacek. Być niezrozumianym i nieprzystosowanym, więc ciekawym. Nosić płaszcz, szal i długie włosy, błyszczeć wiedzą o Kancie, dumnie nazywać wszelkie religie (na czele z najpopularniejszą w Polsce) kiczem filozoficznym, zakochiwać się nieszczęśliwie i pisać o tym wiersze... Na szczęście pewne rzeczy przechodzą jak trądzik. A wtedy najbardziej inspirującymi filozofami przestają być Nietzsche na zmianę z Schopenhauerem.

Owoce moich studiów kulturoznawczych okazała się jednak książka, pierwsza niewierszowana, którą wydałem. Pisząc pracę licencjacką, od początku starałem się uniknąć pustego przebiegu. Myślałem: skoro już wkładam tyle energii i serca w napisanie książki (zwykłem złośliwie nazywać wszelkie prace dyplomowe *książkami, których nikt nie czyta*), to chcę ją chociaż wydać. Moja promotorka od początku miała ze mną problem. Zamiast rozprawy naukowej (w wersji mini, ale jednak) spod elektronicznego pióra wychodził mi



Bartosz Sadliński

zbiór esejów. Musiałem więc pewne rzeczy zmieniać i doginać, aby było bardziej metodologicznie. A gdy dwa lata po obronie wydałem ową pracę, wszystko było już po mojemu. Pozycja nosiła tytuł *Ziemia prudnicka wierszem. Motywy lokalne w twórczości Daniela Długosz-Pency, Edmunda Działoszyńskiego, Edwarda Sztonyka i Zofii Kulig*. Książka ta w dużej mierze uformowała mi drogę do gazety, której zostałem etatowym pracownikiem. Pisanie pracy licencjackiej może mieć zatem swoje pożytki, także po obronie. Ja i moi współtowarzysze na studiach byliśmy zresztą pierwszym rokiem, który ową pracę pisał. Towarzyszyła nam więc atmosfera eksperymentu. Tematy, które podejmowaliśmy, nie nosiły jednak zbyt dużego stresu. Fryzury, zielarstwo, łańcuszki szczęścia, SMS-y, legendy miejskie – jednym słowem problemy typowe dla kultur rozwiniętych i to w czasach pokoju, względnego dobrobytu oraz... bezrobocia.

Z kolei moja praca magisterska (pisana i broniąca już na Wydziale Teologicznym) niosła ze sobą inny stopień zakręcenia. Otóż, nie robiąc badań empirycznych, pisaliśmy o autyzmie, seksuolizmie, syndromie postaborcyjnym czy innych zagadnieniach występujących w szczegółowo opisanym pod względem medycznym świecie. Ja np. jako teoretyk wypowiadałem się na temat schizofrenii. Jak mawiają – ornitolog nie musi fruwać. W każdym bądź razie – moja praca tym razem nie ukazała się drukiem (chyba, że mowa o użyciu domowego urządzenia wielofunkcyjnego). Nie stało się tak również z trzecią z moich dyplomowych rozprawek. Miałem bowiem przyjemność studiować także socjologię (licencjacką, zaocznie), lecz tę na Politech-

Bartosz Sadliński (ur. 1986 r.) mieszka w Prudniku. W latach 2006–2011 – stacjonarne studia na Uniwersytecie Opolskim: kulturoznawstwo (licencjat) oraz nauki o rodzinie (magisterium). Jest także absolwentem Politechniki Śląskiej (socjologia – licencjacka, zaocznie; dyplom w 2010 r.). Pracuje jako dziennikarz i redaktor w „Tygodniku Prudnickim”, prowadzi tam dział terenowy. Wydał dwa tomiki wierszy: *Nomen omen* (2009, współautor zbioru – Maciej Dobrzański) oraz *Piosenki na zadany temat* (2013).

nice Śląskiej. Do dziś żartuję, dokonując drobnych napraw hydraulicznych czy konstruuując mebel z gotowych części, że przecież jestem absolwentem uczelni technicznej.

Na trzecim z kierunków (wspomnianej socjologii) miałem najmniejszy kontakt z niebem. Polepszeniu uległy natomiast relacje z ziemią; w Zabrze grawitacja była jakby silniejsza. Przemysłowy i mało estetyczny (choć lepszy niż kiedyś) Górny Śląsk plus kontakt z ludźmi pracującymi (takich jest przecież najwięcej na studiach zaocznych), którzy przybyli tam nie ze względu na ambicje intelektualne, lecz dla dyplomu (by nie być już – jak mówił mój 40-letni kolega – *fizolem* aż do emerytury) – wpływały na ową grawitację. Niektórzy z moich znajomych wyznawali nawet z rozbrajającą szczerością, że wybrali socjologię dlatego, iż *nie ma tam matmy*. Jakim zaskoczeniem była więc dla nich logika, statystyka czy demografia społeczna. Może to moje subiektywne przekonanie, ale uważam, że doskonałym sposobem na to, by studia (zwłaszcza humanistyczne) nie odrealniły młodego człowieka, jest właśnie praca – w tzw. międzyczasie. *Nie rób dwóch kierunków, lepiej idź równoległe do pracy albo na praktyki* – mówię nieraz swoim młodszemu kolegom (dając upust ojcowskim instynktom). Zresztą znam już brutalne realia rynku pracy, choć i tak – w porównaniu do wielu moich przyjaciół i znajomych – przez to bażno przeszedłem raczej suchą nogą.

Spośród moich znajomych ze studiów dziennych w Opolu, pewna część – nie powiem – pracowała. Kolega, myjąc po nocach podłogi w jednym ze śródmiejskich fast foodów, podkreślał wprawdzie, że w tej pracy *niczego nie tworzy*, jednak – fakt faktem – robił to; później zaś wsiadał na rower i wracał do mieszkania na Zaodrze, by na drugi dzień wstać na zajęcia. Niektórzy zostawali złotoustymi telemarketerami, a jeszcze innym udało się nawet załapać do księgarni. Student zawsze jakąś pracę znajdzie – po pierwsze rzadko interesuje go etat, po drugie nie trzeba odprowadzać za niego składek emerytalnych, a po trzecie żadna praca go nie hańbi. No, prawie żadna.

Ja jednak podczas studiów czułem się stworzony, a jakże, do rzeczy wyższych. Chodziłem na spotkania autorskie z poetami, pytałem ich, czy artysta może być szczęśliwy, słuchałem o przesycie, pustce, pęknięciu, poznałem manifest neolingwistów oraz czeskie erotyki tłumaczone na polski (do dziś czuję konsternację na myśl o metaforze krótko przystrzyżonego trawnika). Cóż, choć w rodzinie i wśród przyjaciół można było zabłysnąć wiedzą abstrakcyjną, to jednak czuło się oddech bezrobocia na karku i widmo matczynych słów: *A nie mówiłam!*. Już wtedy, gdy byłem w okresie licealnym, walczyła przecież z psychologią, filozofią i innymi mało lukratywnymi pomysłami na życie.

Jeszcze po zrobieniu licencjatu z kulturoznawstwa myślałem o filozofii. Mając wtedy względną niezależność finansową (z tytułu renty rodzinnej), mogłem studiować praktycznie co chciałem. Istniała nawet

opcja, by przeprosić się z filologią polską (pytanie, jakim byłbym polonistą po dwóch latach studiów uzupełniających magisterskich na tym kierunku; jednak to już problem systemu, a nie mój). Jednak jako że kulturoznawczy koniec studiów licencjackich zbiegł się u mnie z nawróceniem, postanowiłem wykorzystać szansę na wyrwanie się z matni relatywizmu i nie poszedłem na filozofię. Po co mi uczyć się o monadach, nadczłowieku czy triadzie dialektycznej, skoro moim Panem i tak jest Jezus Chrystus... Zresztą i tak sporo już na ten temat wiedziałem (trzytomowy Tatarakiewicz dumnie figurował na mojej półce). Poszedłem więc na Wydział Teologiczny. Fakt, posypały się gromy. Ostrzegano mnie, że bezrobocie ostrzy już na mnie kły i pazury; zaś wiele osób (nawet chodzących do kościoła) patrzyło z przymrużeniem oka na to, że wybieram właśnie wydział teologiczny. Jednak głębokie przekonanie (i wsparcie paru osób) wygrało.

Co do okresu swoich studiów mam jednak mieszane uczucia. Dziś, gdy w tekstach publicystycznych wypowiadam się na temat rynku pracy, zwracam uwagę na jeden z ważnych aspektów bezrobocia. Chodzi o niedostosowanie kwalifikacji absolwentów do potrzeb rynku pracy, o nadmiar entuzjastów tych kierunków, które nie dają konkretnego fachu. Jeśli mogę na coś narzekać, sięgając wstecz, to z pewnością na niedostatek przygotowania praktycznego, a także na przedmioty doklejone na siłę do programu obowiązującego na danym kierunku (prawdopodobnie po to, by wykładowcy mieli odpowiednią liczbę godzin). Jednak – żeby oddać sprawiedliwość – kończąc studia, spadłem na cztery łapy i mam okazję wykorzystywać umiejętności, które zdobyłem. Praca z tekstem, szeroko pojęte przetwarzanie informacji, używanie socjologicznych, kulturoznawczych czy religijnych narzędzi do opisu życia społecznego – to na pewno się przydało.

Zapadnie mi też w pamięć trochę zabawnych momentów. Pamiętam, gdy kolega wątlej budowy kichnął z takim rozmachem, że aż spadł z krzesła. Pamiętam, gdy urwał mi się film (bynajmniej nie z powodu nadużycia alkoholu), gdy słuchałem nagrania na zajęciach z kultury muzycznej. Nieraz przywołuję też w pamięci ówczesnego rektora, któremu regularnie dzwonił telefon komórkowy, gdy przedstawiał jakiegoś ważnego gościa. Studia to także smak kawy z automatu, zakrapiane imprezy (choć w moim przypadku nie było ich szczególnie dużo), życie na walizkach, ciasne mieszkanie z przechodnim pokojem, walka z prywatnymi demonami. Ot, życie. Najbardziej chyba tęsknię za pielgrzymkami, koncertami i różnymi spotkaniami związanymi z Wydziałem Teologicznym. A że tęsknoty nie warto pielęgnować ponad miarę, jestem zaangażowany w działanie przywydziałowej wspólnoty Ruchu Czystych Serc. I często czuję się jak nieco przzerośnięty student. Zbliżając się do trzydziestki, nadrabiam swoje wczesne lata dwudzieste. Na młodość nigdy nie jest za późno.



Rodzina Załuckich w Kołomyi. Marian Załucki – jako niemowlę, w ramionach swojej niani (na zdjęciu druga z prawej). Na szczycie schodów, w białej bluzce – jego matka. Ojciec, na zdjęciu z lewej, trzyma na kolanach starszego brata

Stanisław Sławomir Nicieja

Marian Załucki – mistrz humoru

Kołomyja była miastem pogodnych ludzi. Nic dziwnego, że tam urodził się jeden z najdowcipniejszych Polaków – Marian Załucki (1920–1979). Dzięki audycjom radiowym *Podwieczorek przy mikrofonie* i *Zgaduj-zgadula*, słuchanym przez miliony rodaków, był w połowie XX wieku powszechnie znany i zapraszany na wieczory autorskie w całej Polsce i największych skupiskach Polonii na świecie. Tomiki jego satyrycznych wierszy wychodziły w 30-, 40-tysięcznych nakładach i szybko znikwały z półek księgarskich.

Syn posła na Sejm

Niewiele wiemy o jego dzieciństwie i młodości. Zachowana księga meldunkowa Kołomyi z czasów II wojny światowej dowodzi, że Załuccy mieszkali przy ulicy Legionów, w dzielnicy Wincentówka. I tam zapewne urodził się Marian Załucki. Fakt swego przyjścia na świat skomentował z właściwym sobie humorem w dwóch wierszach:

Skąd się wziąłem? To proste:

*Najpierw był chaos,
plazma i papka...*

Wreszcie spotkali się gdzieś ukradkiem

*Moja pra-pra-pra
pra-pra-pra
prababka
z moim pra-pra-pra
pra-pra-pra
pradziadkiem.*

Ona prosiła:

*– Nie figluj, bo dzień
i święty Swantewit przy drodze.
Lecz on na jej prośby
był głuchy jak pień –*

i z tego to pnia ja pochodzę.

Jeszcze dosadniej napisał o tym w drugim wierszu:

*„Myślę, więc jestem”
tak filozof się wyrażał.
A ja myślę, że jestem,
bo tatuś nie uważał. (...)*

*Dziecko – nawet genialne –
kiedy jest już w drodze,
nie może dla pewności
wyglądnać przez szparkę
i rzec:*

– Nie, w tych warunkach to ja się nie rodzę!



Emilian Załucki (1887–1932) – ojciec Stefana i Marianna Załuckich, poseł na Sejm II Rzeczypospolitej w latach 1922–1927

Warunki, w których się urodził, nie były chyba najgorsze (to przyszło później). Wszak jego ojcem był poseł na Sejm II Rzeczypospolitej Emilian Załucki (1887–1932), który urodził się w Burakówce pod Zaleszczykami. Był z pochodzenia Ukraińcem (jego ojciec, Aleksy, był duchownym grekokatolickim). Ukończył gimnazjum w Kołomyi, a później wiedeńską Akademię Handlową. W czasie I wojny światowej Emilian Załucki walczył w mundurze porucznika armii austriackiej na frontach: serbskim, rumuńskim i rosyjskim, gdzie doznał ciężkiej kontuzji – stracił nogę, amputowaną do wysokości biodra. Jego młoda jeszcze i piękna żona Maryla, wątłego zdrowia, cierpiała niewymownie z powodu kalectwa męża. Ale on radził sobie dobrze. Dostał posadę w banku w Kołomyi i nadal przejawiał dużą aktywność społeczną. Założył spółdzielnię „Dobrobyt” i restytuował Towarzystwo Handlowe „Czarnohora” w Kołomyi, którego był dyrektorem. Przewodniczył też Włociańskiemu Komitetowi Ratunkowemu Huculszczyzny.

W 1920 roku zakupił dom przy Alei Wolności, z dużym ogrodem, sadem oraz oszkloną werandą. Dom ten zachował się na starych fotografiach i rzeczywiście robi wrażenie elegancji i smaku. Weranda utrzymana była w stylu, który Konstanty Ildefons Gałczyński nazwał „świdermajerem”, dziś podobne można jeszcze spotkać w Otwocku.

W 1922 roku Emilian Załucki został posłem na Sejm Rzeczypospolitej i należał do Klubu Ukraińsko-Włociańskiego. Od początku posłowania przejawiał polonofilskie przekonania i stopniowo ulegał polonizacji, zwłaszcza gdy poślubił Polkę czeskiego pochodzenia, Marylę Tymcik, gorącą patriotkę. W parlamencie polskim zasiadał do roku 1927. W tym czasie publikował w prasie artykuły na tematy spółdzielcze. Zmarł w wieku 45 lat w Kołomyi, kiedy jego dwaj synowie: starszy – Stefan i młodszy – Marian byli uczniami Gimnazjum im. Króla Kazimierza Jagiellończyka.

Po śmierci męża, w 1932 roku, Maryla z Tymcików Załucka przeniosła się z synami do Lwowa, do swego brata Włodzimierza Tymcika – z zawodu notariusza, który miał swoje kancelarie w Kołomyi, Kutach, Gródku Jagiellońskim i Lwowie. Był dobrze sytuowany i stał się drugim ojcem dla swoich siostrzeńców.

Starszy z Załuckich, Stefan (1914–1947), podjął studia prawnicze na Uniwersytecie Lwowskim razem z kolegą z Kołomyi, późniejszym publicystą, Zbigniewem Błażyńskim. Na tym samym roku był również Henryk Holder. Ta znajomość okazała się później ważna.

Stefan Załucki po ukończeniu studiów i po krótkim okresie pracy w PKO w Warszawie, wrócił do Kołomyi, gdzie zastał go wybuch wojny. W 1940 roku ożenił się z Zofią Mogilnicką (1919–2004). We wrześniu 1941 roku, gdy Kołomyję zajęły wojska hitlerowskie, urodził się jego syn, Andrzej Załucki – późniejszy polski dyplomata, ambasador Polski w Rosji (1996–2002) i wiceminister spraw zagranicznych (2002–2005). Stefan Załucki przeżył z rodziną całą wojnę w Kołomyi. W 1945 roku, wysiedlony z rodzinnego domu, dotarł pociągiem „repatrianckim” do Tarnowskich Gór, gdzie osiadł na stałe i gdzie zmarł.



Maryla z Tymcików Załucka – matka Mariana Załuckiego, obok jej brat – Włodzimierz Tymcik, niżej jej ojciec – Bazyli Tymcik (ze zb. Lidii Załuckiej-Szwarc i Andrzeja Załuckiego z Warszawy)



Andrzej Załucki – bratanek Mariana Załuckiego, dyplomata, były ambasador Polski w Rosji i wiceminister spraw zagranicznych w latach 2002–2005 (ze zb. Andrzeja Załuckiego z Warszawy)

Inaczej potoczyły się losy jego młodszego brata – poety, satyryka Mariana Załuckiego. Dwa lata po osiedleniu się we Lwowie, w 1934 roku, zmarła jego matka. Pochowano ją na Cmentarzu Łyczakowskim. Marian Załucki został zupełnym sierotą, ale dzięki opiece swego wuja Włodzimierza Tymcika mógł kontynuować naukę w gimnazjum lwowskim.

Przed wybuchem II wojny światowej Marian Załucki zdążył skończyć podchorążówkę artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim. Był na jednym roku z synami bliźniakami pisarza Juliusza Kadena-Bandrowskiego – Andrzejem i Pawłem, którzy zginęli tragicznie w czasie wojny. W kampanii wrześniowej walczył jako działonowy. Pod Warszawą trafił do niewoli niemieckiej. Był przetrzymywany w stalagu pod Dęblinem, skąd udało mu się wydostać. Pomógł mu w ucieczce żołnierz, Austriak, pochodzący gdzieś z okolic Kołomyi i mający sentyment do ziem rodzinnych.

Po ucieczce z niewoli Marian Załucki przedarł się przez granicę sowiecko-niemiecką na Sanie i wrócił do Lwowa, do wuja Włodzimierza Tymcika. W czasie okupacji podjął pracę w przedsiębiorstwie naftowym. We Lwowie, w maju 1941 roku, w kościele św. Antoniego na Łyczakowie wziął ślub z krakowianką Adolfiną Burkiewicz (rocznik 1922). Po pewnym czasie trafił do Gorlic, gdzie nadal pracował w przedsiębiorstwie naftowym, przeniesionym u schyłku wojny do Krakowa. Tam, w 1945 roku, urodziła się jego pierwsza córka – Lidia, a pięć lat później, w 1950 roku, druga – Magdalena.

Wtedy też zaczął jeszcze nieśmiało, incydentalną współpracę z tygodnikiem „Przekrój”, a później z „Życiem Literackim” i katowickim „Kocyndrem”. Publikował fraszki i satyry. Coraz bardziej zbliżał się do es-

trady, pisząc teksty dla kabaretów. Na scenie zadebiutował w 1952 roku w programie Krakowskiego Teatru Satyryków, i to wspólnie z Marią Koterbską, która stała się w krótkim czasie pierwszą damą polskiej piosenki lat 50. XX wieku. Triumfy święciły wówczas jej szlagiery: *Parasolki*, *Karuzela* (z filmu *Irena do domu*), *Bo mój chłopiec piłkę kopie*, *Si senior*, czy *Serduszko puka w rytmie cza-cza*. Dla Koterbskiej napisał słowa do jej dwóch przebojów: *Nie o mnie* (z muzyką Mariana Radzika) i *Nikt mnie nie czeka* z muzyką Wiktora Kolankowskiego.

Zacinający się Chaplin

Urodzony i wychowany w Kołomyi do końca życia nie wyzbył się charakterystycznego, delikatnego akcentu kresowego, z czego potrafił nawet uczy-



Pięcioletni Marian Załucki w Kołomyi, rok 1925 (zdjęcia ze zbiorów rodziny Załuckich)

nić atut w występach estradowych. Był niezrównanym mistrzem prezentacji swych satyrycznych monologów. Mówił je tonem speszonym, jakby zacinając się, głosem nieco drżącym, zalęknionym, jakby paraliżowała go trema. Ten pomysł z udawaną tremą i pozornym zagubieniem był strzałem w dziesiątkę. Poniósł go do wielkiej popularności. Trzymał się tego stylu, nie odstępował na krok. Dzięki temu był natychmiast rozpoznawalny. Nie trzeba było zapowiedzi spikera. Wszyscy wiedzieli, że to Marian Załucki. Jak napisał jego przyjaciel, także świetny satyryk, Ludwik Jerzy Kern (1920–2010), wielu próbowało go naśladować i parodiować, ale z marnym skutkiem. Recytacji Mariana Załuckiego nie dało się perfekcyjnie podrobić. To, co go wyróżniało, to finezyjnie wyczelowane puenty – jasne, trafne, sugestywne. Jego wiersze były szalenie komunikatywne i nastawione na szybką reakcję publiczności.

Humor i dowcip Mariana Załuckiego wyrastał gdzieś ze świata filozofii Charlesa Chaplina. W wierszach kreował się na zagubionego, małego człowieczka: bezradnego, uwikłanego w zawiłości codziennego życia, popychanego, ciągle upominanego, potrącanego przez różnych zawistników, urzędników i polityków. I ten pozornie słaby fizycznie mężczyzna, życiowy niedorajda, posługując się wyrafinowanym, subtelnym żartem, niespodziewanie budował sobie pancierz, jakby zakładał kamizelkę kuloodporną i niczym potężny atleta, ośmieszając swych przeciwników, rozstawiał ich po kątach. Wszak dowcip i celna riposta to broń niebywale skuteczna.

Można rzec, że genialnym wynalazkiem Mariana Załuckiego była trema. Gdy po raz pierwszy trafił na estradę w krakowskim Teatrze Satyryków i to w doborowym towarzystwie, bo obok Marii Koterbskiej, Sławomira Mrożka i lwowianina Zbigniewa Kurtycza (śpiewającego przebój *Cicha woda*), zaczął wierszykiem:

*Ja tutaj tylko na chwilę.
Pięć minut, i tyle.
Powiem i już mnie nie ma.
Albo nie powiem. Trema.*

Efekt zawsze był ten sam: huragan śmiechu. Załucki był mistrzem autoironii, dystansu do siebie i otaczającego świata. W pisanie wierszy wkładał wielki wysiłek. Męczył się, skreślał, wracał po kilku tygodniach do nieskończonego wiersza, sprawdzał, jak przyjmował jego puentę przypadkowo spotkany w kawiarni kolega. Wszystko po to, aby osiągnąć jasność treści wiersza, urodę stylistyczną, subtelność i powab dowcipu. Gdy w czasie występu estradowego salwy śmiechu nie wybuchały po każdej zwrotce wiersza, przeżywał koszmar niepokoju, poprawiał, poprawiał... aż wreszcie trafił na pomysł, znalazł metaforę, która zagrała bez najmniejszego fałszywego niuansu. Dbałość o formę uważał za najważniejszy nakaz dla piszącego, co zamknął w sentencji:

*Autor ma męczyć się tak długo
żeby czytelnik już nie musiał.*

I dodawał:

*A w największych męczarniach
chyba dowcip się rodzi...
Usiądę w kawiarence, strawię parę godzin,
prawie wszyscy już wyszli – dowcip nie wychodzi.*

Ten mozół poety zaowocował. Wiersze i satyry Mariana Załuckiego zachowały swą świeżość do dziś.

Pomocna dłoń znajomego z Kołomyi

Swój pierwszy tomik wierszy opublikował w roku śmierci Stalina – 1953. Nosił tytuł *Przejażdżki wierszem*. A później przysły kolejne tomy: *Uszczypnij muzu*, *Oj-czyste kpiny*, *Niespokojna czaszka*, *Komu do śmiechu*, *Przepraszam – żartowałem* i *Czy lubi pani Załuckiego?* A ludzie rzeczywiście go lubili: za autoironię, mądry komentarz do absurdów codzienności. Nakłady jego wierszy osiągały dziesiątki tysięcy egzemplarzy.

Na początku popularności dotknęły go szykany: zainteresował się nim Urząd Bezpieczeństwa w Krakowie. W jednej z kawiarni umówił się z nim tajny agent, proponując, aby co pewien czas opowiadał mu, co przy wódce mówią jego koledzy z kabaretu, bądź redaktorzy z gazet. Gdy odmówił, zaczęły się początko-



Marian Załucki z córkami – Lidią (starsza) i Magdaleną (ze zb. Lidii Załuckiej-Szwarc z Warszawy)



Marian Załucki w czasie recytacji swojego utworu (ze zb. Lidii Załuckiej-Szwarc)

wo nieśmiało pogróżki, że straci ryczałt w gazetach, w których publikuje, że usuną go ze Związku Literatów Polskich, a w dalszej kolejności może być pozbawiony mieszkania związkowego. Ponieważ konsekwentnie odmawiał, szykany nasilały się. Ratując się, próbował symulować nerwowe załamanie. Trafił nawet na pewien czas do szpitala. Zgłosił się na konsultacje do wybitnego ówczesnego psychiatry Antoniego Kępińskiego (1918–1972) – również kresowiaka, urodzonego w Dolinie pod Stanisławowem, autora głośnych prac: *Lęk*, *Melancholia* i *Schizofrenia*. Autorytet Kępińskiego miał osłonić Mariana Załuckiego przed namolnością agentów UB. Ale nie był dostatecznie skuteczny. Wtedy Załucki postanowił skorzystać z pomocy kolegi swego brata z czasów studiów na Uniwersytecie Lwowskim – prawnika Henryka Holdera (1914–1980), który w pierwszej połowie lat 50. XX wieku był dyrektorem Biura Prawnego Kancelarii Rady Państwa w czasach Bolesława Bieruta. Holder, urodzony w Szczerczu pod Lwowem, absolwent Uniwersytetu Lwowskiego, w latach 1936–1939 był aplikantem adwokackim w Kołomyi, a później prokuratorem w pobliskim Jabłonowie. Musiał wówczas mieć kontakty ze Stefanem Załuckim. Lata wspólnych studiów zbliżają ludzi do siebie. Po wojnie Henryk Holder pełnił wpływowe funkcje, m.in. naczelnego prokuratora wojaskowego (w latach 1946–1948). Interwencja Holdera

u władz bezpieczeństwa okazała się tak skuteczna, że Urząd Bezpieczeństwa zaniechał praktyk szykanowania poety i zostawił go w spokoju.

Po opuszczeniu Krakowa Marian Załucki przeniósł się do Warszawy, kontynuując z powodzeniem swoją twórczość satyryczną, m.in. na scenach teatrów „Buffo” i „Syrena”, w kabaretach „U Lopka” i „Dudek” Edwarda Dziewońskiego. Był lubiany i wysoko oceniany również przez swych kolegów z branży satyrycznej. Marian Hemar, który miał niezwykle krytyczny stosunek do wszystkich, którzy publikowali w PRL, z Konstantym Ildefonsem Gałczyńskim i Julianem Tuwimem na czele, o Załuckim mówił z entuzjazmem. W jednej z recenzji, opublikowanej w Londynie w 1965 roku pisał: *Na pierwszym miejscu postawiłbym Mariana Załuckiego. Serce mi rosło, kiedy patrzyłem na to jeszcze jedno zdolne kresowe dziecko i słuchałem jego zgrabnych, precyzyjnych i jakże zabawnych wierszyków. Takie zjawiska jak Załucki są ozdobą klasycznego kabaretu, który kocha się we wszystkim, co młode, twórcze i oryginalne. Widać, jak wypracowane są te wierszyki, jak je autor poleruje i szlifuje, ile w nie wkłada talentu, rzemiosła i zabawy; szuka dobrych rymów, nie zadawała się jędrną puentą żartu, ale stwarza wierszyki-sytuacje, wierszyki-skecze. Załucki posiada własny, nikogo nie naśladowący styl wygłaszania swych utworów. Pod ten styl pisze wierszyki i robi z nich arcyzabawne przeboje. Byłby ozdobą każdego kabaretu.*

Miał Załucki pragmatyczny stosunek nie tylko do rzeczywistości, w której żył, ale też do historii Polski. W jednym z wierszy pisał:

*Tysiąc lat tą szablą
Cięliśmy dla glorii.
Nikt się tak jak my
Nie naciął w historii.*

A w innym dodawał:

*Gdy wojna, to Polacy na wszystkich frontach,
a gdy pokój, to zazwyczaj w oficynie.*

Obserwował, jak ciągle w Polsce zmieniała się koniunktura polityczna, jak szybko stawiano pomniki i jak łatwo je burzono, jak ludziom brakowało odwagi cywilnej, i patrząc ze sceny, mówił prosto w oczy:

*Bracia! W polityce inny wiatr dziś zawiał.
Do innego wiatru już się nas ustawia.*

Młodszy o pokolenie Ryszard Marek Groński, również satyryk o kresowych korzeniach, pisał: *Załucki z nikim nie konkurował. Nikomu nie wchodził w parady. Był kimś w jednym egzemplarzu, nie do podrobienia i nie do naśladowania. Zjawiał się i stremowanym głosem mówił wiersze i wierszyki będące naprawdę monologami, skeczami, zminiaturyzowanymi komediami. Bohaterem ich był pechowiec, zatroskany obywatel.*

*Szlachetność... Mądrość
Uczciwość...
Czemu słysząc te słowa
Każdy błędnie mniema
Że to o nim mowa?*

Mijają pokolenia, a ciągle aktualny jest wiersz *Arka Przymierza* z tomu *Przepraszam, żartowałem*:

*Od zarania dziejów – twardo, choć pomalu
Ludzkość do swojego zdąża ideału –
lecz ten świat idealny
ciągle nie jest gotów,
bo każde pokolenie
s w o i c h ma idiotów!*

*Jak jasno z powyższego
wynika stwierdzenia,
jest jednak coś, co łączy
wszystkie pokolenia.*

W 1985 roku, sześć lat po przedwczesnej śmierci Mariana Załuckiego, wydano tom jego wierszy pt. *Kpiny i kpinki*, będący antologią najlepszych jego utworów. Nakład rozszedł się w stu tysiącach egzemplarzy. Oto miara popularności Załuckiego! W tomie tym znalazł się m.in. słynny wiersz *Wyrodney syn*:

*Porządny ojciec, porządna matka,
a on – czort wie co – zagadka!*

*Znają go ludzie od dzieciństwa,
znają go niemal, odkąd żyje:
niby nie zrobił nigdy świństwa,
niby porządny, a – nie pije!*

*W całej Europie przecież wiedzą,
od Morza Czarnego
do La Manche'a,
że w Polsce dzieci tylko jedzą,
dorosły – zakansza!*

*I Ministerstwo Apropozycji
(co stwierdzam nie bez pychy)
mają wkrótce przekształcić...
w Ministerstwo Zagrychy!*

*U kobiet też nie ma szansy za grosz:
bez wódki – nie razbieriesz!*

Ta największa antologia wierszy Mariana Załuckiego, ze wstępem i w wyborze Ludwika Jerzego Kerna, nosi jeszcze znamiona ingerencji cenzury. I tak np. nie znalazła się tam fraszka *Do celników*:

*I tak przeglądali moje kufry, zaglądali do waliz,
nie zajrzeli do d..., a tam miałem socjalizm.*

Okoliczności jej powstania znamy z relacji jego kuzyna Romana Lewickiego, ministra w polskim rządzie emigracyjnym w Londynie. *Któregoś roku – wspominał Lewicki – po występach w Ameryce, przejeżdżając przez Londyn, Marian Załucki zatrzymał się u nas. Narzekał, że pewnie znowu na granicy będą mu przetrząsać osobisty bagaż, szukając nie wiadomo czego. Zwrócił się wtedy do mnie z prośbą o przechowanie fraszki, którą na tę okazję napisał.*

Fraszka ta była pokłosiem licznych wyjazdów Załuckiego do skupisk Polonii w Anglii, Kanadzie i Stanach Zjednoczonych, gdzie był prawdziwą gwiazdą. Ale za granicą interesowało go tylko to, co miało związek z Polską i Polakami. Nie poświęcił żadnego wiersza Anglii czy Kanadzie.

Ryszard Marek Groński przypomniał swego czasu incydent, który wydarzył się w Krakowie. Komisja mieszkaniowa ZLP chciała pozbawić Mariana Załuckiego mieszkania służbowego. Szef tej komisji, poeta Adam Ważyk, wówczas odgrywający czołową rolę wśród polskich literatów, powiedział: *Pan się musi*



Antoni de Chitry w mundurze c.k. armii austrowęgierskiej – zdjęcie wykonane w atelier Istvána Goszletha w Budapeszcie, w 1890 roku

stąd wynieść. To lokal dla pisarzy! A jaki z Pana pisarz?... Wtedy eksmisja była możliwa. Ale dziś, mimo że od śmierci Mariana Załuckiego mija już 35 lat, nie ma takiej siły, aby eksmitować tego kresowianina z Kołomyi z literatury polskiej, a zwłaszcza z tego działu, gdzie dominuje komedia, przedni dowcip i znakomita puenta.

W 2004 roku Danuta Żalechowska i Jan Zagozda, w konsultacji z córką Mariana Załuckiego – Lidią Szwarz, wydali płytę kompaktową z nagraniami najważniejszych utworów satyryka w jego autorskiej interpretacji. Tam zachował się jego niepowtarzalny styl prezentacji własnej twórczości.

Król kołomyjskiej bohemy

U Załuckich był popularny wówczas, a dziś kompletnie zapomniany, malarz Antoni de Chitry. Warto mu poświęcić więcej uwagi, bo był to kolorowy ptak Kołomyi: oficer zawadiaka, nie stroniący od napojów wysokokowych, król kołomyjskiej bohemy, hałaśliwy, błyskotliwy, dowcipny, skupiający wokół siebie uwagę debiutującej artystycznie młodzieży. Pochodził z alzackiej rodziny i właściwie nazywał się Antoni Ferdinand von Freissensfeld de Chitry. W młodości był oficerem c.k. armii austriackiej i służył w jednostce huzarów węgierskich. Nosił czerwony mundur ze złotymi sznurami spinającymi marynarkę. Gdy w 1918 roku odrodziła się Polska, uznał się za Polaka i wstąpił do armii polskiej. Walczył z Ukraińcami, bolszewikami i dosłużył się stopnia pułkownika. Mieszkał w Kołomyi, przy ulicy Kraszewskiego, z siostrą i wielkim psem o imieniu Bunio. Jego sąsiad z tamtych lat, Zbigniew Stankiewicz, którego los rzucił po wojnie do Cieszyna, wspominał: *W 1936 roku Chitry był na emeryturze, która wynosiła 400 złotych, a więc na owe czasy dużo. W pogodne dni siadywał na naszym podwórku, w wiklinowym fotelu. Był już schorowany, poruszał się z trudnością, często leżał w łóżku, a ja siadywałem przy nim na krześle i tak graliśmy w szachy, słuchając jego opowieści. Nad jego łóżkiem wisiała szabla, dwa pistolety pojedynkowe, ostrogi kawaleryjskie i inne akcesoria wojskowe.*

Chitry był namiętnym szachistą i znawcą win. Miał niewątpliwy talent malarski. Swoje obrazy: akwarele z portretami Huculów i landszafty z okolicami Kołomyi sprzedawał w sklepie z wyrobami huculskimi Artura Müllera, przy ulicy Kościuszki 2. Cieszyły się dużym wzięciem. Jeszcze dziś w antykwariacie kołomyjskim Wołodymyra Hawrylenki osiągają dobre ceny. Po wejściu Sowietów wyrzucono go z centrum miasta gdzieś na przedmieście i tam zmarł, już za okupacji niemieckiej, na przełomie lat 1943–1944.

W okresie, kiedy był u szczytu zdrowia i fantazji i był w domu Załuckich, wywarł poważny wpływ na Stanisława Hotzkiego – studenta prawa, a później aplikanta sądowego w Kołomyi. Hotzi zapisał się jednak

w dziejach miasta przede wszystkim jako twórca kabaretów i przedstawień, które reżyserował i do których pisał teksty. Jego śpiewogra pt. *Ekspres Kołomyja-Peczeniżyn* była w Kołomyi bardzo popularna. Widownię ścigała również jego rewia pt. *Uśmiech Kołomyi w 26 odsłonach*, do której muzykę skomponował Jan Janowski. Hotzi miał zdolności rymotwórcze i wręcz lawinowo pisał wiersze, skecze i różne rymowane opowiadki. Napisał m.in. satyryczny poemat pt. *Znaszli Kołomyję?*, który zaczynał się od inwokacji:

*Pozwól, muzo, opiewać Kołomyję sławną
Polsko-rusko-żydowską, prastarą i dawną
Stolicę Pokucia, co na każdym kroku
Przynosi nam zaszczyty i honor co roku.*

*Kołomyja stąd sławę swą posiada,
Że ma swój własny język, którym każdy gada,
Polsko-ruski „dyjalekt” z austriackim rdzeniem,
Który wszystkich zachwyca melodyjnym brzmieniem.*

Przy tworzeniu programów pomagali Hotziem Jan Spólnicki, Kazimierz Bakes i Stefan Załucki. Marian Załucki był jeszcze za młody, aby w tym towarzystwie zaistnieć.

Losy wojenne Hotzkiego były dość typowe dla ludzi Kresów. Gdy Kołomyję zajęli Sowietci, został aresztowany, ale w 1944 roku udało mu się dostać do II Armii Wojska Polskiego gen. Zygmunta Berlinga, gdzie współtworzył teatr wojskowy. Po wojnie osiadł na Śląsku. Pracował jako nauczyciel w szkole muzycznej w Wałbrzychu i w tym mieście zmarł.

W gościnnym domu Załuckich bywali też: gen. Bernard Mond (1887–1957) – zasłużony w walkach o Lwów i bardzo lubiany w towarzystwie dowódca 49. Pułku Piechoty Strzelców Kresowych w Kołomyi, starosta kołomyjski Pawlikowski, komisarz policji Urbanowicz i wiceprezydent Karol Mahr.

Wuj Romana Lewickiego, Emilian Załucki, w tym czasie poseł na Sejm, wyróżniał się w towarzystwie śpiewaniem pieśni neapolitańskich – brawurowo wykonywał m.in. *Wróc do Sorrento*. Towarzystwo w letnie wieczory bawiło się pod gołym niebem, w oświetlonym lampionami ogrodzie, przy dźwiękach orkiestry cygańskiej. Szczególne zabawy Załuccy i Lewicyc organizowali z okazji kolejnych rocznic zwycięstwa nad bolszewikami w wojnie 1920 roku. Sprzyjała temu zazwyczaj ciepła, sierpniowa pogoda. Marian Bartł, znawca i wielbiciel piosenek legionowych, wykonywał wówczas swój popisowy numer: *Wizję Szyl dwucha* – jedną z popularnych piosenek kawaleryjskich, poświęconą I Pułkowi Ułanów Krechowieckich, napisaną przez Stanisława Ratolda.

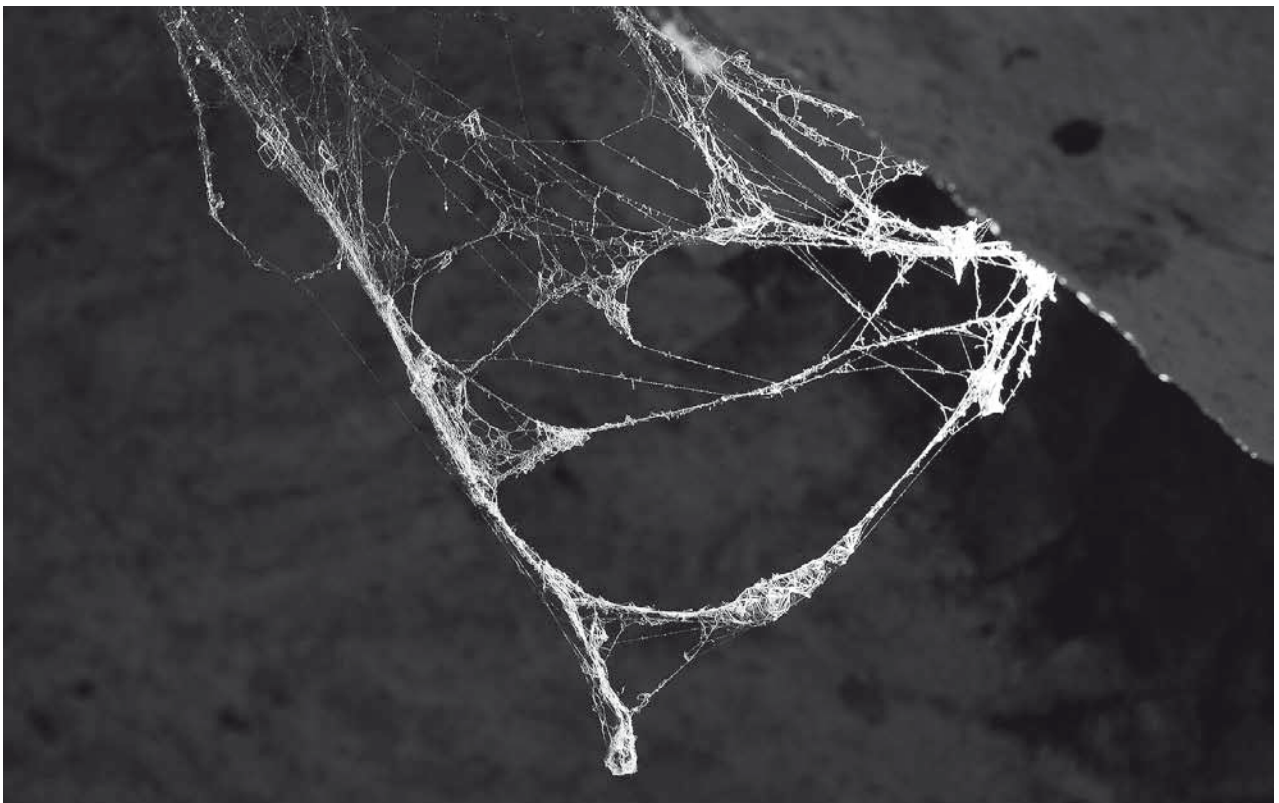
Stanisław S. Nicieja

(fragment niepublikowanego jeszcze IV tomu *Kresowej Atlantydy*)

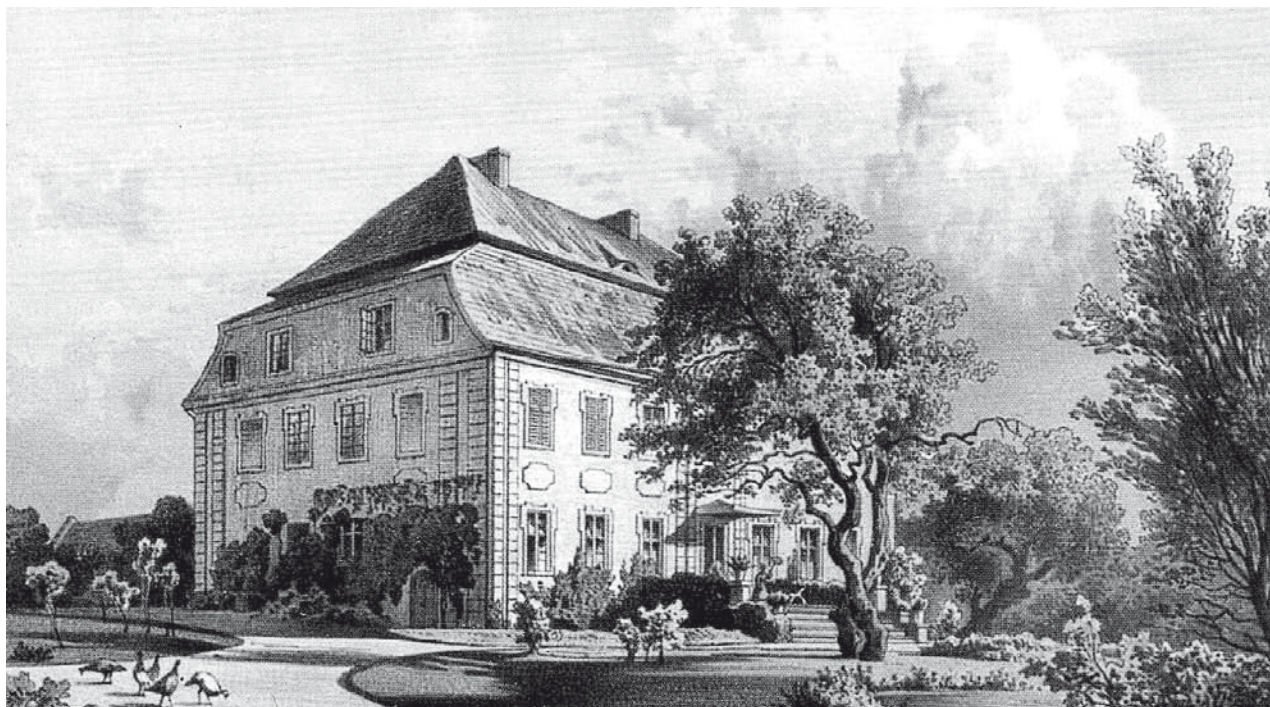
Jan Goczoł**Z mrowiskiem****2.**

Krzysztof Bucki, nie żyjący już od wielu lat
artysta malarz pochodzący z Pińczowa,
mój przyjaciel, wskazał mi na wyrosłą w naszym ogrodzie
nieopodal mrowiska wysmukłą pokrzywę:
*Przyjrzyj się jej, powiedział, jakaż kobieta dorównać jej może
subtelnym pięknem swojej sylwetki?
Z jakąż parzącą bezwzględnością broni się
przed trywialnym dotykiem!*

Rok po roku patrzę jak jaśmin jedynie
dopuszczany jest do jej bliskości,
przytulając ją do swoich wonnych wiosennych kwiatów.
Tu wszystkie młodzieńcze i wieku dawno dojrzałego
zdumienia i odradzające się wzruszenia, które są
moją coroczną zimą i corocznym wiosennym przebudzeniem,
za ich milczącą zgodą ku słońcu wystawiam.

1-2 grudnia 2013

Fot. Tadeusz Parcej



Dwór w Biestrzykowicach w latach 1875–1883 na widokówce wydanej przez wydawnictwo Namislawia

Mariusz Patelski

Historia w ruinie

Biestrzykowice – śląska rezydencja rodu von Garnierów

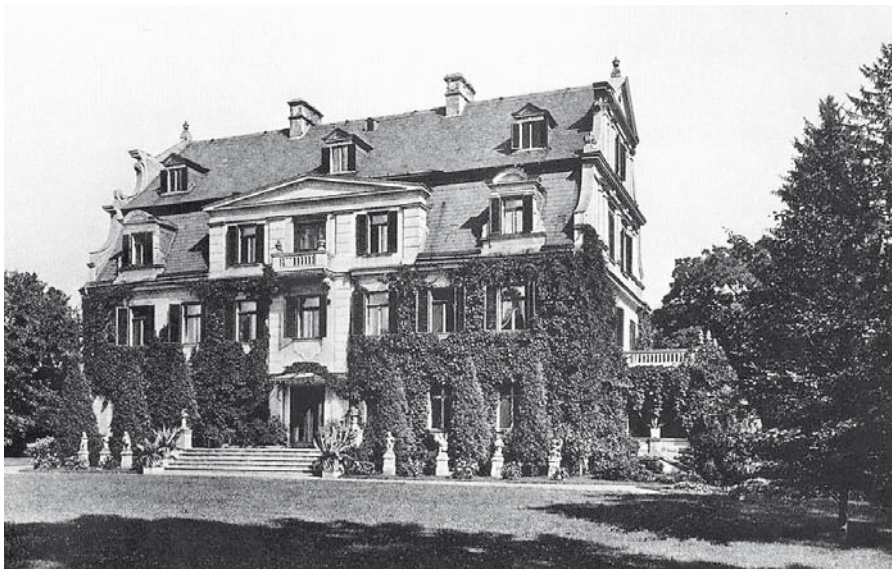
Położona przy trasie z Opola do Namysłowa miejscowość Biestrzykowice jest jedną ze starszych osad na Śląsku. Kierowcy jadący tą drogą mijają jednak wieś bez większego zainteresowania. Typowe dla okresu PRL zabudowania oraz popegeerowskie bloki nie budzą bowiem większego zachwytu. Aby zobaczyć najciekawszy zabytek tej ziemi, należy zboczyć z głównej trasy w ulicę Ludową i po przejechaniu kilkuset metrów skręcić w lewo, w zaniedbaną uliczkę położoną na skraju noszącego ślady dawnej świetności parku. Po dojściu do prowizorycznego ogrodzenia naszym oczom ukaże się wówczas gmach mocno zniszczonego dworu rodu von Garnier aus dem Hause Turawa.

Pierwsze wzmianki o istnieniu Biestrzykowic pochodzą z 1318 r. Wieś występowała w ówczesnych dokumentach pod nazwą Eckebrechtsdorf. W 1376 r. istniał tu już kościół, a niebawem powstał także dwór obronny otoczony fosą. W toku dziejów miejscowość zmieniała posiadaczy, wśród jej właścicieli wymienia się m.in.: Kotulińskich, Posadowskich, Lichnowskich i Gebhardów; prawdziwy rozwój miejscowości rozpoczął się jednak z chwilą przejścia miejscowych dóbr przez rodzinę von Frankenberg. W połowie XVIII w.

miał miejsce ślub spadkobierczyni Biestrzykowic Johanny Chrystiany von Gebhard z Franzem Weigartem von Frankenberg-Prosclitz, który pochodził z jednego z najbogatszych rodów magnackich na Śląsku. Małżeństwo wybudowało nowy barokowy dwór. Obiekt otoczony był naturalnym drzewostanem, który stanowił początek przyszłego parku. Z inicjatywy Johanny Chrystiany, rozkochanej w kulturze angielskiej, park stale poszerzano i upiększano, a w końcu ozdobiono 16 barokowymi rzeźbami m.in. dłuta mistrza Henryka Hartmanna. U podnóża dworu stanęły figury muzykujących puttów, a w głębi parku posąg Diany oraz ujmujący swą urodą zespół posągów kobiecych będących alegorią *Czterech pór roku*. W parku znalazł swe miejsce, wzniesiony po 1792 r., grobowiec rodzinny Frankenbergów ozdobiony figurą oplakującego putta.

Pod rządami von Garnierów

W pierwszej połowie XIX w. dobra biestrzykowickie ponownie zaczęły zmieniać przynależność. Ostatecznie, w 1847 r., weszły w posiadanie, na 98 lat, w rę-



Dwór w Biestrzykowicach w latach 1875–1909 (źródło: dolny-slask.org.pl)

ce pochodzącej z Francji rodziny von Garnierów (dziś znanej głównie z produkcji kosmetyków). Dwór wraz z przyległościami kupił rotmistrz królewski Anton von Garnier aus dem Hause Turawa, a po jego śmierci w 1857 r. dobra odziedziczył jego syn Hugo. W czasie rządów Hugona von Garniera, który był także właścicielem zamku i browaru w pobliskim Namysłowie, a także tymczasowym administratorem Turawy, nastąpił spektakularny rozwój Biestrzykowic. Dzięki sprężystemu gospodarowaniu Hugo zdołał dokupić dodatkowe grunty, powiększyć park oraz przebudować dwór w stylu neoklasykistycznym. Posiadłość została dodatkowo wzbogacona o oficynę zbudowaną z pruskiego muru oraz stajnię dworską i kuźnię. Rozbudowę Biestrzykowic kontynuował jego syn gen. Franz Xavier von Garnier wraz ze swą żoną Gertrudą, a następnie jego wnuk Hans Egon von Garnier. Już w 1905 r. w dobrach Garnierów działała gorzelnia, młyn wodny i cegielnia, a w 1922 r. także płatkarnia ziemniaków oraz parowy tartak.

Zamożni Garnierowie byli ludźmi wrażliwymi, z wielką wyobraźnią i szacunkiem dla dzieł sztuki. Franz Xavier, zaprzyjaźniony z ks. Friedrichem Karlem von Preußen, w latach 80. XIX w. był uczestnikiem wypraw naukowych na Bliski Wschód m.in. do Palestyny, Egiptu oraz Syrii i wraz ze słynnym egiptologiem Heinrichem Brugschem współtworzył dzieła poświęcone tym obszarom. Syn Franza Xaviera – Hans Egon z powodzeniem uprawiał malarstwo oraz kolekcjonował dzieła sztuki. Garnierowie nie tylko pomnażali też swą fortunę, ale także starali się upiększać i

wzbogacać swe posiadłości – obok willi w Berlinie, także wiejską rezydencję w Biestrzykowicach – niem. Eckersdorf.

Wkrótce, otoczony wspaniałym parkiem, śląski dwór stał się także miejscem, w którym zgromadzono wspaniałą galerię obrazów i rzeźb oraz bezcenne zbiory porcelany oraz szkła. Całość dopełniała biblioteka zawierająca kolekcję starych ksiąg. Mimo bogactwa i dostatniego życia ostatni z rodu biestrzykowickich Garnierów – Hans Egon pozostał człowiekiem nieszczęśliwym. Jak nosiła miejscowa legenda, obdarzył miłością, i ze wzajemnością, służącą we dworze pokojówkę. Dziewczyna z

ludu nie została jednak zaakceptowana przez przeciwną takiemu mezaliansowi rodzinę. Nieszczęsny malarz pozostał więc starym kawalerem, zmarł bezpotomnie w 1948 r., prawdopodobnie w Berlinie.

Nowa rzeczywistość

Styczeń 1945 przyniósł kres dotychczasowemu życiu mieszkańców Biestrzykowic. Zdecydowana większość miejscowych Niemców w wyniku działań wojennych i zarządzanej ewakuacji musiała pozostawić miejsce zamieszkania już w styczniu 1945 r. Wielu powróciło w rodzinne strony, by znów je opuścić po kilkunastu miesiącach w wyniku umów międzynarodowych będących skutkiem prowadzonej wojny. Na



Dwór w Biestrzykowicach od strony wschodniej w listopadzie 2013 r. (fot. Anna Patelska)

terenie powiatu namysłowskiego czas ten naznaczony był bezprawiem i sowiecką samowolą. Prawie wszystkie folwarki i dwory ziemiańskie oraz obiekty przemysłowe obsadzone były niemal do końca 1945 r. przez oddziały Armii Czerwonej. Postrach budziły grupki rosyjskich maruderów i pacjentów licznych szpitali polowych zlokalizowanych tutaj ze względu na pobliskie walki o Festung Breslau. Rosjanie prowadzili zorganizowaną grabież. Specjalne *trofiejne komanda* odpowiadały za rekwizycję dóbr kultury, wywóz żywności, zwierząt hodowlanych, surowców oraz demontaż i wywóz do ZSRS całych zakładów przemysłowych wraz z załogami. Podobny proceder miał miejsce na ziemi namysłowskiej.

Mieszkańcom powiatu namysłowskiego dawała się we znaki także załoga sowieckiego garnizonu ze wsi Jastrzębie, sąsiadującego z Biestrzykowicami. Rosjanie okupowali tam poniemiecką fabrykę amunicji, w której pracowali w czasie wojny, w nieludzkich warunkach, jeńcy wojenni. Teraz Polaków, Rosjan i innych niewolników III Rzeszy zastąpili schwytni przez Sowietów Ślązacy. Załoga Jastrzębia terroryzowała miejscową ludność, prowadząc rekwizycje na rzecz wojska oraz urządzając w okolicznych lasach *ochoty* – dzikie polowania.

Położenie powiatu namysłowskiego na styku Dolnego Śląska, Wielkopolski i Polski centralnej (powiat przed 1939 r. graniczył bezpośrednio z Polską) czyniło go miejscem niebezpiecznym także z powodu wiodącego przez te ziemie szlaku przemytniczego. Z województw centralnych przenikały tu, mimo zarządzanego przez władze kordonu, grupki szabrowników wywożących dobra kultury, żywność oraz przedmioty codziennego użytku. Szabrownicy rabując, przy okazji często niszczyli pozbawione opieki zabudowania gospodarcze i mieszkania. Teren ten był wreszcie miejscem operowania poakowskich, oddziałów toczących bezkompromisową i straceńczą walkę z komunistycznym reżimem oraz sowieckim okupantem.

W tych niespokojnych czasach tworzona od końca kwietnia 1945 r. nowa administracja powiatu była niemal bezradna wobec zadań, jakie przed nią stały. Powojenne rozprężenie i anarchia były trudne do opanowania, a od aktów grabieży i rozbojów nie stronili także funkcjonariusze miejscowej milicji i UB. Starosta namysłowski – Tomasz Nowacki (z PPR) na próżno słał do Wrocławia meldunki, w których domagał się zmian w szeregach miejscowych służb porządko-

wych. Wkrótce i on stał się zresztą ofiarą krwawych porachunków – w noc sylwestrową z 1945 na 1946 r. został zastrzelony przez nieznanych sprawców w mundurach sowieckich.

Ratowanie zabytków

W opisanych warunkach problem rejestrowania i zabezpieczania zabytków sztuki oraz architektury wydawać się mógł sprawą drugo-, jeśli nie trzeciorzędną. Mimo występujących trudności nowe władze, a ściślej przedstawiciele Referatu Kultury i Sztuki Starostwa Powiatowego w Namysłowie, podjęły akcję mającą na celu ratowanie zabytków. Akcja prowadzona była z pełnym poświęceniem przez Halinę Giecewicz-Łepkowską – absolwentkę Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie, która od lipca 1945 r. pełniła funkcję kierowniczki Referatu Kultury. Do jej zadań należały m.in. okresowe objazdy zabytkowych budynków i rejestracja ich stanu oraz zabezpieczenie zabytków ruchomych, które miały być przekazane do organizowanego w zamku namysłowskim Muzeum Powiatowego.

Akcja ratownicza objęła także zespół dworski z Biestrzykowic, który po kilku miesiącach został opuszczony przez wojsko sowieckie. Decyzją lokalnych władz obiekt wraz z otoczeniem został następnie przekazany przedstawicielom Związku „Samopomoc Chłopska”. Rezydencja w Biestrzykowicach od zakończenia wojny interesowała polskich muzealników i historyków sztuki. Prof. Marceli Łabędź – naczelnik Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Pełnomocnika na Dolny Śląsk w piśmie do referatu w Namysłowie podkreślał, że ostatni z właścicieli Hans Egon von Garnier zgroma-



Tak dziś wygląda pałacowa oficyna (fot. Mariusz Patelski)



Odrestaurowane putta z Biestrzykowic stoją dziś na dziedzińcu Collegium Maius UO (fot. Mariusz Patelski)

dził kolekcję zabytkowego szkła, porcelany oraz kolekcję obrazów, które już w 1913 r. zostały odnotowane w niemieckich wydawnictwach fachowych jako *wysokowartościowe*. Z tych powodów profesor nakazywał sprawdzić, czy zabytki nie zostały wywiezione oraz czy ich pozostałości nie znajdują się w rękach okolicznej ludności? Pismo kończył uwagą: *Jeżeli na miejscu pozostały ślady w postaci skorup lub innych fragmentów, należy je zabezpieczyć*. Niestety, stacjonujący w Biestrzykowicach Rosjanie przekazali stronie polskiej dwór Garnierów w dużej mierze złupiony i ze zdewastowanymi wnętrzami. Halinie Giecewicz udało się zabezpieczyć zaledwie cząstkę wspaniałej galerii Hansa Egon. Do namysłowskiego zamku trafiły portrety jego przodków m.in.: *Josefa v. Garnier auf Kochanowitz, Juliany v. Loewenkron – żony Josefa v. Garnier, Anny Barbary Graefin v. Claschin z domu Garnier, Antoniny v. Garnier und Baronessse v. Waldstaedt*. Przez pewien czas trwał także spór o fortepian marki Bechstein, którego zarządca Biestrzykowic – niejaki Aleksandrow, mimo zarządzeń władz nie chciał przekazać do szkoły muzycznej w Namysławie. Nieznany pozostaje także los biblioteki von Garnierów. Książki w niej zebrane sprzątał i segregował z polecenia władz polskich młody Niemiec z Miodar – Pille Hoffmann. Wedle jego relacji księgozbiór, po uporządkowaniu, został prawdopodobnie wywieziony do Warszawy. Do marca 1947 r. w namysłow-

skim zamku zebrano ogółem 56 zabytkowych obrazów (większość pochodziła z galerii von Garnierów), 33 sprzęty, 162 starodruki, 35 poloników i silesiaków, 8 zabytków prehistorii oraz 11 zabytków etnograficznych. Zgodnie z wolą lokalnej społeczności zabytki te miały stanowić zaczątek wspomnianego Muzeum Powiatowego. Niestety, w 1952 r., odgórną decyzją władz muzeum zostało zlikwidowane. Zabytki, wbrew woli namysłowian, trafiły do Centralnej Składnicy w Żelaznej, a stamtąd do muzeów Wrocławia i Krakowa. W tym czasie, jak można przypuszczać, część eksponatów została „sprywatyzowana”. Pewną ilość zabytkowej broni przekazano natomiast do wyłącznej dyspozycji marszałka Michała Roli-Żymierskiego.

Mimo apeli lokalnych władz namysłowskich, los okrutnie obszedł się także z biestrzykowickim dworem i otaczającym go parkiem. Już w 1948 r. wicestarosta namysłowski – Ignacy Kolarski bezskutecznie zgłaszał konieczność podjęcia najpilniejszych napraw, m.in. rekonstrukcji zdewastowanych rynien. Na próżno też apelował o ratunek dla zabytkowych rzeźb parkowych, które *poobtłukiwane dookoła, aż proszą o umieszczenie w innym środowisku, gdzie nie byłyby wandalcko niszczone*. W innym piśmie dodawał, że chodzi o *posągi kamienne rzeźbione z roku 1755–1760. Są to „Diana”, 4 pory roku i „Amorki” z instrumentami muzycznymi*. Część tych zabytków leży roztrzaskana na ziemi. 9 spośród nich można jeszcze uratować od zagłady, dlatego proszę o łaskawe zabranie ich do Wrocławia, gdzie służyłyby do ozdoby parku lub jakiego budynku. Rzeźby parkowe z Biestrzykowic (posąg Diany oraz grające putta) nie zostały jednak zabezpieczone i przez lata niszczały na wpół zagrzebane w ziemi. W 1971 r. z polecenia wojewódzkiej konserwator zabytków w Opolu – Krystyny Wicher-Jesionowskiej przewieziono je do Rogowa Opolskiego. Tam zostały umieszczone w parku otaczającym pałacyk, w którym znajdowała się filia Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej. Z braku odpowiednich środków nie zostały jednak poddane renowa-



Zniszczone putto w trakcie rekonstrukcji w pracowni Rafała Rzeźniczka (marzec 2007 r.). Fot. Jerzy Mokrzycki

W tym czasie, jak można przypuszczać, część eksponatów została „sprywatyzowana”. Pewną ilość zabytkowej broni przekazano natomiast do wyłącznej dyspozycji marszałka Michała Roli-Żymierskiego.



Posąg Diany, stojący dziś na korytarzu Collegium Maius UO, poddany był starannej renowacji w pracowni Rafała Rzeźniczka

cji i przeleżały w trawie, ulegając dalszej degradacji, przez następne 32 lata. Dopiero w 2003 r. wojewódzki konserwator zabytków – Maciej Mazurek przekazał

rzeźby w opiekę Uniwersyteckiemu Stowarzyszeniu na rzecz Ratowania Zabytków Śląska Opolskiego na czele z prof. Stanisławem Nicieją. Jednocześnie zapadła decyzja, by umieścić posągi na wzgórzu uniwersyteckim w Opolu.

Dwór Garnierów, o którego wyposażeniu i elegancji z zachwytem pisała w 1945 r. Halina Giećewicz, bo zdobią go: *sufity stiukowe, malowane boazerie, kominiki, meble zabytkowe...* w powojennych czasach służył natomiast pracownikom miejscowego PGR. W budynku znajdowały się wówczas mieszkania, przedszkole, świetlica i biura. W 1985 r. przeprowadzono remont zabezpieczający, obejmujący m.in. dach. Dzięki temu gmach, choć pozbawiony wielu atrybutów dawnej rezydencji von Garnierów, przetrwał w stosunkowo dobrym stanie do końca lat 90. XX w. Dramat zabytkowej budowli zaczął się z chwilą prywatyzacji. Dziś obiekt z powybijanymi oknami, pozbawiony lukarn i kominów, chyli się ku upadkowi. Jego miesiące i dni są w zasadzie policzone. Być może warto choć raz odwiedzić to miejsce, bo w najbliższej przyszłości w Biestrzykowicach pozostaną jedynie „malownicze ruiny” – ślad dawnej wielkości i gospodarności śląskiego rodu von Garnierów.

Mariusz Patelski

Literatura i źródła:

Archiwum Państwowe w Opolu, Zespół Starostwa Powiatowego w Namysławie.

M. Moliński, *Małe historie*, Namysłów 2010.

S. Nicieja, *Wzgórze uniwersyteckie w Opolu. Ludzie i zabytki, fakty i legendy*, Opole 2008.

Zapomniane zabytki. Śląski Opolski, t. 1, oprac. E. Molak, I. Raclawicki, red. naukowa R. Nowacki, Opole 2004.



Cztery pory roku zdobią wzgórze uniwersyteckie od strony Małego Rynku (fot. Jerzy Mokrzycki)

Anna Pobóg-Lenartowicz

Wielka moc słabej płci

O nieprzeciętnych kobietach średnich wieków

Gdy na przełomie XX i XXI wieku organizowano różnego rodzaju podsumowania i sondaże, w jednym z plebiscytów (bodaj „Polityki”) za największe osiągnięcie XX wieku uznano pralkę automatyczną. Gdybyśmy przeprowadzili podobny sondaż dla wieków średnich, to pewnie – zgodnie z sugestią wybitnej francuskiej mediewistki Reginie Pernoud na pierwszym miejscu wśród tych osiągnięć znalazłby się... piec. Podobnie jak pralka automatyczna w naszych czasach, tak i piec w wiekach średnich uwolnił kobiety od wielogodzinnych obowiązków, które absorbowały je niemal przez cały tydzień. Możemy – odwołując się do przenośni – powiedzieć, że z chwilą wynalezienia pieca kobieta przestała być strażniczką domowego ogniska w całym tego słowa znaczeniu. Mogła więc, podobnie jak kobieta współczesna, zagospodarować wolny czas w zupełnie inny sposób.

Sytuacja kobiet w średniowieczu jest ciągle postrzegana stereotypowo, przez pryzmat wieków późniejszych, zwłaszcza XIX stulecia (słynne niemieckie trzy K). Zapominamy o tym, jak bardzo upodmiotowiło kobietę chrześcijaństwo, które rozprzestrzeniło się w Europie właśnie w wiekach średnich. Rzadko uświadamiamy sobie, że chrześcijaństwo dało kobiecie rzecz najcenniejszą, jaką jest wolność wyboru. W starożytności dziewczyny (jeśli w ogóle dane im było przeżyć po narodzeniu) znajdowały się najpierw pod kuratelą ojca, a potem – pod opieką prawną męża, którego ojciec im najczęściej wybierał. Chrześcijaństwo otworzyło przed kobietą możliwość niewychodzenia za mąż, alternatywą do stanu małżeńskiego stał się bowiem klasztor. Klasztor traktowany nie jako więzienie (tu znów odzywa się współczesny stosunek do tego typu instytucji), ale jako droga życiowa dla tych panien, które po prostu nie chciały wychodzić za mąż (a takich zawsze, w każdym społeczeństwie, jest wiele). Klasztor, który dawał możliwość wykształcenia, rozwoju osobistego, prestiżu społecznego, a nawet zrobienia kariery, w ówczesnym tego słowa znaczeniu. Jak bardzo silna była wówczas potrzeba zmanifestowania tego prawa do wolności, świadczą postaci pierwszych świętych męczennic – dziewic: św. Agaty, Agnieszki, Łucji, Barbary czy Cecylii, które swoim życiem pokazały, że w obronie kobiecości i prawa do wyboru własnej drogi życiowej warto poświęcić nawet życie.

Jak pamiętamy ze szkoły, w wielu przypadkach to właśnie kobietom zawdzięczamy rozprzestrzenianie

się chrześcijaństwa w Europie. Były one bowiem niejednokrotnie (jak to trafnie określił ks. prof. Kazimierz Dola) – *desantkami wiary*. Klotylda (żona Chlodwiga, władcy Franków), Ludmiła czeska, Olga ruska czy w końcu Dąbrówka i Jadwiga Andegaweńska – wszystkie te znane kobiety w dużej mierze przyczyniły się do wprowadzenia chrześcijaństwa w swoich krajach.

Kobieta średniowieczna to przede wszystkim kobieta wykształcona. Wiele znanych kobiet tamtych czasów, zwłaszcza władczyń czy późniejszych świętych, ukazywanych jest z książką w ręku. Książka bowiem – symbol wykształcenia – staje się atrybutem kobiety z



Hildegarda z głową w płomieniach, w trakcie niebiańskiej wizji – miniatura z XII wieku. Strona z książki Hildegardy z Bingen pt. *Liber Divinorum Operum*

wyższych sfer. Pierwsza znana książka, która powstała na ziemiach polskich przeznaczona była dla kobiety. Jest nią *Modlitewnik Gertrudy*, spisany w połowie XI wieku przez córkę Mieszka II, Gertrudę, przy okazji jej małżeństwa z księciem ruskim Izjasławem. Adresatką słynnego *Psalterza floriańskiego* była Jadwiga Andegaweńska. Inicjatorką pierwszego tłumaczenia Biblii na język polski była także kobieta, Zofia (Sonka) Holszańska, czwarta żona Władysława Jagiełły. Była to tzw. *Biblia królowej Zofii*. Przykłady działalności intelektualnej kobiet można by tu mnożyć. Opisał je zresztą ostatnio szczegółowo prof. Jerzy Strzelczyk w dwóch tomach pracy zatytułowanej *Pióro w wąthych dłoniach* (kolejne w druku). Dość przypomnieć, że pierwszy podręcznik pedagogiki napisała już w IX wieku kobieta, niejaka Duoda (Duhoda), dla swego syna Wilhelma, następcy tronu normńskiego. Tego typu przewodniki dobrego rządzenia i wychowania stały się w późniejszym okresie niemal normą na dworach europejskich. Matki pisały jej dla swoich dorastających synów, znamy taki także z ziem polskich – traktat *O wychowaniu królewicza* przypisywany jest Elżbiecie Rakuszance, matce królów (czterech jej synów zostało królami), żonie Kazimierza Jagiellończyka. Na dworze cesarzy z dynastii Ottonów tworzyła Hroswitha, której powierzono napisanie dziejów życia Ottona II. Musimy pamiętać też o tym, że to za sprawą kobiet (Matylda, królowa angielska i Alienor z Akwitanii) i dla kobiet powstał najbardziej charakterystyczny dla tej epoki typ poezji, jakim jest poezja dworska.

W ostatnich latach prawdziwą furorę na zachodzie Europy, ale także i w Polsce, robi żyjąca w XII w. Hildegarda z Bingen, kanonizowana przez papieża Benedykta XVI. Była autorką kilku traktatów, w których przeczuwała prawo powszechnego ciężenia, wzajemnego przyciągania się ciał czy zasadę rozproszenia energii. Zakładała istnienie Układu Słonecznego oraz opisała zasadę krążenia krwi w organizmie człowieka. Nadto była autorką 74 hymnów i wielu symfonii, co nie dziwi, bowiem muzyka traktowana była wówczas jako część nauk ścisłych (matematyki). Obecnie Hildegarda z Bingen jest patronką ruchów działających na rzecz zdrowej żywności (jako pomysłodawczyni diety orkiszowej). Warto tu wspomnieć, że w XIII

wieku, w Paryżu, na etacie miasta zatrudnione były 22 lekarki (w dobie medycyny prywatnej!).

Kobiety były też w średniowieczu najlepszymi kopiczkami, co akurat nie dziwi, bowiem do tej pracy potrzebna była cierpliwość, staranność i pracowitość, a więc te cechy, które zazwyczaj przypisuje się kobietom.

Wraz z rozwojem urbanizacji Europy (od XII wieku) kobiety bardzo aktywnie włączyły się w różnorodne formy działalności gospodarczej. Na równi z mężczyznami wykonywały szereg zawodów, i to nie tylko tych, które uważamy za typowo kobiece (handlarki, mleczarki, piekarki, prąśniczki itp.), ale także te typowo męskie (nożowniczkę, nożyczkę, płatnerkę, ślusarkę, kotlarkę czy kowalę). Także na Śląsku widać olbrzymią aktywność gospodarczą kobiet, pomagają one w warsztatach rzemieślniczych swoich mężów (najczęściej – jako lepiej wykształcone – prowadzą buchalterię), przejmują te warsztaty po śmierci mężów, często



Św. Jadwiga na rysunku Jana Matejki, projekt witraża dla katedry w Pradze (w zbiorach Biblioteki Narodowej)

pomnażając dotychczasowy majątek. Są równouprawnionymi uczestnikami rynku – mogą samodzielnie kupować, sprzedawać, dokonywać zamian, dziedziczyć, przekazywać otrzymane dobra dalej.

Kobiety angażowały się także w działalność charytatywną. To one jako pierwsze wyzwalały niewolników w swych dobrach (lub namawiały do tego mężów), one też fundowały różnego rodzaju przytulki, sierocińce i szpitale. Najlepszym tego przykładem jest św. Jadwiga śląska, kobieta, która swoją pozycję i pieniądze potrafiła wykorzystać na zbożne cele. Stworzyła podstawy pod długofalową opiekę nad najbardziej potrzebującymi. W centrum jej uwagi znalazły się zwłaszcza kobiety, które nie potrafiły się odnaleźć w nowej miejskiej rzeczywistości. Dla nich wprowadziła przy klasztorze Cysterek w Trzebnicy kursy (dziś powiedzielibyśmy: zawodowe) szycia, haftu, gotowania, prowadzenia domu, opatrywania ran. Stworzyła też domy opieki dla samotnych matek z dziećmi, sierocińce dla porzuconych niemowląt oraz przytulki dla osób starych i schorowanych. Jej postawa wobec chorych na trąd przypominała tę, którą znamy chociażby z wystąpień księżnej Diany wobec chorych na AIDS. Jadwiga była, rzecz jasna, osobą wyjątkową (choć u współczesnych budziła skrajne emocje), dlatego też wkrótce po swojej śmierci została wyniesiona na ołtarze, ale przykłady kobiet zaangażowanych, jak ona, w dzieło miłosierdzia możemy mnożyć.

Celowo nie wspominam tu o roli politycznej kobiet, bo jest to temat na kilka opasłych monografii. Wiele kobiet sporo namieszało w historii Europy, że wspomnę tu chociażby Matyldę tokańską (to na jej zamku w Canossie przebywał papież Grzegorz VII), wymienioną tu już Alienor (Eleonorę) Akwitańską, żonę najpierw króla francuskiego Ludwika VII, a następnie jego największego wroga, króla angielskiego Henryka II Plantageneta, matkę m.in. Ryszarda Lwie Serce, św. Katarzynę ze Sieny która doprowadziła do zakończe-



Fragment fresku z kaplicy Sainte Radegonde w Paryżu: Alienor Akwitańska w królewskim orszaku, obok prawdopodobnie jej syn Jan I

nia niewoli awiniońskiej papieży) czy Joannę d' Arc.

Badania nad kobietą w średniowiecznej Polsce są dopiero w fazie początkowej. Często przywoływane jest zdanie prof. Jacka Wiesiołowskiego, znanego mediewisty z Uniwersytetu A. Mickiewicza w Poznaniu, że tak bardzo wyrugowano obecność kobiet z polskiej rzeczywistości w wiekach średnich, iż – jeśli w jakimś dokumencie pojawiła się kobieta – uczeni od razu uznali taki dokument za falsyfikat. Jest więc co robić, tym bardziej, że – zwłaszcza na Śląsku – zachowało się wiele materiału źródłowego, który pozwoli nam na przedstawienie różnorodnych ról, jakie pełniły kobiety w średniowieczu.

Anna Pobóg-Lenartowicz

Grotowski ugodzony śmiechem

(Jerzego Beskiego wspomnienia o opolskich oklaskach na kredyt)

– Do Opola przyjechałem w 1954 roku, po ukończeniu krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Czasy gomułkowskie. Opole, od kilku zaledwie lat miasto wojewódzkie, próbowało szybko wyzbyć się cech głębokiej prowincji, ale w dalszym ciągu było zapyziałym, powiatowym miasteczkiem z kompleksami. Właśnie trwały przenosiny z Wrocławia Wyższej Szkoły Pedagogicznej, życie kulturalne dopiero zaczynało się organizować, z przedwojennej inteligencji w mieście pozostało bardzo niewiele. Można powiedzieć: pustynia kulturalna. Przyznam, że był moment, kiedy myślałem o ucieczce z Opola, ale czasy były ciężkie, trudno było zdobyć mieszkanie...

– Opolski Rynek dopiero podnosił się z ruin. Parter trzech kamieniczek zamieniono na Dom Związków Twórczych i oddano do dyspozycji plastyków, architektów i literatów – tak powstał słynny Klub Związków Twórczych. Każdy ze związków miał swój sekretariat. Florek Jesionowski był prezesem architektów, Kazimierz Kowalski – dowodził literatami, Władzio Początek okazał się bardzo skutecznym prezesem

związku plastyków. Odbywały się tam spotkania, wystawy... Klub Związków Twórczych miał też ważną zaletę dla ówczesnych władz, otóż był bardzo wygodnym miejscem do prowadzenia inwigilacji. Nie trzeba było uganiać się za każdym pojedynczo, wszyscy, dobrowolnie w dodatku, stawiali się w jednym miejscu, przy stole, na którym alkohol gościł często, a alkohol, wiadomo, rozwiązuje języki skuteczniej niż najbardziej wykwalifikowany oficer śledczy. Wśród personelu byli też tajni współpracownicy. Myśmy o tym wszystkim wiedzieli, oni wiedzieli, że my wiemy, czuli też jakąś solidarność ze swoimi podopiecznymi, czyli nami... Taki teatr odgrywaliśmy, typowy dla tamtych czasów. Czasów, w których nie dało się żyć bez zgody na kompromis – paskudny i upokarzający, ale konieczny, żeby przeżyć. Trzeba pamiętać i o tym, że ludzie, ogromnie zmęczeni wojną, okupacją, po prostu cieszyli się, że ta gehenna się skończyła, chcieli normalnie żyć, kochać się, pracować. Ta radość tłumiała pytania: kto nami rządzi, jak rządzi... Tym bardziej, że ówczesna władza rozprawiała się ze swoimi oponentami w sposób bardzo dyskretny.

– Jest rok 1959. W Opolu zjawiają się Jerzy Grotowski i Ludwik Flaszen, duet nierozłączny. Wszędzie widywaliśmy ich razem. Często przesiadywali w „Teatralnej” (dzisiejsza kawiarnia „Dolce Vita”), bardzo osobni byli, nie pamiętam, żebym widywał ich z kimś z nas. O Grotowskim wiedziałem tyle, ile opowiedziała mi moja przyjaciółka, historyk sztuki, pracująca w muzeum. Otóż ona była na sztuce Grotowskiego w krakowskim Teatrze Rapsodycznym, bo przecież Grotowski z Flaszenem z Krakowa właśnie do Opola przyjechali. Sztuce bardzo, jak na owe czasy, nowatorskiej: scena podzielona była na pół za pomocą przepierzenia, aktorzy przemieszczali się z jednej części do drugiej... Idea była następująca: w jednej części sztukę grali, w drugiej analizowali akcję, którą przed chwilą zagrali. To było takie wręcz kontrteatralne. Wszyscy się dziwowali.



Jerzy Beski (fot. Tadeusz Parcej)

– Dlaczego Grotowski i Flaszen wyjechali z Krakowa? Prawdopodobnie dlatego, że Kraków nie przyjął ich zbyt wylewnie, mimo że po okresie socrealizmu każdy przejaw nowatorstwa był oceniany niezwykle wysoko.

– Zarząd Klubu Związków Twórczych w Opolu postanowił oddać swoją salę Grotowskiemu, a on załatwił sobie w Komitecie Miejskim PZPR dotację, bo przecież w owych czasach tam właśnie, w komitetach partii, zapadały wszelkie decyzje. Straciliśmy więc klub, no i bufet, zostały tylko biura. Straty, można powiedzieć, ponieśliśmy duże... Teatr Grotowskiego przejął nazwę po zlikwidowanym, krótko działającym w tym miejscu teatrze małżeństwa Ławskich (dwie sztuki zdążyli wystawić: *Freuda teorię snów* i *Rodzinę pechowców*), a ten – po działającym przed wojną w Warszawie kabarecie *Teatr 13 Rzędów*.

– My, myślę o ludziach skupionych w Klubie Związków Twórczych, trochę Grotowskiego lekceważyliśmy. Głównie dlatego, że w trakcie studiów w PWST w Krakowie był działaczem ZMP i niestety, trzeba powiedzieć, że i później, załatwiając różne sprawy, był po zetempowsku skuteczny i bezwzględny. Był niesympatyczny i wyglądał niesympatycznie: otyły, z nalaną twarzą, nie było w nim nic ujmującego. Czuliśmy wyraźnie, że gardzi prowincją, na którą los go zesłał prosto z kulturalnej stolicy Polski. Nie byliśmy więc do niego dobrze nastawieni, ale byliśmy ciekawi: co też on pokazuje. Wybrałem się na *Dziady* w reżyserii Grotowskiego. Tekst mi znany, parę inscenizacji też widziałem, ale to, co zobaczyłem, mocno mnie zdumiało. I nie tylko mnie, bo jak się okazało po wyjściu z teatru, na widowni byli też moi koledzy, m.in. Waław Horoszkiewicz – dziennikarz i Jan Potiszyl – aktor z Teatru Lalek... To były czasy, kiedy wszyscy, całe środowisko, trzymaliśmy się razem.

– Zaproponowałem, żebyśmy wymienili wrażenia w mojej pracowni, na Katedralnej, przy wódeczce. Gaworzymy sobie, wreszcie ktoś mówi: *Z tym Grotowskim, cholera jasna... Trzeba mu zrobić jakąś recenzję! Bo on ma nas wszystkich za głupców*. Byliśmy zgodni: nie wiemy, o co mu w tych spektaklach chodzi i nie będziemy udawać, że wiemy.

– Dodać muszę, że w tym czasie w angielskich piśmiech o tematyce teatralnej, zapewne niszowych, uka-



Waław Horoszkiewicz w latach 60. XX w. (zdjęcie z albumu rodzinnego syna Rafała)

zywały się pochlebne recenzje (podejrzewaliśmy, że ich autorem był Flaszen, bo na przedstawieniach jakoś nie było widać zagranicznych recenzentów) o spektaklach Grotowskiego – te pisma Grotowski natychmiast zanosił do komitetu partii jako dowody swojej wielkości. O takiej prowincji pisze zagranicą! Ano, to musi być coś, ten teatr. Więc wszyscy klaskali, choć mało kto rozumiał, o co w tym teatrze chodzi. Ale to był tylko kolejny dowód na wielkość teatru Grotowskiego: widocznie była w nim mądrość wykraczająca poza możliwości intelektualne przeciętnego widza.

– Rozmawiamy o tym wszystkim, aż tu ktoś proponuje: *A może zagramy u Grotowskiego?* A muszę dodać, że wcale się nie popili, powolutku to wszystko przebiegało. Waciu Horoszkiewicz, dziennikarz z

Jerzy Beski (ur. w 1930 r. w Trembowli na Podolu) – w latach 1949–1954 studiował malarstwo na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie (przez rok był stypendystą w Wyższej Szkole Sztuk Pięknych w Budapeszcie). Do Opola przyjechał po studiach, na ministerialne stypendium osiedleńcze. W latach 1954–1962 prowadził zajęcia z malarstwa w Państwowym Ognisku Kultury Plastycznej w Opolu. W 1955 roku współorganizował Oddział Związku Polskich Artystów Plastyków, którego był potem prezesem i wiceprezesem. Według jego pomysłu zrealizowano scenografie opolskiego festiwalu w 1974 i 1975 roku. Wraz z Władysławem Początkiem wykonali nieistniejącą już mozaikę na ścianie niegdyś kultowej opolskiej restauracji „Festiwalowa”, która zdobyła ten lokal przez prawie 40 lat. Wraz z Janem Borowczakiem, Marianem Nowakiem i Florianem Jesionowskim zaprojektowali pomnik Martyrologii Jeńców Wojennych w Łambinowicach, wzniesiony w 1964 r. Jest zdobywcą wielu nagród i wyróżnień m.in. na kolejnych, organizowanych w Opolu Salonach Jesiennych.

„Trybuny Opolskiej”, a później znakomity radiowiec, z własnej i nieprzymuszonej woli oświadczył, że zagra Mickiewicza (aktor Jasio Potiszyl nie chciał, ze względu na solidarność zawodową z aktorami Grotowskiego). Ja miałem zająć się kostiumem i charakteryzacją, miałem też być inspicjentem. Jeden z nas, już nie pamiętam kto, podejrzewam, że jakiś dziennikarz albo literat, miał napisać krótki, dowcipny tekst.

– Zabraliśmy się do roboty. Ja wykombinowałem romantyczną pelerynę, mickiewiczowskie baki do przyklejenia na policzki, perukę... Wykupiśmy bilety na *Dziady* i oto pewnej niedzieli siedzimy na widowni (w Teatrze 13 Rzędów scena była pośrodku, widownia dookoła niej, to bardzo ułatwiało nam sprawę). Sala pełna, jest i Grotowski, który oglądał z pierwszego rzędu wszystkie swoje przedstawienia. Kilku z nas siadło w pierwszym rzędzie, a ja z Waciem – z tyłu, żeby móc się przygotować do występu, który był zaplanowany po pierwszym akcie: wtedy zapalało się światło, a ze sceny schodzili aktorzy. Pod koniec pierwszego aktu widzowie zaczęli się oglądać do tyłu – to my szeleściliśmy, przebierając Wacia w kostium Mickiewicza. Pierwszy akt się kończy – wypuszczam Horoszkiewicza na scenę, z której już zeszli aktorzy, światło się zapaliło... I oto stoi na scenie Mickiewicz. A koledzy z pierwszego rzędu, wśród nich Jasio Potiszyl, krzyczą:

– *Przebóg! Cóż to za potwora! Przebóg! Cóż to za potwora!*

– Zerkam na Grotowskiego: ma wielkie oczy, patrzy, co się dzieje. A Wacio Horoszkiewicz ze sceny odpowiada na ten okrzyk tak:

– *Jam Adam Mickiewicz, duch autora! Może Bóg w niebie pokarał innych cięższym wyrokiem boskim, lecz*

mnie pokarał Jerzym Grotowskim! – i tu wycelował palec w siedzącego na widowni Grotowskiego.

– Publiczność biła brawo. Pierwszy akt się zakończył. Przerwa. My wyszliśmy do szatni. Wacio Horoszkiewicz, już rozcharakteryzowany, był taki zdenerwowany, aż się trząsał. Nagle wypada Zygmunt Molik, jeden z aktorów Grotowskiego, i krzyczy: *Aleś się pan popisał! Widzę, że aż się pan trząsie, tak się pan popisał!* Na co Wacio, zacinając się z lekka: *Ja jestem trochę nerwowy. Jak występuję publicznie, to się trochę denerwuję. Jak boksowałem, to też przed każdą walką się trząsałem...* To wystarczyło, Molik uciekł. A z tym boksem to akurat była prawda, kiedyś Horoszkiewicz próbował swoich sił jako bokser. (Na drugi dzień w Opolu rozniosło się, że Waclaw Horoszkiewicz próbował znokautować Zygmunta Molika).

– A puenta jest taka. Otóż kiedy po pierwszym akcie i całym tym happeningu ubieramy się z Waciem w szatni z zamiarem wyjścia z teatru, spotykam znajomka. Dodam, że człowieka inteligentnego, myślącego. Pyta mnie zdziwiony, dlaczego nie zostaję na drugi akt. Ja na to, że już widziałem całą sztukę, a poza tym, po tym, cośmy na końcu zrobili... A on pyta: *A coście zrobili?* I wtedy dotarło do nas, że sztuki Grotowskiego były na tyle udziwnione, że występ Horoszkiewicza przyjęto za element spektaklu. Nikt się nie zorientował, że tu odbyła się jakaś prowokacja! Nikt, poza Grotowskim i jego aktorami.

– Na drugi dzień załatwiałem jakieś sprawy w swoim związku plastyków. Patrząc, z sali teatru wychodzi Grotowski. Wyraźnie mnie unikał. Zaczepiłem go, pytając:

– *Chyba nie ma pan do nas żalu, żeśmy wystąpili w pańskim spektaklu?*

On na to: – *Tak, tak. Jak ja gram z publicznością, to i publiczność może zechcieć zagrać ze mną.*

– Czasem, kiedy opowiadałem komuś tę historię, widziałem na twarzy rozmówcy zmieszanie: oto profani, którzy nie zrozumieli wielkości teatru Grotowskiego, próbowali ośmieszyć jego twórcę. To nie tak. My chcieliśmy tylko pokazać, że porozumienie między reżyserem a aktorami nie wystarczy, że sztuka to przede wszystkim kontakt, porozumienie z publicznością. Grotowski tego porozumienia nie szukał, mam wrażenie, że on publicznością trochę gardził. Widz mało go interesował.



Scena z *Dziadów* (wyliczanie Guślarza). Zdjęcie z książki Agnieszki Wójtowicz *Od „Orfeusza” do „Studium o Hamlecie”*. Teatr 13 Rzędów w Opolu (1959–1964), Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego 2004

Wysłuchała:
Barbara Stankiewicz

Bartosz Suwiński

Piosenka o końcu zimy

I

Ułamki nagrobków obsiadłe przez wrony. Półsenna mgła wycieka spomiędzy drzew porośniętych bluszczem, oplecionych w korzeniach przez włosy umarłych. Wrona stąpa po twardym śniegu, wychodzi za pomroki mgły. W widełkach gałęzi masywne gniazdo. Ptaki zlatują na krzyże, tworząc jeden czarny szkic. Ptaki zamykają wyludnione cmentarzysko dziobami zwróconymi do siebie, ciemne krakanie wzlatuje, opada.

Światło wrzyna się w śnieg, w zasy wyłobione stromą ścianą płaczu. Kolka nocy kłuje do świtu, mgła naciąga gęsto i przesłania most. Kruszą się opary oddechu nad kanałem. Kra złuszczone jak skóra, gładka jak lód. Śnieg pada na dziób ptaka, który dziobie o kęs słoniny. Tłusty płatek śniegu i stare ptasie głowy. Ludzie na moście patrzą na drugą stronę –

– światło odbijające się od śniegu razi w oczy, warczą szare psie twarze. Zima nie jest ciemna nawet po zmroku. Jasne domknięcie spojrzenia, niejasne zwrócone wstecz wspomnienie, kiedy mróz ocierał się o kości, na podwórzu miska ociekała zmarzniętą breją, a ona wymiatała popiół z pieca, nastawiła dzbanek z wodą i czekała aż zawre. Zaparzy się czaj, pójdzie z nim do łóżka.

Podeszwy wyciśnięte w śniegu, przepisane znikąd. W różne strony naraz. Szron na gałęziach jak kokosowe wiórki. Zachód popieleje, nurt rzeki słabnie. Marzenia snują się jak mgła o świcie, kiedy światło wykluwa się niezdarnie z jaja nocy, porzuconego nad ranem, przez ciemność. Kobieta karmi chlebem kaczki, drepzące na lodowych gzymsach, po obu stronach rzeki. Chwyć ją za rękę.

Puść, jeśli musisz, prowadź to dziecko:
Do wody, do bezsennej wody,
do majaków rzeki, do możliwości rzeki.
Nad żagwie pochylone dłonie,
pochylone czoła u źródła i usta. I usta, do ust wciskane

języki ognia. Osuwa się piasek spod nóg,
obmywają fale.

.....
.....
.....
.....
.....

II

Pod krą poruszają się bąble powietrza. Na powierzchni, w ich ruchomych granicach, stąpają kaczkami, wodząc dziobami za kawałkami chleba lecącego z góry i opadającego bezgłośnie na pękającą od brzegu widmową tafelę. Na moście kruszą czerstwy bochenek chleba, którego skórki lądują pomiędzy błony ptasich łap. Jest ich kilkanaście, zwarte do siebie kupkami wystawiają dzioby po lepką papkę. Śnieg powoli ustępuje, wsiąka w pory ziemi, odwilż redukuje płachtę bieli do niewielkiego strzępu, który został na ostatnich skrawkach ziemi – sytej, dającej pierwsze kwiaty wiosny. Grunt się rozwiera, cofa na cieplejsze pozycje. Nagłówki z gazet donoszą o kobiecie, która żyje. Pomyślała, jak to jest stanąć na własne nogi.

Chodniki nierówne, skute żebrami lodu, które godzina po godzinie nikną. Ścieżka do szopy zapada się pod ciężarem stopy. Wilgotna masa błota formułuje się jak gdyby na motywach wariacji, będącej samą sobie dyrygentem, orkiestrą. Zima ustępuje miejsca. Świat ustępuje miejsca. Skorupa lodu taje i odkrywa się wylinka zeszłej zieleni. Kępki trawy wyłaniają się coraz dotkliwiej, boleśniej ziemia ubiera się w ziemię. Dni mijają na pustce, która narasta jak brud w kątach ulicy, za przystankiem czy w pobliskich krzakach. Kawa parzy się dłużej i smakuje mocniej. Fusy i niedopałki po drodze do domu. Jakies gałęzie, które kręcą się w kałuży z każdym pewniejszym tąpnięciem wiosny. Nadal nie wiadomo, jak będzie o krok.

Odtajała skórka słoniny stała się bardziej kaloryczna. Jeszcze jakiś czas temu modra sikorka walczyła z nią, nie potrafiąc złamać dziobem mrozu. Drzewa pozorują swoją nagość, przez którą przeciska się światło, jemioluszką, chmura. Sobie podobne rzedły tysiącami innych ogołoceń. Jeszcze wszystko w szarościach, ale lada dzień zaczną pojawiać się barwy i staną się zauważalne pomiędzy nimi niuanse, tak inne kropienia. Na dobre zacznie się sposobienie do jaskrawych tonacji, do obłaskawiania oczu dłuższym światłem, krótszą nocą. Ciemność zostanie skrócona, przycięta na miarę prawie radości, prawie szczęścia. Wyłoni się z nas niezauważalnie, zwolni miejsce dla ciała odkrytego w bieli.

Po zimie woda nacieka w żłobienia chodnika, odciska ślady stóp, opada w kałuże przy ujściach rynny, ocieka strużką po korze drzewa, nakrapia wszystko dookoła przezroczystą otoczką, pod wieczór leciutko tężeje i skręca suche wióry kropidła. Sfatygowane mrozem ubrania znajdą wreszcie swe przeznaczenie między niechodzonym paltem a futrem.

Strych wciąż wychłodzony, już za kilka miesięcy nie będzie wstanie sprostać narastającej determinacji słońca, starającego się, by zatknąć swe promienie wszędzie tam, gdzie uładzone dachówki ustąpią ostrym zrywom wiatru.

Dach trzeba będzie łątać na wiosnę.

W następnym roku, w kieszeni płaszcza znajdzie się lusterko, w którym twarz pokryje się niewidzialną siatką. Siatka pogłębiać się będzie każdego roku i rozciągać na boki. Raz jeszcze okryje, w końcu zapomni. Oddzieli nas – jaka radość przy końcu – od tego, przed czym chroniła. Zapadnie się pod własnym ciężarem i pogodzi się z niemożliwością przypomnienia sobie motyli, które od jakiegoś czasu zapomniały dać się pochwycić w jej przezroczyste krosna. Światło pnie się po drzewie i opada w dół ruchem złamanej gałęzi, która schnie w rogu ulicy. Sucha jak drzazga, może wejść ci za skórę. Gałęzi, która nie pokryła się liśćmi, nie sprostała naporowi gniazda, z którego uleciało życie. Trzymaj się mnie, puść, jeśli musisz.

Adam Wierciński

Za szybkie pisanie (30)

Stare i nowe mity. Wybitny publicysta napisał: *Reżyser Borys Lankosz odnoszący sukcesy w Hollywood i laureat festiwalu w Gdyni (polska nominacja do Oscara) powiedział ostatnio: „Nie cierpię tego w Polakach – z szabelką na czołgi, umrzeć za ojczyznę, kult męczeństwa, Polska Chrystusem narodów itp. Sorry, ja bym do powstania nie poszedł”*. Reżyser, jak widać interesujący się historią, nie wie, że „z szabelką na czołgi” było, po pierwsze, wymysłem Andrzeja Wajdy w „Lotnej” [sic!], a po drugie... (Maciej Hłowiecki, *Wracamy na Marsa*, „Odra” 2013, nr 11, s. 109).

To nie Andrzej Wajda wymyślił szarże z szabłami na czołgi w czasie kampanii wrześniowej. Cezary Leżeński dawno temu wyjaśniał: *Źródłem legend o desperackich szarżach ułańskich na pancerze byli włoscy korespondenci wojenni akredytowani przy oddziałach Wehrmachtu. Większość z nich nie przepadała za Niemcami i sympatyzowała z Polakami. Stąd w dobrej wierze redagowali opisy, które później posłużyły Niemcom do stworzenia chwytu propagandowego przedstawiającego polskich kawalerzystów jako desperackich, niezbyt mądrych fanatyków, którzy nie mieli pojęcia o sztuce wojennej* (Cezary Leżeński, *Zostały tylko ślady podków...*, Wydanie II, Warszawa 1978, s. 52–53).

Do powstania mitu przyczynił się m.in. włoski korespondent wojenny Indro Montanelli, wysłannik pisma „Corriere della Sera”. On to z amerykańskim korespondentem Williamem L. Shirerem znalazł się na Pomorzu, pod Krojantami tuż po niedawnej bitwie; dziennikarze widzieli poległych żołnierzy, zabite konie, porzucone szable obok pojazdów. Pod Krojantami 1 września 1939 roku dwa szwadrony 18. Pułku Ułanów Pomorskich zaatakowały w szyku konnym niemiecki 76. pułk piechoty (szóstą kompanię II batalionu). Czołgów niemieckich tam wtedy nie było, ale Heinz Guderian we *Wspomnieniach żołnierza* (wydanie polskie: Warszawa 1958) przeniósł bitwę z 1 na 3 września i napisał: *Nie znając budowy ani działania naszych czołgów, polska brygada pomorska kawalerii zaatakowała je białą bronią, ponosząc straszliwe straty*. Dwa szwadrony ułanów zamieniły się w brygadę, kompania piechoty stała się jednostką pancerną. I tak utrwalało plotkę.

Współczesny historyk włoski wyjaśniał po latach: *Pod Krojantami szwadrony ułanów płk. [Kazimierza] Mastalerza przeprowadziły szarżę [1 września 1939 r., pod wieczór – A.W.] owszem, ale po to, aby rozproszyć batalion piechoty składający się z około 800 ludzi. Dla Niemców sytuacja nagle zrobiła się krytyczna, ponieważ polski impet rozbił ich linię obrony. Sam Guderian był tym, który interweniował, by zażegnać niebezpie-*

*czeństwo [...]. Jednak gdy niemieckie czołgi wkroczyły do akcji, polscy ułani już przerwali manewr okrążenia [niemiecka broń maszynowa przyczyniła się do załamania kawalerskiego ataku, nie czołgi – A.W.], mający złapać ich w pułapkę, i odskoczyli od przeciwnika [...]. Obraz pola bitwy pod Krojantami mógł nasuwać na myśl zupełnie inną rzeczywistość, o której poinformował Guderian włoskich dziennikarzy [...]. Nieistniejąca szarża opowiedziana przez Montanellego, choć zachwalał on waleczność i heroizm Polaków, została podchwycona 13 września przez magazyn „Der Wehrmacht” oraz wyolbrzymiona przez Goebbelsa, który kazał włączyć ją do dokumentalnego filmu „Feldzug in Polen”... (Marco Patricelli, *Z lancą na czołgi?*, tłum. Anna Jadwiga Kosiarska, „Historia Do Rzeczy” 2013, nr 8, s. 63–64).*

A później powstał jeszcze niemiecki film propagandowy *Kampfgeschwader Lützow* w reżyserii Hansa Bertrama (premiera 28 lutego 1941 roku). W filmie słowaccy kawalerzyści, wynajęci na potrzeby propagandy, udawali polskich ułanów i atakowali niemieckie pojazdy pancerne. Miał to być dokument z wojny 1939 roku.

I plotka rosła. Wspomagali ją poeci i malarze. W 1941 roku Wiktor Budzyński w popularnym wtedy wierszu – *Lotnikom* – pisał: *Przypomnij, jak to na tanki szli nasi śmiało na koniach*, a znany batalista, Jerzy Kossak malował w czasie okupacji obrazy przedstawiające walkę kawalerzystów z czołgami (*Bitwa pod Kutnem*, 1939; *Kutno wrzesień 1939*, 1943).

A potem już filmowcy, pisarze i publicyści rozposzechniali mity o szarżach straceńców na czołgi. Uwierzyli mitomanom i fałszerzom historii. Popisywali się krytycyzmem wobec niedawnej przeszłości, zapominali pewnie, że powtarzają hasła goebbelsowskiej propagandy. Jak łatwo było wykpiwać „bohaterstyczynę”.

Stworzony przez propagandzistów mit służył przez lata piszącym. Wykorzystywali mit prześmiewcy i cierpiący na manię samobiczowania. Rewizjonistom historycznym też się przydawał. Andrzej Stawar z całą powagą rozprawiał w 1960 roku: *Przed kilkunastu laty jeden z publicystów „Dziś i Jutro” dostrzegł związek między owymi opiewanymi przez Sienkiewicza szarżami husarii a prymitywizmem przygotowania kampanii 1939 r. Z Sienkiewiczowskim pojnowojennym wojskowości godzili się przecież specjaliści, którzy w przededniu wojny poważnie dowodzili, że koń więcej wart od czołgu, dowódcy, którzy kazali podczas wojny własnej kawalerii atakować zespoły niemieckich tanków i rąbać szabłami ich pancerze* (Andrzej Stawar, *Pisarstwo Henryka Sienkiewicza*, Warszawa 1960, s. 106).

Rok przed kuriozalnym tekstem Stawara powstała *Lotna*. W opowiadaniu Wojciecha Żukrowskiego pod tym tytułem, które posłużyło za scenariusz, czołgów nie było. Pojawiły się dopiero w filmie, i to takie ogromne, jakich we wrześniu nikt nie widział. Redaktor naczelny pisma „Horizon”, ukazującego się w San Francisco, dziwił się, jak taka bzdura (atak kawaleryjski na czołgi) mogła się pojawić na ekranie.

Piotr Korczyński rozprawił się ostatnio z mitami narosłymi wokół polskiej kawalerii w kampanii wrześniowej. I powtórzył niegdysiejsze wzmówienie: *Mit. Bo w rzeczywistości nigdy nie doszło do celowych szarż polskiej kawalerii na niemieckie jednostki pancerne [...] Jednak w każdej legendzie tkwi ziarno prawdy, nawet w czarnej legendzie. Paradoksalnie narodziła się w czasie bitwy, która stała się symbolem chwały i skuteczności polskiej kawalerii w walce z przeważającymi niemieckimi siłami pancernymi – w bitwie pod Mokrą. I tak opisał spotkanie szwadronu ułanów z 12. pułku z niemieckimi czołgami: Gęsty dym raz po raz przysłał widoczność, gdy patrole bojowe i czołowy pluton dochodziły do zachodniego skraju wsi. Nagle z dymu wprost na ułanów wyjechały niemieckie czołgi. Powstało zamieszanie. Czołgi otworzyły ogień ze wszystkich karabinów maszynowych. Przewracały się konie i padali z siodeł na ziemię ułani. Rotmistrz [Jerzy] Hollak dał znak do zmiany kierunku – na skraj lasu, na zachód od wsi, poprzez ziejące ogniem wozy Niemców. Innej drogi nie było. Niektórzy ułani starali się ciąć szablami głowy wychylonych z wież dowódców czołgów (Piotr Korczyński, *Czarna legenda polskiej kawalerii*, „Focus Historia” 2014, nr 1, s. 45).*

Jak łatwo tworzyć nowe mity. Pisał z ironią Poeta: *Kto mówi o historii jest zawsze bezpieczny. / Przeciwnie niemu świadczyć nie wstaną umarli.* Spotkanie szwadronu rtm. Hollaka z Niemcami wyglądało inaczej. Korczyński pisał o oddziale z *lancami* [sic!] i *szablami w dłoniach*. Lanc tam nie było, za szable też nikt nie chwycił: *dowodzony przez rotmistrza Jerzego Hollaka 3. szwadron 12. Pułku Ułanów Podolskich, mający wesprzeć związane walką czołowe szwadrony pierwszorzutowego 21. Pułku Ułanów Nadwiślańskich ze składu Wołyńskiej Brygady Kawalerii, działając w szyku konnym, „zderzył się” z ugrupowaniem bojowym niemieckiego 35. pułku pancernego ze składu 4. Dywizji Pancerniej. Było to zaskoczenie dla obu stron [...]. Żaden z oficerów 3. szwadronu 12. Pułku Ułanów Podolskich nie wydał rozkazu do szarży i żaden ułan nie dobył szabli. W kolejnej fazie boju w rejonie wsi Mokra dowódca spieszonego szwadronu odesłał konie do pułku tabunem z zaledwie kilkoma koniowodnymi, co stało się kolejnym przyczynkiem do umocnienia mitu o szarży (Juliusz S. Tym, *Kawaleria samodzielna Wojska Polskiego II Rzeczypospolitej*, w: Leon Mitkiewicz, *Kawaleria samodzielna Rzeczypospolitej Polskiej w wojnie 1939 roku*, wstęp, opracowanie i redakcja naukowa Juliusz S. Tym, Kraków 2013, s. 552).*

W przewrotnym nieco felietonie przypomniał Bogusław Chrabota swoje opowiadanie – *Zabójca szwoleżerów* – drukowane przed laty w „bruLionie”. Bohater, carski oficer do specjalnych poruczeń: *W 1808 roku wylądował w zrewoltowanej Hiszpanii. W końcu listopada walczył pod Somosierrą, oczywiście po stronie hiszpańskiej. W czasie słynnej szarży udało mu się powalić dwóch szwoleżerów, ale w końcu trafiony lancą [sic!] padł na stos świeżych trupów. Nie zginął, przeżył (Bogusław Chrabota, *Szwoleżerowie i inni*, „Rzeczpospolita” 2013, nr 262, s. P2).*

Bohater opowiadania nie mógł być trafiony lancą; pod Somosierrą szwoleżerowie gwardii nie mieli jeszcze lanc na wyposażeniu. Lance zostaną wprowadzone w następnym roku, po bitwie pod Wagram. Szwoleżerowie staną się wtedy oficjalnie „lekkokonnymi-lansjerami”.

Po latach autor zastanawia się, kim byli szwoleżerowie: *Pod Somosierrą i na polach iberyjskich bitew dokonywali egzekucji obrońców ojczyzny. Bohaterowie? Polscy patrioci? Gdzie tam. Odwrotnie; najemnicy [sic!] walczący z broniącymi swojej narodowej sprawy patriotami (ibidem).*

Długo by pisać o dwuznacznej roli, jaką odegrali w Hiszpanii szwoleżerowie gwardii i Legia Nadwiślańska. Ułani Kazimierza Józefa Konopki nagrzeszyli tam więcej, szwoleżerowie byli za Pirenejami krócej. Ułani Legii doczekali się przezwiska *los infernos picadores* (piekielni lansjerzy). Szwoleżerów nie można nazywać „najemnikami”, pułk lekkokonny składał się z ochotników, którzy na własny koszt stawali konno i zbrojno (Jan Koziętulski zapożyczył się u księży z kapituły łowickiej, aby kupić konie, uzbrojenie i mundur; przez kilkanaście lat nie mógł spłacić długu). Ten pułk miał być podziękowaniem Napoleonowi za utworzenie kadłubowego na razie, jak wierzono, państwa – Księstwa Warszawskiego. Ochotnicy pochodzili z rodzin ziemiańskich. *Bene nati et possessionati.* Marian Brandys zastanawiał się, kto wpadł na pomysł utworzenia polskiego pułku jazdy w ramach gwardii francuskiej i jaka miała być jego rola: *Polski pułk gwardii, z oficerami z najświetniejszych rodzin ziemiańskich w kraju, mógł stać się dla Francji czymś w rodzaju zastawu, zabezpieczającego lojalność ze strony chwiejnej arystokracji polskiej (Marian Brandys, *Koziętulski i inni*, wyd. 6, Warszawa 1997, s. 87).*

Nieustające mylenie niegdysiejszych nazw geograficznych i etnograficznych: *W przylegającym do obozu chocimskiego [w czasie bitwy pod Chocimiem jesienią 1673 roku – A.W.] okopie multzańskim (czyli obsadzonych przez Mołdawian zwanych w tamtych czasach Multanami [sic!] lub Wołochami) jeszcze 10 listopada rano pozycje zajmowały wojska lenników tureckich – Wołochów (Zbigniew Hundert, *Jak pod Chocimiem zwyciężyliśmy*, „Focus Historia” 2013, nr 11, s. 57).*

Były dwa księstwa (hospodarstwa): mołdawskie na północy i multańskie na południu, nad Dunajem. I tu i tam mieszkali Wołochowie, tych znad Dniestru nazywano Mołdawianami, nie Multanami. Pod Chocimiem stały wojska z dwóch gospodarstw (hospodar multański, Grzegorz Ghica, był tam osobiście).

Znany pisarz i publicysta zauważył w interesującym szkicu: *Kresy przesunęły się na zachód – topniejąc po drodze. W II RP mówiono już o Kresach Wewnętrznych i Zewnętrznych, dziś – nawet [sic!] o „zachodnich”* (Bohdan Urbankowski, *Mohort – legenda prawdziwa*, „Gazeta Polska” 2013, nr 51–52, s. 27).

O kresach zachodnich mówiono już w XIX wieku, to nie dzisiejszy wymysł. W latach siedemdziesiątych tamtego wieku Wojciech Kętrzyński napisał szkic *Na kresach mazurskich*. Nazywano już wtedy kresami i Śląsk pruski, i Cieszyńskie, Spisz, Pomorze i Mazury. Nie tylko pogranicze wschodnie, ale też zachodnie, południowe i północne. Stąd się wzięło znane powiedzenie Józefa Piłsudskiego: *Polska to obwarzanek: Kresy urodzajne, centrum – nic* (inna wersja: *Polska to taki obwarzanek: co tylko ma, to po brzegach*). Piłsudski chciał w ten sposób podkreślić płodność kulturalną na stykach kultur. Na pograniczach, gdzie polskość bywała zagrożona. W 1919 roku Eugeniusz Romer napisał rozprawę *Polacy na kresach pomorskich i pojeziernych*. Jeszcze w 1860 roku Jan Zachariasiewicz wydał powieść *Na kresach*. Jeden z bohaterów rozmyślał: *Nasze kresy zmieniły się. Od Dniepru i stepów ukraińskich przeniosły się nad Wartę i Noteć*.

W 1871 roku, kiedy jeszcze prawie nikomu nie przychodziło do głowy nazywać kresami Lwowa i okolic, Władysław Chotomski ogłosił tam wierszowane *Powitanie Wielkopolan, Szlązaków i Krakowian w gościnie przybyłych do Lwowa 13 sierpnia 1871*. Rymował tak:

*Gdy dzisiaj możemy wśród Rusi taj grodu
I chlebem i solą powitać otwarcie
Swych braci od kresów przy Odrze i Warcie!*

Tyle (na razie) o wędrówce określenia, które budzi dotąd tyle emocji i nieporozumień. Co innego znaczy dziś, co innego znaczyło przedwcześniej.

Autor ciekawego, z dużym znanstwem napisanego szkicu, zdradził się, że nie umie odmieniać przez przypadki zrostu „Rzeczpospolita” (a może to tylko wina komputera?). Zapomniał, że w mianowniku, bierniku i narzędniku, pierwszego członu się nie odmienia. Napisał tak: *W rządzonej przez Trzecią Rzeczpospolitą [powinno być: Rzeczpospolitą – A.W.], Wrocławiu hali przywrócono nazwę z pruskich czasów; Nim Rzeczpospolita [oczywiście Rzeczpospolita – A.W.] po stu latach powstała, autor „Kuriera Warszawskiego” wspominał przełom lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych*

XIX wieku... (Zbigniew Mich, *O drzewku, które anieli sadzą*, „Twórczość” 2013, nr 12, s. 45, 50).

Gdzie indziej też można było znaleźć błędną odmianę wyrazu *Rzeczpospolita*. W specjalistycznym piśmie przedrukowano z okładki informację o książce Andrzeja Skrzypczaka poświęconej wydawnictwom we Lwowie. Wpadka wydawcy też została powtórzona, nikomu, widać, nie przeszkadzała: *który tyczy [aspekt] bogatego dorobku wydawniczego miasta, nie tylko w zakresie piśmiennictwa polskiego, ale też tych narodów, które tworzyły wspólną Rzeczpospolitą* [poprawnie: Rzeczpospolitą – A. W.] *do czasów drugiej wojny światowej* („Książki. Magazyn Literacki” 2013, nr 11, s. 4).

W książce o alkoholu i artystach zacytowany został fragment wspomnień Kiry Gałczyńskiej o wileńskich latach ojca. Cytat i niepotrzebna poprawka, choć w innym miejscu sprostowanie by się przydało: *Ojca urzekło bez reszty to miasto – tłumaczyła Kira. – Cudowna architektura, zgodnie ze sobą sąsiadujące – mur romański [zapewne o gotyckim myślała autorka, tamtejsze zabytki murowane, te najstarsze, pochodziły przecież dopiero z XV wieku – A.W.], rozłożony barok, kopulaste Bizancjum. Mosteczki na Wilence [Wilejce – S.K.], duże mosty na Wilii (Sławomir Koper, *Alkohol i muzy. Wódka w życiu polskich artystów*, Warszawa 2013, s. 222).*

Do Wilii naprawdę wpływa Wilenka, o czym pamiętają uważni czytelnicy prozy Tadeusza Konwickiego. I Gałczyński używał poprawnej nazwy: *i z takimi na Wilence mostkami, / gdzie samobójstwo to tylko romantyczność*. A że tę rzeczkę nazywano też czasami (chyba od XIX wieku) Wilejką, to już inna sprawa. To nazwa oboczna, nie – właściwa. Kiedy Gałczyńskiemu, jak kiedyś Mickiewiczowi, potrzebny był rym do Domeyki (w wierszu *Wesoły most*), pisał: *Stał sobie skromnie nad Wilejką...*

Przybywa faszystów na papierze. O lewicowym faszyzmie ukazują się ostatnio tłumaczone i u nas książki (zob. Jonah Goldberg, *Lewicowy faszyzm*, wstęp Leszek Balcerowicz, przełożyli Lech Jęczynek, Jacek Lang, Poznań 2013). Autor znakomitych książek o południowych sąsiadach, przyznał się ostatnio: *Szczerze: ludzi, którzy są niewolniczo przywiązani do utartych związków frazeologicznych, uważam za faszystów* (Mariusz Szczygieł, *Kocham ciekawe mózgi*, „Duży Format” 2014, nr 2, s. 2).

I takie budzące grozę słowo, bezmyślnie nadużywane, przestaje z czasem straszyć i cokolwiek znaczyć, wyciera się, rozmywa, traci sens. Z takiego nadużywania słowa cieszą się pewnie zwolennicy faszyzmu. Im to na rękę. Łatwiej im się ukryć.

Fragment tekstu lustracyjnego: *dziadek Pawła i Andrzeja, podczas I wojny światowej został ewakuowany z okolic Augustowa do ZSRS [sic!] i do 1921 r. mieszkał w Charkowie. Po powrocie do Polski nawiązał kontakt z Komunistyczną Partią Zachodniej Białorusi – za an-*

typolską działalność został aresztowany i osadzony w białostockim więzieniu (Dorota Kania, *Resortowi eksperci smoleńscy*, „Gazeta Polska” 2014, nr 4, s. 5).

Mieszkańcy Kongresówki byli w czasie I wojny światowej ewakuowani w głąb Imperium Rosyjskiego; panował tam wtedy miłościwie car Mikołaj II z dynastii Romanowów. *Sowietskij Sojuz* utworzono dopiero w grudniu 1922 roku. Nawiasem: państwo powstałe na Wschodzie po rewolucji bywało w Polsce nazywane rozmaicie. I w języku potocznym i w druku. Raz była to *Rosja Sowiecka* czy *bolszewicka*, kiedy indziej – *Sowiety*, *Bolszewia*, *Sowdepja*, *Związek Sowiecki*.

W pracach naukowych, encyklopediach i podręcznikach używano też skrótu ZSRR. To nie powojenny wymysł. W atlasach Eugeniusza Romera był to *Związek Socjalistycznych Republik Rad* (zob. *Polska. Atlas geograficzny dla I klasy gimnazjalnej*, Lwów 1937, mapy 2, 3, 10, 12; *Powszechny atlas geograficzny*, Lwów-Warszawa 1937, t. 57). Tak samo w 18. tomie *Wielkiej ilustrowanej encyklopedii powszechnej: Związek Socjalistycznych Republik Rad* (skrót. *Z. S. R. R.*; *ros. Sojuz Socialistycznych Sowietkich Republik*, skrót. *S.S.R.R.*) i w roczniku statystycznym: [granice] *ze Związkiem Socjalistycznych Republik Rad* (*Mały rocznik statystyczny 1937*, s. 11).

I w wierszu Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego z 1934 roku:

*Ciężko z satyrą w każdym kraju,
nawet w ZSRR.*

(*Uważaj, Mira*)

Zmyślona sensacja genealogiczna. W zapowiedzi wydawniczej książki Sylwii Frołow o Feliksie Dzierżyńskim mnożenie sprzeczności: *Polski szlachcic. Tarcza i miecz klasy robotniczej. Wierny sługa Lenina i Stalina. Krewny [sic!] Piłsudskiego. Cyniczny politruk. Zaślepiony fanatyk* („Kurier Nowych Książek” 2014, nr 1, s. 12; dodatek do: „Nowe Książki” 2014, nr 1).

Dzierżyński nie był krewnym Piłsudskiego. Ani po mieczu, ani po kądzieli. Obydwaj byli krajanami, pochodzili z podwileńskich powiatów. I zostali spowinowaceni. Antoni Jerzy Bułhak, syn ukochanej siostry Feliksa, Aldony, był adiutantem marszałka; w 1923 roku ożenił się z Wandą Juchniewiczówną, siostrzenicą Piłsudskiego. I tak Dzierżyński z Piłsudskim stali się powinowatymi. Co innego powinowaci, a co innego krewni.

Dziadek w KPZU, ojciec w MBP

dziadek Pawła i Andrzeja, podczas I wojny światowej został ewakuowany z okolic Augustowa do ZSRS i do 1921 r. mieszkał w Charkowie. Po powrocie do Polski nawiązał kontakt z Komunistyczną Partią Zachodniej Białorusi – za antypolską działalność został aresztowany i osadzony w białostockim więzieniu.

„Gazeta Polska” 2014, nr 4, s. 5.

Utworzyć Sowietskij Sojuz już w czasie pierwszej wojny światowej – nie lada to wyczyn

Opinia smakosza: *Z trunków znanych z historii i literatury najbardziej polecam sławioną przez Wańkowicza „trisz diwinis”* (Litwini wymawiają „trajosz dewinierosz”), czyli *trzy dziewiątki, kresową nalewkę z 27 ziół – ma ona po prostu cudowną moc wspomagania trawienia najcięższych nawet i najprzesadniej obfitych posiłków* (Rafał A. Ziemkiewicz, *Alkoprzewodnik Ziemkiewicza*, „Do Rzeczy” 2014, nr 3, s. 94).

Ocena nalewki – trzykrotnej dziewięciokrotnej – trafna (nawet w Bierdzanach wiedzą o leczniczych właściwościach tego raz zielonkawego, kiedy indziej lekko brązowego napoju). Ale ze znajomością języka litewskiego trochę gorzej. I z pisownią, i z wymową. Melchior Wańkowicz, choć Litwin, ale w Mickiewiczowskim tego słowa znaczeniu (matka z Kowieńszczyzny, ojciec z Mińszczyzny), języka litewskiego nie znał dobrze, osłuchiwał się z litewszczyzną w Nowotrzebach nad Niewiażą i potrafił się posłużyć pojedynczym słowem czy zwrotem. I wymyślił *Trisz Diwinis*. Zestawił wyrazy, których nie ma w litewskim. Sławna nalewka nazywa się po litewsku *Trejos Devynerios* (czyt.: *trijos dewinierios*, „e” w „devynerios” bliskie w wymowie do „ia”).

Równa w dół, kto może. Eufemizm wulgarny „wkurzać”, pornofemizm lekko tylko zamaskowany (od !wkur.ać), bardzo popularny w byle jakiej polszczyźnie mówionej, można już spotkać i w druku. Nie tylko

CO MNIE WKURZA

Ministerstwo Kultury i „Sztuki”

„wSieci” 2014, nr 3/59/, s. 108.

Równa w dół, kto może. Nawet zamaskowany wulgaryzm w nadtytule nikomu już nie przeszkadza

w prasie prowincjonalnej i nie tylko na łamach „Gazety Wyborczej”. Tytuł wywiadu z socjologiem: *Wkurzeni*. Wypowiedź uczonego męża: – *Może niektórzy jadą do Warszawy, żeby pokazać to wkurzenie* („GW” 2013, nr 267, s. 18–19); *Budzi się wkurzony Marcin Meller i w „Newsweeku” nazywa publikację...* („GW” 2014, nr 14, s. 2).

Ulubione słówko niektórych dziennikarzy „Gazety Wyborczej” i pań piszących w „Wysokich Obcasach” można już znaleźć i w tygodnikach opinii. Tytuł recenzji w „Polityce”: *Trzeba się wkurzać* („Polityka” 2013, nr 46, s. 56). O autorze książki recenzent wspominał na zakończenie: *Sam się wkurzał w przeszłości wielokrotnie i nigdy tego nie żałował* (s. 57).

Publicystka tygodnika „wSieci” ogłosiła świetny felieton: *Degrengolada języka polskiego*. O manieri-

zmie, snobizmie i wytrychach językowych, o slangu młodzieżowym, podchwytywanym przez polityków i dziennikarzy, o głuchocie językowej, o niestarannej wymowie wreszcie. Wszystko to słuszne i dobrze pod-słuchane.

Nadtytuł widniejący od miesięcy nad felietonami publicystki brzmi brzydko i dziwnie: *Co mnie wkurza*. Irytować się, denerwować czy złościć autorka już, wi-dać, nie potrafi. Łatwiej używać wyświechtanego zamiennika fonetycznego. Pisać o degrengoladzie języka pod takim nagłówkiem? Zapominać o belce we własnym oku? Niegdysiejszy uczeń gimnazjum powtó-rzyłby zapewne za Ewangelistą: *Medice, cura te ip-sum*.

Adam Wierciński

Andrzej Hamada

Niepokorny sublokator

Przez całe studia, a było to zaraz po wojnie, mieszkałem w pokoju sublokatorskim – wraz z ojcem, u jego przyjaciół, w dużym pięciopokojowym mieszkaniu. Pan gospodarz był profesorem politechniki, bardzo kulturalny, stateczny i dystygowany pan. Ale w domu rządziła jego żona, dzieci nie mieli, zajmowała się więc głównie domem, zresztą bardzo dobrze. My mieliśmy tam jeden mały pokój i w zasadzie z niego nie wychodziliśmy, całe mieszkanie było domeną pani gospodyni.

Wspólna była łazienka, bo z niej i my korzystaliśmy, no i oczywiście korytarz, gdzie czasem dochodziło do spotkań. Ale tylko, gdy opuszczaliśmy nasz cichy azyl lub wychodziliśmy z domu.

Czystość i cisza były więc zasadą i warunkiem egzystencji w mieszkaniu pani gospodyni, z czasem przyzwyczailiśmy się do jej specyficznych zachowań. Np. w łazience musiało być idealnie czysto, umywalka była po każdym użyciu wycierana do sucha, broń Boże pozostawić po sobie mokrą umywalkę! Wracać do domu należało przed godziną dziesiątą wieczorem i zachowywać potem idealną ciszę. Każdy hałas, każdy dźwięk wydany, powodowały rozstrój u pani gospodyni, bezsenność, bóle głowy i w ogóle. Więc po przyjacielsku staraliśmy się bardzo.

A jednak nie dało się zawsze, i bez reszty, sprostać tym drakońskim wymaganiom. Wychodzenie do łazienki i ubikacji, otwieranie i zamykanie drzwi, skrzywienie podłogi, wysuwanie szuflady, a nie daj Boże, jak coś hałaśliwie upadło na podłogę (nożyczki!) po godzinie dziesiątej wieczór! To wszystko było zaraz ra-

no komentowane: papierki po proszkach od bólu głowy, „kogutki”¹, na umywalce były dostatecznym dla nas sygnałem, że naruszono nocny spokój. Więc były przeprosiny, obietnice poprawy; i tak życie wspólnie się toczyło.

Aż kiedyś, późnym wieczorem, po zakończonej pracy idę się umyć do łazienki, a tu coś nowego: na łańcuszku do spuszczenia wody w ustępie wisi doczepiona karteczka z napisem: *Uprasza się nie spuszczać wody po godzinie dziesiątej*.

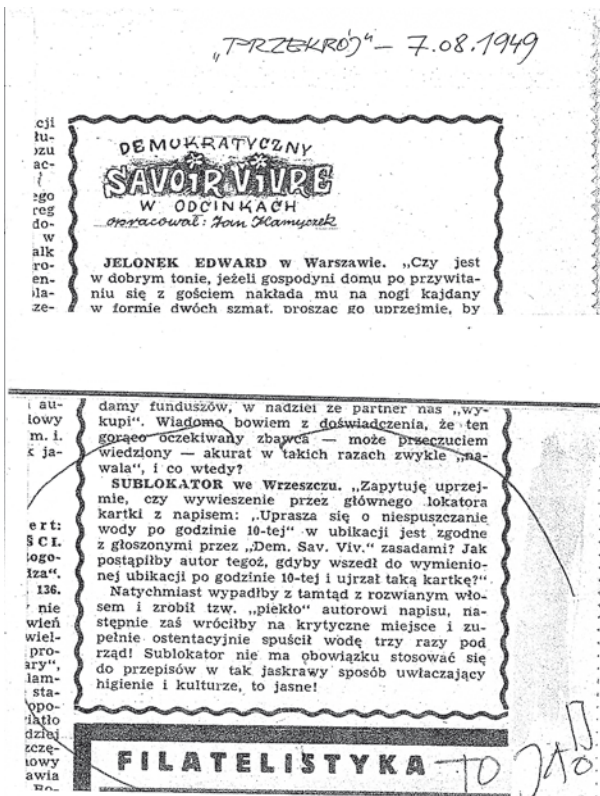
I co, mam nie spuszczać? Zaraz opowiedziałem o tym ojcu, ale mój tato był odporny na takie te, nawet nie odrywając oczu z nad książki, skwitował krótko: *No widzisz coś narobił! Ha, trudno*.

O, nie! Nie ze mną takie numery, pomyślałem, choć Brüniera wtedy jeszcze nie było. Napisałem do „Przekroju”², do bardzo wtedy poczytnego kącika *savoir vivre* u redaktora Kamyczka i zapytałem uprzejmie, jak postąpiłby szanowny pan redaktor, gdyby w trudnej akurat sytuacji zastał taką kartkę. I zaraz wyjechałem na praktykę wakacyjną do Jeleniej Góry³. Co tydzień z niecierpliwością wyczekiwałem nowego „Przekroju” z moim listem. I wreszcie... jest! Ale numer! Wydruko-

¹ Proszki od bólu głowy „z kogutkiem”, najbardziej wtedy znany i najpopularniejszy lek w PRL-u.

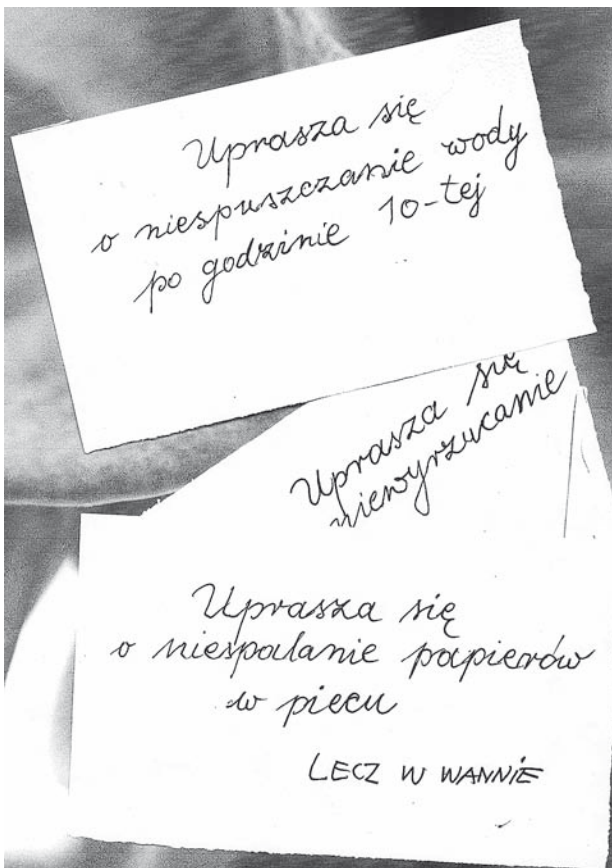
² Najlepszy, w całej Polsce czytany krakowski tygodnik społeczno-kulturalny.

³ Na studiach politechnicznych obowiązywały praktyki podczas wakacji: na budowie, w biurze projektowym i inwentaryzacyjna w zakresie dokumentacji zabytków. Moje praktyki odbywałem w Wałbrzychu, w Jeleniej Górze i w klasztorze Benedyktynów w Tyńcu.



List autora, zamieszczony w rubryce *Demokratyczny savoir vivre* w „Przekroju” (sierpień 1949 r.) i odpowiedź Jana Kamyczka (pseudonim Janiny Ipohorskiej)

wał pan redaktor cały mój tekst pod tytułem *Sublokator we Wrzeszczu* i skomentował kapitalnie:



Wypadłbym stamtąd z rozwianym włosiem i zrobił tzw. piekło autorowi napisu, po czym wróciłbym w krytyczne miejsce i ostentacyjnie trzy razy pod rząd wodę spuścił.

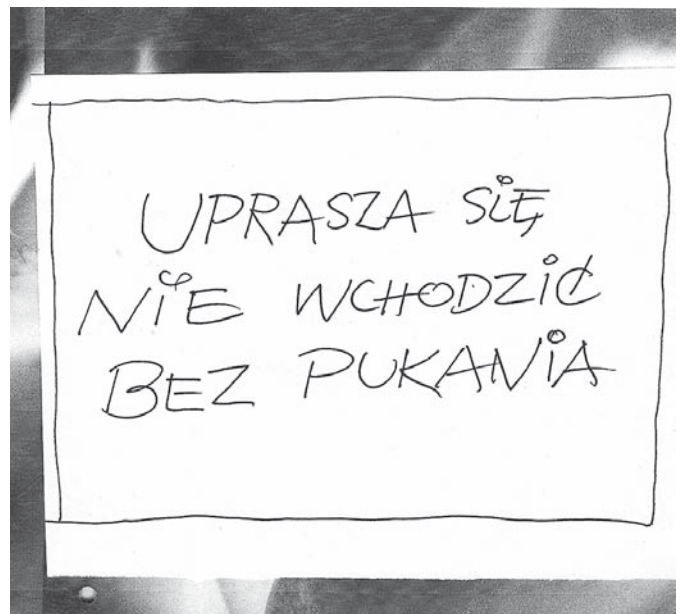
I jeszcze dodał komentarz: *To jasne, że uwielcza to podstawowym zasadom higieny i kultury.* Nie mogło być lepiej, szczęście mnie rozsądzało, chodziłem dumny i błąd; moje było na wierzchu. Ale teraz kończą się wakacje, trzeba wracać do domu, a tam... lepiej nie myśleć. Co się będzie działo!

Ten dzień w końcu nadszedł. Zbliżyłem się z duszą na ramieniu, do naszego domu i już z dala widzę spacerującego z pieskiem pana profesora. Najwidoczniej mnie wyczekiwał. Kląnam się nisko, a on od razu do mnie: *Panie Andrzeju, co pan narobił! Co za wstyd! Żona się pochorowała, teraz leży na tarasie, błagam, niech pan pójdzie ją przeprosić.* Coś tam do profesora bąkałem, próbowałem wyjaśnić, że to było przecież anonimowo, że nikt nie wiedział, o kogo chodzi.

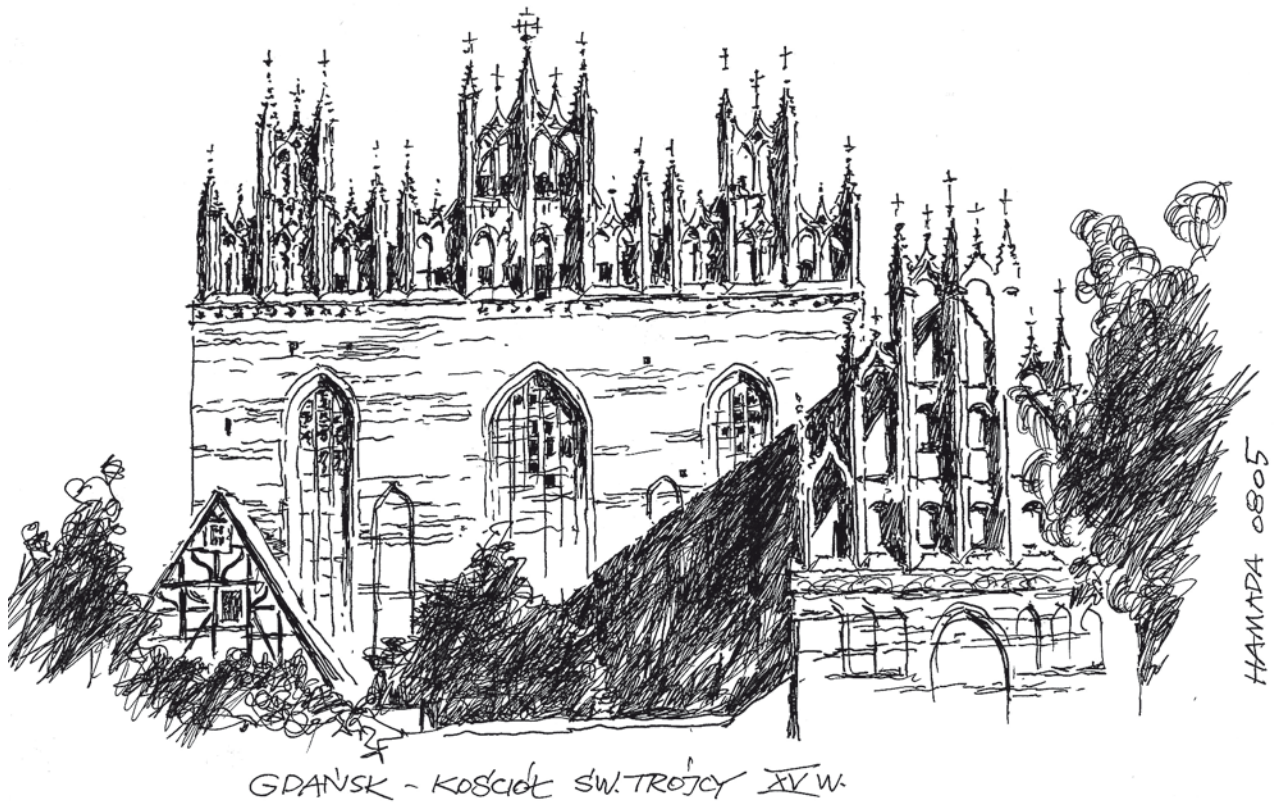
Ale wziąłem się w sobie, poszedłem, przeprosiłem. Ucałowałem w rękę i przyrzekłem, że już nigdy więcej.

I był jakiś czas spokój. Do imienin pana profesora, które obchodzono uroczysto w większym gronie przyjaciół. Zaproszeni goście, samo profesorostwo, ale także mój tato, przyjaciel domu, a z nim ja, marny student. Nawet się nie odzywałem. Przy dużym stole w salonie miła atmosfera, gwarno, wesoło, czas mile płynął. Zbliżyła się godzina dziesiąta i zegar, duży, stojący, taki z wagami, wybija majestatycznie dziesięć uderzeń. Zapadła cisza... aż ktoś z gości wypalił: *No to klamka zapadła i... wybuch śmiechu, ogólny chichot, wszyscy wiedzieli, o co chodzi.* Tylko pani gospodyni nie było do śmiechu, oburzona i zgorzonna⁴ wstała i wyszła. A ja, choć przez chwilę byłem bohaterem wieczoru.

⁴ Wtedy jeszcze się nie mówiło „wkurzona” (fe!).



"Korespondencja" z gospodynią



Potem znowu się uspokoiło. Wracałem do domu przed godziną dziesiątą, chodziłem na palcach, z ojcem rozmawiałem szeptem i niewiele, drzwi przymykało się bardzo delikatnie. Pomimo to „kogutki” na umywalce, jak zwykle, sygnalizowały swoje.

Aż tu nowa sensacja: pan Edward, nasz nowy od niedawna sublokator, student, zdradza mi w tajemnicy, że, aby nie narazić się pani gospodyni, spała zbędne papierki w piecu łazienkowym⁵. I że teraz pojawiła się tam, na ruszcie, karteczka: *Uprasza się nie palić papierów w piecu*.

Powiedziałem mu, że to jest coś dla mnie. Od razu przypomniałem sobie tych studentów z *Lalki* Prusa, co to straszili baronową opuszczaną na sznurku przed jej okno trupią główką. Wieczorem, gdy już była głęboka noc, cichcem udaję się do łazienki i... rzeczywiście! Jest kartka! Więc dopisałem: *lecz w wannie*. Ależ byłem zadowolony, co też teraz będzie!

Nazajutrz rano budzą mnie odgłosy bieganiny na korytarzu, trzaskania drzwiami. Raptem drzwi się otwierają i pani gospodyni ostro do mnie: *To pan tam napisał w łazience!* A ja odpaliłem: *Nie, to pani napisała, a ja tylko dopisałem*. Trzasnęła drzwiami. Cisza. Tylko tę bieganinę za drzwiami słyszałem.

Pomyślałem sobie, że nie jest ładnie wchodzić tak do cudzego pokoju, bez pukania. Więc napisałem na

dużej kartce, pięknym krojem pisma: *Uprasza się nie wchodzić bez pukania* i wychodząc na uczelnię niepostrzeżenie przyczepiłem pineskami na moich drzwiach.

Co teraz będzie? To znów ja zadarłem z panią gospodynią. Wracam wieczorem podekscytowany, pan profesor z pieskiem spaceruje przed domem, chyba na mnie czekał. *Co pan znowu, panie Andrzeju, najlepszego narobił! Żona dostała palpacji, chora, leży teraz pod pledem na tarasie, błagam, proszę ją przeprosić*. Więc znowu poszedłem na taras przeproszać i przyrzekać, że już naprawdę nie będę. I jeszcze przed moim tatą musiałem się tłumaczyć, najwidoczniej mu się poskarżyła.

I życie znowu powróciło do normy. Cicho, cichutko. Pana Edwarda prawie nie widać, pani gospodyni też jakoś nie spotykam, bo mnie cały dzień nie ma w domu, wracam punktualnie przed godziną dziesiątą. Ale papierki z tabletek od bólu głowy od czasu do czasu przypominają, gdzie to moje miejsce na ziemi. Nudno. Nic się nie dzieje. Nawet trochę mi brakowało tych różnych drobnych spięć, tych uszczypliwości i podchodów.

Aż nadszedł koniec studiów (grudzień 1951 roku) i czas wyprowadzki. Jeszcze tylko obrona dyplomu, przydział i nakaz pracy. Zaraz też pożegnałem gościnnie dom i cały mój Gdańsk, i wyjechałem... do Opola.

⁵ Było w budynku ogrzewanie centralne, ale w łazienkach wodę do kąpieli grzało się w stojącym przy wannie specjalnym piecu, tzw. kolumnie węglowej.

Studia ze znakiem zapytania

Jest jakaś niewspółmierność między tym, czym są studia dla mnie, a tym, czym są dla studentów. Żyjemy w czasach absolutnie praktycznych, wyzbytych idei, wzlotów ducha. I one deformują studencki sens studiów. Pamiętam ten zachwyt z pierwszych lat studiów, gdy mi pokazano biblioteki i czytelnie. Toć człowiek chłonał wiedzę. A obecnie dominuje minimalizm. Ciasny materializm, świadomość buchaltera – patrzenie, ile z tego będę miał. Stąd dobre studia to takie, które prowadzą do pieniędzy, gwarantują dobrą posadę. Dokonała się brutalna instrumentalizacja szkolnictwa uniwersyteckiego. Przekonania, leżące u podstaw przekształceń ustrojowych, że dobro studiów polega na rozwoju młodego człowieka, na tym, że staje się on bardziej ludzki, poszły w kąt.

Sens studiów w PRL wiązał się z tym, że kształciliśmy ludzi dla państwa. Państwo chciało mieć tych, którzy będą realizowali jego misję, bo PRL było państwem nowożytnym, nie współczesnym, a takie państwa miały cele. Państwo płaciło za fakt posiadania dyplomu, bo artystą był magister sztuki, a architektem magister architektury. Na czym polega sens studiów obecnie? Dobre pytanie, tym bardziej, że studenci wciąż uczą się też dla stopni i dyplomu. Ta wiara w moc dyplomu niekiedy wręcz przeraża. Oto student układa towar w Realu i wierzy, że to się zmieni, gdy skończy studia. To może nasza wina, może sugerowaliśmy coś? Może nie wyjaśnialiśmy sensu uniwersytetu. O winie nie mówię bez kozery. Uniwersytet w Białymstoku w miejsce filozofii powołał kognitywistykę. Po filozofii trudno było znaleźć pracę, natomiast po kognitywistyce nikt nie jest bezrobotny. To prawda, ale jest tak dlatego, że nikt jeszcze nie skończył takich studiów.

Wedle mnie sens studiów obecnie polega na tym, że kształcimy dla samych zainteresowanych, którzy mają do zrealizowania swoją misję. Jest to misja człowieka kulturalnego, inteligentnego, człowieka który wymyśli dla siebie zajęcie

i na studiach już podejmie kroki do urzeczywistnienia tego zamiaru.

Studenci tymczasem idą na łatwiznę, kalkulują, po jakich studiach mają szansę na zatrudnienie. Nie jest ważne, czy to studia ciekawe, czy nie. Mają być łatwe. A czym będą po studiach, to mniej istotne, ważne, by byli zatrudnionymi. Myślenie etatystyczne cechuje obecnych studentów.

Co można robić po filozofii? Takie pytanie zadają mi uczniowie w liceach, gdy przyjeżdżam na spotkania. A ulubionym tematem spotkań jest *Przyjemnie o przyjemności*.

Bartłomiej Kozera



Słoma, rys. Leszek Otdak

Katedra i koloratka

Bóg to temat zbyt poważny, aby zostawić go wyłącznie teologom

Dotychczasowe felietony z nadtytułem *Sofa filozofa* były próbą przybliżenia sylwetek niektórych starożytnych filozofów. Nowy cykl tekstów zachowa szeroko rozumiany rys filozoficzny, natomiast tematyka będzie dowolna. O czym zatem na początek? Co mnie niepokoi i przykuwa uwagę? Co skłania do refleksji? Jest wiele spraw, na temat których chciałbym z Państwem porozmawiać i podyskutować, usłyszeć Państwa opinię. Ponieważ jestem księdzem, zatem wydaje się być rzeczą słuszną, abym rozpoczął od Boga i religii.

Nie wiem, czy można znaleźć, mimo sekularnego ducha epoki, opowieść bardziej frapującą, jak opowieść o wierze i niewierze. Uważam, że myli się ten, kto z jakichkolwiek względów bagatelizuje tematykę Boga. Chyba w ogóle trudno znaleźć autora, który nigdy w swoim życiu do niej się nie odniósł – czy to pozytywnie, czy negatywnie, czy też zawieszając o Bogu swój sąd. Niemniej muszę sobie zdawać sprawę, że zajmując się tym tematem, być może ryzykuję boleśnie przedwczesną utratę niektórych czytelników. Jest to bowiem tematyka, która niekoniecznie dla każdego jest na czasie. Jej specyfiką jest to, że dopiero z czasem przychodzi – do niej się po prostu dojrzewa. Wychodzę jednak z założenia, że trzeba się nią od razu zająć, bo kwestia Boga jest rzeczą zbyt poważną, żeby zostawić ją wyłącznie teologom.

Rozpocznijmy od kilku banalnych spostrzeżeń, które jednak prowokują do przemyśleń. Będąc wykładowcą w Instytucie Filozofii Uniwersytetu Opolskiego, często bywam w gmachu Collegium Civitas. Okazuje się, że moje wejście do budynku wcale nie jest sprawą emocjonalnie obojętną. Jako ksiądz przekraczam próg Collegium ubrany w tak zwaną koloratkę. Jak się można spodziewać, reakcje na mój widok są tu odmienne od tych, z jakimi zwykłem się spotykać na Wydziale Teologicznym. Niektórzy pozdrawiają mnie słowami *Szczęść Boże*, inni przechodzą obojętnie. Ale to, co najczęściej rzuca mi się w oczy, to malujące się na twarzach wielu studentów zdziwienie i zaskoczenie, a może i zakłopotanie. Zwłaszcza u tych, którzy mnie widzą po raz pierwszy.

Wcale nie należę do tych, którzy są przekonani, że księży powinni być wszędzie. Denerwuje mnie obecność duchowieństwa na każdym ważniejszych uroczystościach otwarcia jakiegoś obiektu. Jestem jak najbardziej za aktem ich poświęcenia, ale tylko wów-

czas, kiedy wyrasta on z autentycznej duchowej potrzeby rozpoczynania czegoś nowego razem z Bogiem. Jeśli natomiast takiej świadomości nie ma, obecność duchowieństwa wydaje mi się zbyteczna. Uroczystości bowiem z ich udziałem łatwo przekształcają się w formę folkloru religijnego. Proboszczowie bywają często innego zdania. Może dlatego, że takie uroczystości są okazją, aby się pokazać, podkreślić wagę własnej osoby i wagę sprawowanej funkcji. Jednym słowem, wystąpienia tego rodzaju, obok sakralnego akcentu, dobrze robią ich aktorom, gdyż sprzyjają własnej – mniej lub bardziej świadomie przeżywanej – próżności. Zjawiska te na poziomie relacji proboszczowie – władze samorządowe zdają się czasem przyjmować postać niemal groteskową. Nie zawsze, ale nieraz duchowni nie chcą, albo nie potrafię dostrzec, że stają się przy tym ofiarami rozmaitych politycznych manipulacji i regionalnych rozgrywek o władzę,

Mając takie przekonania, nie wchodzę do gmachu Collegium czy innych budynków uniwersyteckich po to, aby zademonstrować swoją kapłańską przynależność do Kościoła. Idę, aby uczyć innych i przy tej okazji siebie samego. Jednakże reakcje zaskoczenia moją osobą na terenie uniwersytetu (poza Wydziałem Teologicznym) zdradzają, że dla wielu moja obecność tutaj trudna jest do pogodzenia z wyobrażeniami, jakie sobie kreują, podejmując studia na obranych przez siebie kierunkach kształcenia. I nie chodzi tu o mnie. Błędem byłoby też interpretowanie tej reakcji jako zjawiska zapiekłego antyklerykalizmu. Wręcz przeciwnie, spotykam się z zaskakująco wielką uprzejmością i akceptacją.

Skąd więc to zaskoczenie? Podejrzewam, że chyba stąd, iż moja osoba utożsamiana jest odruchowo z wiarą w Boga. A ta zdaje się tu być w przestrzeni przyswajanych nauk i doktryn zaskakująca. Ostatecznie żyjemy – jak powie Nietzsche – w czasach śmierci Boga i ten duch zdaje się nie omijać także uniwersytetu. Niech nas nie mylą pod tym względem pobożne uroczystości, którym patronują duchowni z Wydziału Teologicznego. Bóg wcale albo tylko z rzadka jest obecny w uniwersyteckich dyskursach naukowych. Nie ludźmy się, procesy laicyzacji nie zatrzymują się przed murami naszej uczelni, lecz przenikają do wewnątrz, nawet kiedy znakomita większość osób ją tworzących deklaruje się być ludźmi wierzącymi.

Tu rodzi się pytanie zasadnicze: czy należy sobie w ogóle jeszcze życzyć idei Boga w murach uniwersyteckich? Naturalnie, wyłączając Wydział Teologiczny, w którym powinna ona stanowić przedmiot i centrum wszelkich poszukiwań, rozważań i analiz. A może i na Wydziale Teologicznym należałoby jedynie rozważać społeczne i osobiste korzyści płynące z wiary, pozostając sceptycznym co do istnienia Boga?

Wędrując między gmachem Wydziału Teologicznego i gmachem Collegium Civitas (w tym drugim u siebie w domu jest filozofia, socjologia i politologia), miewam często wrażenie, że staję się wędrowcem między sprzecznymi – przynajmniej w opinii niektórych – światami, i rozpięty jestem między trudno przystającymi do siebie pojęciami oraz projektami myślowymi.

Czy tak do końca jest, tego nie wiem. W każdym razie oba miejsca jednocześnie cieszą, ale i niepokoją.

Przekraczając gmach Collegium, nie potrafię się opędzić od nachodzącej mnie refleksji, czy głoszone tutaj nauki przy całej ich naukowej prawomocności, nie rodzą jakichś pozornych obietnic? Czy dzisiejsze doktryny socjologiczne, politologiczne, a także filozoficzne nie przybierają postaci świeckich mesjanizmów? Czy w ogóle są w stanie spełnić budzone obietnice, zwłaszcza jeśli mają charakter projektów z góry pozostawiających niektórych na uboczu drogi, pomniejszających nadzieję na godziwe życie? Czy te świeckie mesjanizmy doby nowoczesnej nie noszą w sobie milczących założeń, iż jedynie niewielkiej grupie społecznej zapewnić mogą miejsce po słonecznej stronie życia, a innym zgotują los ludzi przegranych, odrzuconych, zgłodniałych i biednych?

Czy aby temu zaradzić, wystarczy powoływanie się na jakieś typy naukowych racjonalności albo górnotłone ideały humanizmu? A czy i te ostatnie nie znajdują się już od dawna pod presją ekonomicznych konceptów oceniających człowieka wyłącznie pod względem wartości rynkowej i przydatności dla gospodarki? Czy edukacja pobierana w wyższych uczelniach nie kieruje się już od jakiegoś czasu przede wszystkim ideałem podniesienia atrakcyjności rynkowej przyszłego absolwenta?

Wątpliwości nie opuszczają mnie również, kiedy wchodzę w mury gmachu Wydziału Teologicznego.



Fot. Tadeusz Parcej

Będąc świeżo po lekturze tekstów niektórych filozofów, zadaję sobie pytanie, czy na przykład wątpliwości Hegla co do ewangelijnej legitymacji niektórych form i działalności naszego Kościoła były zupełnie bezzasadne? Czy nasza formacja duchowa na wydziale nie ulega wszechobecnej presji rynku i uczelnianych form marketingu, tworząc coś w rodzaju świata barwnych i hałaśliwych ofert religijnych? Nie możemy proponować Chrystusa innym, jak gdybyśmy go posiadali. Mając świadomość, że pozostaje niewyczerpalną tajemnicą, jedynie możemy Go wzajemnie poszukiwać. Inni nie są po prostu obiektami naszych religijnych misji. Prezentacji doktryn teologicznych musi więc towarzyszyć pokorne przeświadczenie, że nigdy nie uporamy się z głębią ich treści, a ich wartość należy mierzyć tym, jak dalece pozwalają nam uczestniczyć w problemach naszych bliźnich i prawdziwie Boga wprowadzają w nasz świat.

Jednym słowem, na Wydziale Teologicznym co jakiś czas przychodzą mi na myśl słowa: *strzeżcie się ludzi, których Bóg jest jedynie w niebie*, a z kolei w rozmaitych instytucjach humanistycznych, socjologicznych i pedagogicznych rozsianych na naszym uniwersytecie: *humanizm pozbawiony idei boskości szybko przerodzi się w bestialskość*.

Joachim Piecuch

Gość UO: prof. Adam Łomnicki

Teoria ewolucji zmową elit?

Prof. dr hab. Adam Łomnicki, jeden z najwybitniejszych polskich biologów ewolucyjnych i ekologów, związany naukowo m.in. z Uniwersytetem Jagiellońskim, Oxford University, University of Michigan oraz Cambridge University był, 4 grudnia ub. roku, gościem Złotej Serii Wykładów Otwartych UO z wykładem pt. *Czy Darwinowska teoria ewolucji jest dogmatem współczesnej biologii czy też zmową elit?*

– Dlaczego takie pytanie warto zadawać? – zaczął swój wykład prof. Adam Łomnicki. – Ponieważ bardzo wielu ludzi ma wątpliwości, wielu zaś całkowicie odrzuca tę teorię. Może więc rzeczywiście elity się zmówiły, żeby ją lansować, utrzymując nas w ciemnocie? Ciekawa jest też odpowiedź na pytanie: dlaczego ludzie powątpiewają w teorię ewolucji? Powody, jak są-



Prof. Adam Łomnicki

dzę, są dwa. Pierwszy – dziedzictwo PRL-u, w którym przez długie lata natrętnie sprzedawano nam filozofię marksistowsko-leninowską, a równolegle uczyliśmy się o darwinizmie. Wielu ludzi uważa więc, że darwinowska teoria ewolucji to nic innego, jak tylko zastosowanie marksistowsko-leninowskiej teorii w biologii. Kolejny powód, dla którego ludzie odrzucają tę teorię, jest natury religijnej – bo *przecież w Biblii napisano inaczej*. A w pewnych nurtach protestantyzmu Biblię traktuje się dosłownie, literalnie, w przeciwieństwie do Kościoła katolickiego, czego dowodem jest m.in. książka ks. bpa Józefa Żyćńskiego pt. *Bóg i stworzenie. Zarys teorii ewolucji*.

Przypominając początki funkcjonowania teorii Darwina, opublikowanej w 1859 r., profesor Łomnicki zwrócił uwagę na kryzys percepcji tej teorii, jaki nastąpił z początkiem XX wieku. Uratowali ją trzej uczeni: Ronald Fisher (autor analizy wariacji w statystyce), John B. S. Haldane i Sewell Wright, czyli twórcy genetyki populacyjnej, udowadniając, że dziedziczenie cech nabytych nie jest w darwinowskiej teorii ważne – ważny jest fakt, że pojawiają się mutacje, bo to one prowadzą do szybkich zmian ewolucyjnych. Wykazali więc, że darwinowska teoria jest zgodna z genetyką, a dokonali tego, powołując do życia nową dziedzinę nauki: genetykę populacyjną. Ten nowy darwinizm zaraz po wojnie nazywano neodarwinizmem albo syntetyczną teorią ewolucji.

– Mamy więc pierwszą połowę XX wieku: neodarwinizm i pierwsze kłopoty. Otóż według darwinowskiej teorii, szanse przeżycia i wydania potomstwa mają najsilniejsze jednostki. I nagle okazuje się, że obserwujemy rzeczy sprzeczne z darwinizmem, np. rozmnażanie płciowe, które jest czystym nonsensem, bo przecież dzieworództwo jest znacznie szybsze. Wyobraźmy sobie populację składającą się z osobników rozmnażających się partenogenetycznie i płciowo – a takie populacje istnieją. Każda samica rozmnażająca

się płciowo wyda na świat o połowę mniej samic niż ta, która rozmnaża się poprzez partenogenezę. Czyli tempo przyrostu nowych osobników jest w przypadku dzieworódtwa dwa razy szybsze. A więc albo coś jest nie w porządku z tą darwinowską teorią, co oznacza, że Darwin nie miał racji, albo – coś jest w tym rozmnażaniu płciowym, nad czym trzeba się zastanowić...

Zaczęto się nad tym zastanawiać dopiero w latach 70. ubiegłego wieku. Sam Ronald Fisher, twórca genetyki populacyjnej, miał z tym kłopot, uznając, że być może jest to jedyne zjawisko, które należy tłumaczyć dobrem gatunku.

Kolejny kłopot entuzjastów teorii ewolucji: tzw. altruizm biologiczny. Czyli często obserwowane przypadki pomocy, jakiej udzielają sobie zwierzęta, zmniejszając przez to nieco swoje szanse przeżycia i wydania na świat potomstwa – co jest niezgodne z teorią ewolucji, według której takie altruistyczne cechy powinny być genetycznie eliminowane. Tymczasem obserwujemy samice lwów opiekujące się osieroconymi dziećmi innych matek, nietoperze wampiry dzielące się pokarmem, czyli krwią, delfiny opiekujące się obcym, rannym osobnikiem.

– I wreszcie trzeci kłopot: ograniczona lub konwencjonalna agresja. Koty udają, że walczą, jelenie „walczą” o samicę, co jest rodzajem konwencji, bo one bardziej się straszą niż rzeczywiście walczą... To też są zachowania będące w sprzeczności z teorią darwinizmu. Na to wszystko było jedno wyjaśnienie – jak powiedział Ronald Fischer: *dzieje się tak dla dobra gatunku*. Konrad Lorenz, człowiek wybitny, laureat Nagrody Nobla, tłumaczył to w sposób następujący: jeśli jakiś osobnik postępuje altruistycznie, np. dzieląc się z drugim pokarmem, działa *dla dobra gatunku*, bo pomaga mu przetrwać. Jeśli walczy z drugim osobnikiem, np. o gniazdo czy samicę tak ostro, że go zabija – to też jest *dla dobra gatunku*, bo tym sposobem eliminuje osobnika słabego. Jest to więc rozumowanie typu: na dwoje babka wróżyła. Wszystko wyjaśnia, niczego nie przewiduje. Tymczasem nauki empiryczne mają to do siebie, że powinny przewidywać, co więcej – te przewidywania sprawdzać. Te przewidywania muszą także dać się obalić, tymczasem nie da się obalić stwierdzenia: *to jest dobre dla gatunku*.

Do takiego wniosku doszedł wybitny, brytyjski filozof austriackiego pochodzenia Karl Popper, autor *Logiki odkrycia naukowego*, który początkowo, w latach 20. ubiegłego wieku, sądził, że biologia nie jest nauką empiryczną, że to raczej metafizyczny program badawczy. Zmienił zdanie, kiedy w drugiej połowie XX wieku do głosu doszli tacy naukowcy, jak William D. Hamilton i John Maynard Smith.

– Hamilton (też piękna postać) zainteresował się altruizmem zwierząt w kontekście teorii ewolucji, napisał pracę *The genetical evolution of social behavior*. Smith był genetykiem populacyjnym (przed wojną – konstruktorem samolotów), zajmował się teorią ewolucji. Napisał m.in. esej, w którym wykazał, że teoria

ewolucji jest obalalna, zwrócił też uwagę na fakt, że dobór naturalny działa nieświadomie, w odpowiedzi na konkretną sytuację i w związku z tym wpada czasem w pułapki, z których nie może wybrnąć. Na przykład u wszystkich kręgowców lądowych przewód pokarmowy krzyżuje się z przewodem oddechowym – dlatego tak łatwo możemy się udławić. Jak policzyli Amerykanie, powodem jednego na 100 tysięcy przypadków śmierci jest właśnie zadławienie. Istnienie takich pułapek poddaje w wątpliwość teorię mówiące, że świat stworzył superinteligentny projektant, w domyśle Pan Bóg. Biorąc pod uwagę te wszystkie niedoróbki ewolucji, to jest po prostu obraza Pana Boga.

John Maynard Smith, razem z Amerykaninem Georgem Robertem Price'em, chemikiem z wykształcenia, zajął się także badaniem konfliktów między zwierzętami, stosując do tego celu metody matematyczne. Odkryli m.in., że zależnie od sytuacji zwierzęta używają różnych strategii – od bycia agresywnym po bycie ustępującym – często przynoszących te same zyski. Smith i Price wykazali też, że ograniczona agresja jest możliwa również wśród osobników niespokrewnionych, wśród których w pewnych sytuacjach możliwy jest także tzw. altruizm odwzajemniony.

– Oni zmienili sposób badań nad behawiorem zwierząt. Pokazali, że bez matematyki biologia nie może się obejść – tym samym, dzięki matematyce właśnie i dzięki znajomości genetyki populacyjnej, darwinowska teoria ewolucji została w XX wieku po raz drugi uratowana. To, co biolodzy do tej pory uznawali za podstawę, czyli dobór gatunku, to była najzwyczajniej w świecie ciemnota. Większość biologów akceptowała neodarwinizm, ale nie wiedziała dlaczego – brakowało im znajomości genetyki populacyjnej, bo jest trudna. Teraz dopiero, ale nie na wszystkich uniwersytetach, zaczyna się genetyki populacyjnej uczyć.

Dziś, podkreśla prof. Adam Łomnicki, nie ma żadnej poważnej teorii alternatywnej w stosunku do darwinowskiej teorii ewolucji. Teoria nie jest jednak dogmatem, ale swego rodzaju paradygmatem, który musimy akceptować. Wszelkie próby wyjścia poza ten paradygmat – jak teorie Łysenki czy odkrycia Macieja Giertycha, że diptodoki żyły w tych samych czasach co ludzie – są niezgodne już nie tylko z darwinizmem, ale i z innymi naukami.

Drugą część wykładu prof. Adam Łomnicki poświęcił zmianom w obyczajach uczonych, jakie zaszły w ciągu ostatniego półwiecza, a więc za jego życia.

– Zacznę od cytatu. To słowa ministra spraw zagranicznych Napoleona: *Ja nie potępiam, ja nie pochwalam, ja tylko opowiadam*. Więc opowiem, co ja o obyczajach uczonych sądzę. Otóż dużo się zmieniło: informacje rozchodzą się niebywale szybko, za sprawą Internetu, kopiuje się je bardzo łatwo, dzięki odpowiednim urządzeniom, nie trzeba przesiadywać w bibliotekach, robiąc szczegółowe notatki... W związku z tym erudycja znaczy coraz mniej. Liczy się silna motywacja, wyobraźnia, umiejętność szybkiego kojarzenia

faktów i niekonwencjonalnego myślenia. Co to oznacza? To, że ludzie w moim wieku stracili na znaczeniu. Kiedy ja zaczynałem pracę w nauce, wszystko zależało od profesora. Nawet jak pisało się pracę, obok musiało widnieć nazwisko kierownika katedry, bez tego pracy nie przyjmowano. Dziś liczą się młodzi.

Kolejna zmiana w obyczajach uczonych według prof. Adama Łomnickiego, dotyczy sposobu korzystania z Science Citation Index, czyli bazy cytacji, które jest *niesamowitym narzędziem służącym do poszukiwania informacji, ale i narzędziem niesamowicie skorumpowanym*: – Bo uważa się, że skoro człowiek ma tylko 30 cytacji, to oznacza, że jest słabym uczonym. Ten, który ma cytacji 200 – jest lepszy. Kiedyś, w epoce przedkomputerowej, trzeba było wybrać się do profesora, czcigodnego starca, żeby się dowiedzieć, czy ten uczonej jest coś wart, czy nie? I autorytet mówił. Teraz do żadnego starca nie trzeba się wybierać, wszystko jest w Internecie. Każda uczelnia chętniej weźmie (i da mu wysoką pensję) tego naukowca, który ma 500 cytacji, od tego, który ma ich tylko 50. Wystarczy zajrzeć do Science Citation Index i sprawdzić, ile razy naszego kandydata cytowali. Nie ma miesiąca, żeby w pismach naukowych nie było krytycznego artykułu poświęconego temu idiotyzmowi, nie ma posiedzenia towarzystwa naukowego, żeby nie pojawiły się głosy, jakie to jest szkodliwe i niemoralne. I co? Ten proces trwa dalej: jak młody człowiek ma dobre cytacje, a oprócz tego typową dla młodości siłę przebiccia, nie musi się

ogłądać i zabiegać o opinie innych. Pomijam już fakt, że cytacje z zakresu humanistyki są dużo rzadsze niż np. z zakresu nauk medycznych i że w ogóle nie można porównywać jednej dziedziny z drugą.

– I tu pora na przypowieść. Jest zagroda z owcami. A dookoła zagrody czai się duże stado wilków. Kiedy jakaś głupia owca wydostanie się za ogrodzenie – wilki ją zjedzą. Jak z ogrodzenia wypadnie sztacheta i wilki dostaną się do środka – też ją dopadną. Ogromna liczba ludzi straszliwie ambitnych, chcących poprawić swoją pozycję, zwiększyć liczbę cytacji, na nic nie zważa, tylko szuka dziury w całym. Jak ktoś zrobi jakiś błąd, np. napisze pracę używając złej statystyki, jest jak ta owca, która wyszła za ogrodzenie – od razu chapną, obśmieją i zniszczą. Kiedy ktoś inny coś odkryje, np. zjawisko sprzeczne z jakąś teorią – od razu rzuca się na niego grupa ludzi, tzn. sfora wilków i zabiera się do poprawiania, uzupełniania: bo może ta podważona teoria nie jest taka zła? Setki badaczy nie robi nic innego, jak tylko poszukuje słabych punktów jakichś teorii. Nie ma między nimi żadnej solidarności, autorytety dla nich istnieją, a jak się spotykają na jakichś kongresach, to rozmawiają np. o wysokości składki członkowskiej. Każdy działa oddzielnie, każdy chce wygrać. Taką smutną konstatacją muszę ten wykład zakończyć.

Barbara Stankiewicz

Krzysztof Spałek

Gdzie wilki strzegły źródła

Las Głubczycki na dawnej pocztówce

Las Głubczycki to niezwykle malowniczy kompleks leśny, położony w sąsiedztwie Głubczyc, na niemal całkowicie wylesionym Płaskowyżu Głubczyckim i objęty ochroną jako Obszar Chronionego Krajobrazu Las Głubczycki. Pełni również od dawna funkcję lasu miejskiego. Obszary chronionego krajobrazu powołuje się w celu zachowania wyróżniających się krajobrazowo terenów o różnych typach środowiska. Zwyczajowo przyjęło się, że obejmują tereny większe od parku krajobrazowego o walorach przyrodniczych-krajobrazowych charakterystycznych dla danego regionu. Działalność gospodarcza na takim obszarze nie ulega poważniejszym ograniczeniom, lecz powinna być prowadzona w sposób nienaruszający stanu względnej równowagi ekologicznej. Reżim prawny obszaru chronionego krajobrazu powinien z jednej strony zapewnić

ochronę przed uciążliwościami przemysłowymi, a z drugiej – pozwolić na wykorzystanie tych terenów dla celów ekoturystyki i produkcji zdrowej żywności. Obszary chronionego krajobrazu w województwie opolskim stanowią podstawową część przyrodniczo cennych terenów budujących wielkoprzestrzenny system obszarów chronionych.

Las Głubczycki obejmuje swymi granicami źródłiskową część zlewni Straduni z licznymi okresowymi i stałymi ciekami oraz licznymi wąwozami i parowami. Występują tu różnego typu naturalne zbiorowiska leśne: łągi jesionowo-olszowe, podgórskie łągi jesionowe oraz grąd subkontynentalny, który występuje tu na znacznych powierzchniach. Występuje tu również wiele chronionych i rzadkich gatunków roślin, m.in.: barwinek pospolity, bluszcz pospolity, ciemiężca ziolo-



Weinhaus Münzerei, Schlesien



Winiarnia Münzerei na poczówce z 1921 r.

na, lilia złotogłów, listera jajowata, obrazki alpejskie, pierwiosnek wyniosły, pływacz zwyczajny, podkolan biały, pokrzyk wilcza jagoda, śnieżyczka przebiśnieg, wawrzynek wilczełyko. Zróżnicowane drzewostany powodują, że spotyka się tu zarówno taksony właściwe dla lasów liściastych, iglastych i mieszanych. Z gatunków rzadkich i zagrożonych na uwagę zasługują m.in.: padalec, pustułka, turkawka, krętogłów, dzięcioł czarny, muchołówka białoszyja, krzyżodziób świerkowy, wiewiórka, popielica, orzesznica.

Już w XIX w. na terenie Lasu Głubczyckiego obowiązywały surowe przepisy, których naruszenie groziło konsekwencjami karnymi. Zabronione było wchodzenie do młodników oraz wyrąb młodych drzew liściastych, zwłaszcza dębów. Groziła za to kara pieniężna do 50 marek lub 14 dni aresztu. Zabronione było również wyrywanie, łamanie i ścinanie roślin, zrywanie liści oraz gałęzi (10 marek grzywny lub 3 dni aresztu). W lesie nie wolno było, od maja do października, palić cygar i fajek bez przykrywki z wyjątkiem dróg leśnych (50 marek lub 14 dni aresztu). Za zabieranie do lasu psa płacono 30 marek, a wolno biegające psy leśniczy i dzierzawcy łowów mieli prawo natychmiast zastrzelić. Od 1928 r. magistrat Głubczyc wydawał karty i dokumenty uprawniające do zbierania w Lesie Głubczyckim chrustu, jagód i grzybów, które były co roku odnawiane. Opłata za zbieranie chrustu wynosiła 1 markę, a za zbieranie jagód i grzybów – 3

marki. Z biegiem czasu głubczyccy mieszczańscy uważali, że Las Głubczycki to również dobre miejsce wypoczynku i rekreacji. Już w połowie XVIII w. w sąsiedztwie Lasu Głubczyckiego wybudowano winiarnię Münzerei, której właścicielem na początku XX w. był Richard Münzerei. Po zmianie granic w 1918 r. winiarnia znalazła się po czeskiej stronie. Znana była wśród turystów i mieszkańców Głubczyc z pysznych lokalnych win i znakomitej kuchni. Specjalnością kulinarną winiarni była zupa grochowa z uszami wieprzowymi, szczupak szpikowany słoniną, łowiony w pobliskich stawach, oraz pieczeń z zająca i kompot z gruszek tzw. winnych. Na deser podawano kluski jabłkowe z owocami, pochodzącymi z lokalnych sadów. W 1871 r. na terenie Lasu Głubczyckiego władze miasta nakazały wybudowanie niewielkiej gospody, w której, głównie na wolnym powietrzu, miejski karczmarz podawał kawę, mleko, ryby wędzone i wędliny. Z czasem specjalnością wyszynku stała się tradycyjna śląska nerkówka cielęca, podawana z musztardą i lokalnym piwem z głubczyckiego browaru. Gospoda ta przynosiła miastu rocznie około tysiąca marek dochodu. W 1903 r., z inicjatywy właściciela głubczyckiej słodowni Wilhelma Schmidta, powstał w tym miejscu dodatkowo plac gier oraz zabaw dla dzieci. W jej sąsiedztwie znajdował się okazały buk zwyczajny, o ówczesnym obwodzie pnia 4,20 m, który następnie nazwano bukiem średniowiecznego cesarza Niemiec Ottokara III. W 1884 r. w miejscu tym odbyło się 42. walne zebranie Śląskiego Związku Leśników. Dla uczczenia tej okazji w sąsiedztwie posadzono trzy dęby, które otrzymały imiona: cesarza Ottokara II, zasłużonego burmistrza Głubczyc



Pomnikowy buk im. Ottokara III. Poczów z 1900 r.

Adoniasa Stephana i Śląskiego Związku Leśnego. Gdy w 1909 r. odbyło się tu kolejne, 67. walne zebranie Śląskiego Związku Leśnego, posadzono kolejne 3 dęby (imienia gubernatora Śląska Friedricha Wilhelma von Götzena, burmistrza Głubczyc Paula Primera i zasłużonego nadleśniczego lasów głubczyckich Carla Kostki). Obecnie po buku Ottokara III nie pozostał żaden ślad, gdyż buki nie należą do drzew długowiecznych. Już na pocztówkach z początku XX w. widoczne są wyraźne ślady jego obumierania. Przy każdym z posadzonych, pamiątkowych dębów zamocowano ozdobną tabliczkę z krótką informacją. Niestety, po tabliczkach nie pozostał już żaden ślad i obecnie bardzo trudno stwierdzić, które to były drzewa, tym bardziej, że część dębów w ostatnich latach uległo wywróceniu lub zostało wyciętych. Być może jeszcze żyją osoby, które pamiętają ich lokalizację i wtedy można byłoby powtórnie je oznakować.

Pod koniec XIX w. wiele leśnych duktów w Lesie Głubczyckim otrzymało swe nazwy, a najczęściej uczęszczaną drogę nazwano „Drogą Filozofów” (Philosophenweg). W latach 30. XX w. jedna z nich otrzymała nazwę Horsta Wessela. Horst Wessel (1907–1930) był niemieckim nazistą, członkiem SA i autorem tekstu do pieśni *Horst-Wessel-Lied*, która wkrótce po jego zamordowaniu, dokonany przez komunistów, została oficjalnym hymnem partyjnym NSDAP, a w latach 1933–1945 była śpiewana jako nieoficjalny hymn zamiast hymnu państwowego. Natychmiast po śmierci Wessela Joseph Goebbels, szef nazistowskiej propagandy, ogłosił go męczennikiem za narodowy socjalizm. Horstowi Wesselowi urządzony został uroczysty

pogrzeb, przerwany przez komunistów, którzy zaatakowali procesję kamieniami. W pogrzebie Wessela wzięło udział 30 tys. ludzi, w tym August Wilhelm Hohenzollern, syn ostatniego niemieckiego cesarza Wilhelma II.

W jednej z najpiękniejszych części Lasu Głubczyckiego znajduje się malownicze miejsce, zwane od wieków Wilczym Stawem. Ze względu na znaczne walory przyrodniczo-krajobrazowe, teren ten już na początku XX w. był chroniony na prawach rezerwatu. Obecnie to również projektowany rezerwat leśno-krajobrazowy. Jego nazwa pochodzi od licznie występujących tu w dawnych czasach wilków. Teren ten spełniał dawniej ważną rolę rekreacyjną dla mieszkańców Głubczyc. Na stawie, prócz możliwości popływania łódką, odbywały się również regaty, które cieszyły się bardzo dużą popularnością. Do 1869 r., gdzie obecnie znajduje się leśniczówka, znajdował się niewielki gliniany domek. Zamieszkiwało go dwóch nadzorców leśnych pilnujących porządku w Lesie Głubczyckim. Następnie postawiono tu budynek murowany, służący do 1899 r. jako dom leśniczego, gdyż ze względu na znaczny ruch turystyczny został przekształcony w restaurację. W 1906 r. w budynku tym nadbudowano piętro, aby stworzyć pokoje mieszkalne dla letników. Na początku XX w., dla podniesienia atrakcyjności tego terenu, wybudowano nad brzegiem Wilczego Stawu grota, w której umieszczono kamienną figurę wilka. Obecnie grota uległa zapomnieniu i jest zarosnięta krzewami i drzewami, stąd też jej odnalezienie jest coraz trudniejsze. Dodatkową atrakcją tego miejsca jest wypływające z grotki niewielkie źródło, którego czyste wody znikają szybko w Wilczym Stawie. Według miejscowych



„Droga Filozofów” w Lesie Głubczyckim. Pocztówka z 1920 r.



Wilczy Staw. Pocztaówka z 1926 r.

legend źródło to było ulubionym miejscem wodopoju tutejszych wilków, a jego wody miały mieć magiczną moc, dającą im nieprzeciętną siłę i odwagę – nie bały się nawet ludzi, których bardzo często atakowały. Raz do roku, ale zawsze w inny dzień, źródłana woda po wypiciu przez człowieka również dawała mu niezwykłą moc. W ten dzień wilki zawsze chroniły źródło przed ludźmi. Jednak pewnemu żebrakowi, który zbłądził w tych okolicach, przypadkowo udało się napić wody ze źródła. Wilki, wiedząc, że jest znacznie od nich silniejszy i sprytniejszy, przestraszyły się tak bardzo, że już nigdy w te okolice nie powróciły. W podzięce za przepędzenie krwiożerczych bestii władze Głubczyc suto wynagrodziły szczęśliwca szczerym złotem.

W sąsiedztwie wilczej grotki baczny obserwator spostrzeże bardzo dziwne rośliny. Są to rzadko spotykane w Polsce obrazki alpejskie. Gatunek ten należy do rodziny obrazkowatych i charakteryzuje się oryginalnymi kwiatostanami o bardzo specyficznej budowie. Kwiaty roślin obrazkowatych należą do grupy tzw. kwiatów pułapkowych. Zebrane są w duże kwiatostany tworzące kolbę, która otoczona jest pochwiastym podkwiatkiem, rozszerzającym się u dołu w rozdętą komorę, a u góry szeroko otwartym. Czynnikiem zwabiającym owady jest żywa barwa kolby kwiatostanowej pokrytej kropelkami słodkiej ciecicy oraz jej specyficzny zapach przypominający odór rozkładającego się mięsa, który zwabia przede wszystkim muchy i chrząszcze. Owady, siadając na wewnętrznej, bardzo śliskiej powierzchni pochwowatego podkwiatka, wpadają do dolnej komory, zapylając kwiaty. Po zapyleniu kwiaty więdną, przestają wydzielać woń i uwięzione w nich owady uzyskują wolność. Obsypane pyłkiem

mogą opuścić pułapkę zwykle po to, aby natychmiast wpaść do następnej.

W sąsiedztwie Wilczego Stawu występuje również chroniona, bardzo rzadko spotykana na Śląsku Opolskim, ciemiężca zielona. Gatunek ten należy do grupy roślin leczniczych. Już XII w. właściwości lecznicze ciemiężycy znane były średniowiecznej zielarce



Droga Horsta Wessela na pocztaówce z lat 30. XX w.



Grota z kamiennym wilkiem. Poczтівka z 1914 r.

św. Hildegardzie z Bingen (czytaj też na str. 46). Pisała o niej następująco: *Proch z korzenia nasypany w spróchniałe zęby rozsadza je. Rozetrzeć liście w palcach i przyłożyć na ząb, a daje się z łatwością wyjąć, tak silnie zaś działa, że dla uchronienia sąsiednich zębów od wypadnięcia trzeba je oblepić woskiem. Kwiat leczy melancholię.* Obecnie surowcem leczniczym są jej kłęczka i korzenie stosowane jako środek obniżający ciśnienie krwi. Stosowana jest również w medycynie ludowej przeciwko pasożytom skóry oraz w leczeniu chorób reumatycznych.

Okolice Wilczego Stawu porastają licznie okazałe krzewy leszczyny, potocznie zwanej orzechem laskowym. Leszczyna pierwsza ze wszystkich krzewów budzi się do życia po okresie zimowym, a jej kwiaty zwiastują nadejście przedwiośnia. W zależności od zimy, czasem już w pod koniec stycznia wypuszcza długie, z daleka widoczne kotki będące kwiatostanami męskimi. Choć kwiaty męskie są bardzo malownicze, a ich pyłek stanowi pierwszy pokarm dla budzących się pszczół, należy również do najczęstszych i najwcześniejszych pojawiających się alergenów. Bardzo drobne, kwitnące się na szczytach pąków, czerwone kwiaty żeńskie są niepozorne i trudne do zauważenia. To jednak z nich powstają pyszne i bardzo pożywne orzechy, dojrzewające wczesną jesienią. Prócz walorów smakowych, są bogate w witaminę E, kwasy tłuszczowe i dobroczynnie działają na serce. W fitoterapii stosuje się odwar z liści i kory leszczyny w obrzękach, stanach zapalnych i chorobach kobiecych. Mycie głowy tym odwarem nadaje włosom puszystość i połysk oraz pobudza ich porost. W medycynie ludowej pokruszone orzechy zmieszane z miodem to znane lekarstwo na kaszel. Orzechy leszczyny są również pokarmem wiewiórek, dzięciołów oraz rzadkich ga-

tunków ssaków z rodziny pilchowatych – popielicy i orzesznicy. Gatunki te występują również na stokach Bukowej Góry. Popielica kształtem przypomina nieco wiewiórkę. Różni się jednak od niej barwą, gdyż jej wierzch ciała, boki i ogon jest szaropopielaty, ze srebrzystym połyskiem. Gatunek ten żyje w lasach liściastych i mieszanych, a także w parkach. Jest aktywny w nocy, ale czasem jesienią jego aktywność wydłuża się i jest spotykany wczesnym rankiem oraz przed zmierzchem. Gniazda umieszcza w dziuplach, skrzynkach dla ptaków, a także w norach. Pokarmem popielicy są pączki i owoce drzew. Orzesznica natomiast jest mniejsza, wielkości myszy, z ogonem pokrytym puszystym włosiem. Żyje w lasach z gęstym podszyciem i w zaroślach krzewów. Swe gniazda buduje wśród gałęzi krzewów, zwykle na niewielkiej wysokości, a także w budkach dla ptaków lub w norach. Wiele czasu spędza wśród drzew i krzewów, a przy wspinaniu pomaga jej ogon, który pełni funkcje organu balansującego i podpierającego. Podobnie jak popielica jest gatunkiem o aktywności nocnej. Żywi się nasionami oraz owocami drzew i krzewów.

W głębi lesie znajdowały się również dwa miejsca naturalnych wychodni szarych piaskowców szarogłazowych. Na jednym z nich, na szczycie Góry Modrzewiowej i nieopodal Wilczego Stawu w 1842 r. został założony kamieniołom. Obecnie jest on nieczynny, a na jego dnie znajduje się malowniczy zbiornik wodny. Na wznoszących się ponad poziom wody ścianach kamieniołomu znajdują się interesujące pod względem geologicznym odsłonięcia szarogłazów oraz łupków ilastych i mułowcowych.

Krzysztof Spalek
(pocztówki ze zbiorów autora)

Adam Suchoński

Nauczycielka nauczycieli

45-lecie pracy dydaktycznej i naukowej prof. Barbary Kubis

Prof. Barbara Krystyna Kubis, zwana nader często przez studentów *nauczycielem nauczycieli*, pochodzi ze Stanisławowa. Urodziła się w tym mieście – aktualnie okrągła rocznica – w ubiegłym wieku (z czego nie należy wyciągać przesadnych wniosków.) W roku 1945, podobnie jak tysiące Polaków zamieszkujących wschodnie rubieże II Rzeczypospolitej, wraz z rodziną zmuszona jest do opuszczenia swojej małej ojczyzny. Transport zatrzymuje się na dworcu kolejowym Opole-Wschód. (Co ciekawe, mimo że wcześniej mieszkała w różnych częściach naszego miasta, dziś mieszka w pobliżu tego dworca właśnie). Szkołę podstawową, średnią i wyższą kończy w Opolu. Z tym miastem związana jest nadal, zarówno osobiście, jak i zawodowo. Po ukończeniu studiów pracuje jako nauczyciel historii w Szkole Podstawowej nr 11 w Opolu, pełniąc w tej placówce również funkcje kierownicze. Informacje o ciekawie prowadzonych zajęciach, pełnych twórczej inwencji, a nawet fantazji dydaktycznej dotarły wkrótce do Jej macierzystej uczelni. Stąd propozycja stałej współpracy w charakterze nauczyciela szkoły ćwiczeń, a od roku 1985 zatrudnienie etatowe w ówczesnej Wyższej Szkole Pedagogicznej.

Łącząc umiejętnie pracę naukową, dydaktyczną i organizacyjną, uzyskuje w roku 1989 stopień doktora, a w roku 2007 doktora habilitowanego. Od roku 2009 jest zatrudniona na stanowisku profesora nadzwyczajnego w Instytucie Historii Uniwersytetu Opolskiego.

Jedną z pasji prof. Barbary Kubis jest rekonstruowanie wydarzeń historycznych przez pryzmat codziennego życia ludzi. W jednej ze swoich książek pisze: *Nie można poznać dziejów ojczystych bez wiedzy o ludziach, którzy je tworzyli. Bez przekazów osobistych, zapisków, przyczynków, relacji, wspomnień, przeżyć oraz zachowanej ikonografii, w tym także fotograficznej i innych pamiątek kultury materialnej – informacje o naszej przeszłości historycznej i kulturowej będą niepełne, pozbawione emocji* (por. B. K. Kubis: *Historia w pamiętnikach zapisana*, Opole 2003, s.15). Obok przytoczonej wyżej, kolejną i w mojej ocenie najważniejszą publikacją o tym charakterze w dorobku Jubilatki jest książka zatytułowana: *Poznawcze i kształtujące walory literatury dokumentu osobistego*, Opole, 2007. Na podstawie tej publikacji i pomyślnie zakończonego przewodu habilitacyjnego Barbara Kubis uzyskuje stopień doktora habilitowanego. Warto dodać, że recenzentami w przewodzie byli uczeni tej miary co

prof. dr hab. Tomasz Szarota, prof. dr hab. Wojciech Wrzesiński, prof. dr hab. Marceł Kosman i prof. dr hab. Stanisław Sławomir Niciejka.

Badania prof. Kubis koncentrują się wokół szeroko rozumianej literatury dokumentu osobistego. Bazując na tym materiale źródłowym, stara się między innymi prześledzić losy ludności polskiej, która musiała opuścić wschodnie obszary II Rzeczypospolitej w wyniku decyzji aliantów po zakończeniu II wojny światowej. Wykorzystując wspomnienia nadesłane na konkurs ogłoszony przez Instytut Śląski w Opolu na temat: *Pamiętniki trzech pokoleń mieszkańców Ziemi Odzyskanych*, przygotowuje kolejne monografie poświęcone tej problematyce: *Wypędzenie Polaków z Kresów Wschodnich (1944–1946)*, Opole, 2009 oraz *Losy Polaków wysiedlonych z Kresów Wschodnich II RP (1944–1945)*, Opole 2011.

Analizując zarówno treści, jak również ciekawą ich obudowę (ikonografie, motto, dedykacje), można bez



Prof. Barbara Kubis

przesady powiedzieć, że są to książki pisane sercem i z potrzeby serca. Potwierdza to wzruszająca dedykacja dla wnuków, aby pamiętali o stronach rodzinnych swoich przodków. Autorka podaje często przykłady więzi pokoleniowej, prezentując zwłaszcza na okładkach swoich książek ikonografię pochodzącą z rodzinnych albumów. Potwierdza to również dedykacja na kartach pierwszej książki: *Pamięci moich Dziadków Franciszki i Michała Marcinkowskich* (w: *Historia w pamiętnikach zapisana*, Opole 2003).

Rekonstruując wydarzenia związane z przeszłością przy pomocy zapisu pamiętnikarskiego, prof. Barbara Kubis umiejętnie łączy tę problematykę ze współczesnością. Obok licznych własnych refleksji na ten temat, często przywołuje ciekawe opinie innych badaczy, a także przedstawicieli mediów. Na przykład we wstępie do jednej z książek czytamy: *Można mieć nadzieję, jak pisze niemiecka dziennikarka Helga Hirsch, że jeśli mieszkańcy dzisiejszych polskich ziem zachodnich i mieszkańcy dawnych niemieckich ziem wschodnich opowiedzą sobie swoje biografie, różne grupy ofiar mogłyby się wreszcie spotkać w swoim żalu, zamiast trwać w rozgorzczeniu i ranić się wzajemnie.* (*Poznawcze i kształcące walory literatury dokumentu osobistego*, Opole 2007, s. 21).

Potrzebę integrowania mieszkańców Opolszczyzny pochodzących z różnych regionów postuluje nie tylko w publikacjach, ale realizuje także w życiu osobistym, wiążąc się poprzez małżeństwo z rodziną osiedloną na tym terenie od wieków. Swój bogaty dorobek teoretyczny prof. Barbara Kubis ilustruje przykładami zaczerpniętymi z różnych wątków związanych z prze-

szłością (ludność żydowska w II Rzeczypospolitej; rola kobiet w czasie II wojny światowej; problematyka holokaustu – Żydzi, Romowie; stosunki polsko-ukraińskie w czasie II wojny światowej; problematyka regionalna na przykładzie Górnego Śląska).

Ten dorobek, tylko po habilitacji, podsumowany od strony ilościowej przedstawia się imponująco. Obok książek autorskich, współautorskich i redagowanych, jest to przeszło 70 artykułów i rozpraw, z czego część ukazała się drukiem w publikacjach zagranicznych. Dodajmy do tego aktywny udział (również po habilitacji) w 67 konferencjach krajowych oraz 19 o charakterze międzynarodowym.

Odnajmijmy także wystąpienia na konferencjach w czasie sesji organizowanych przez takie ośrodki akademickie jak: Göteborg, Saloniki, Tutzing, Drezno, Bańska Bystrzyca, Lwów. Warto dodać, że Uniwersytet w Göteborgu ogłosił drukiem w postaci pracy zwartej cykl wykładów wygłoszonych w tej uczelni przez prof. Barbarę Kubis. Zasygnalizowany tylko wybiórczo dorobek godny jest tytułu – profesor nauk humanistycznych.

Aktualnie prof. Barbara Kubis zaliczana jest do ścisłej czołówki badaczy w zakresie problematyki historyczno-dydaktycznej, uważana jest za najlepszego w naszym kraju znawcę literatury dokumentu osobistego.

Jubilatka znana jest z pasji, z jaką realizuje zadania nauczyciela akademickiego, co wielokrotnie i przy różnych okazjach podkreślają absolwenci naszej uczelni. Nader często słyszeliśmy, że potrafi rozbudzić pozytywną motywację, wywołać zainteresowanie przyszłym zawodem, przekazując młodzieży nie tylko



Spotkanie z prof. Aleksandrem Gieysztozem (trzeci z prawej). Prof. Barbara Kubis – druga z prawej



Villa Academica UO. Gościem naszych historyków był prof. Michael Lemberger z Uniwersytetu Wiedeńskiego (trzeci z lewej), obok – prof. Barbara Kubis

bogatą oraz interdyscyplinarną wiedzę, ale także model racjonalnie zorganizowanej pracy umysłowej, wyprzedzając w tym zakresie aktualne postulaty.

Prof. Barbara Kubis, zgodnie z zaleceniami procesu bolońskiego, w sposób harmonijny łączy działalność w skali makro z pracą na rzecz uczelni i środowiska. Posłużmy się przykładem. Od roku 2005 obchodzony jest Dzień Holokaustu, zawsze w styczniu, co wiąże się z datą wyzwolenia nazistowskiego obozu Auschwitz-Birkenau. Organizacja Narodów Zjednoczonych zaapelowała, aby z tej okazji przygotować w szkołach różnych typów (w tym także wyższych) spotkania związane z tą problematyką. Z realizacją tego apelu bywa jednak różnie. Okazuje się, że Instytut Historii Uniwersytetu Opolskiego należy do nielicznych (w skali całego kraju) placówek oświatowych, które w sposób daleki od stereotypowych rozwiązań upamiętniają ofiary II wojny światowej. Jest to wyłącznie zasługa prof. Barbary Kubis. Uwagę zwraca stale zmieniająca się tematyka spotkań, co pozwala na pogłębianie i uzupełnianie wiedzy na ten temat. Wymieńmy tylko tematy kolejnych seminariów, których pomysłodawcą i organizatorem była prof. Barbara Kubis: *Auschwitz – Birkenau – miejsce pamięci ofiar zagłady; Pomniki w słowach i obrazach; Gdzie jest miejsce walizki z Auschwitz?; Wszystkie drogi prowadzą do Auschwitz; Ludzie ludziom zgotowali ten los; Dzieci holokaustu; Holocaust Romów.*

Ten ostatni temat wywołał ożywioną dyskusję także w środowiskach zajmujących się badawczo zbrodniami nazizmu w czasie II wojny światowej. Najczęściej bowiem określenie *holokaust* wiązano z eksterminacją narodu żydowskiego. Warto przypomnieć, że redakcja „Wiadomości Historycznych” – pisma o zasięgu ogólnopolskim – poświęciła temu mało dotąd przebadanemu zagadnieniu cały numer (por. „Wiadomości Historyczne” nr 3 z 2012 roku).

Na podkreślenie zasługuje fakt, że w tych dorocznych konferencjach referentami są nie tylko pracownicy nauki, ale również studenci. Są to najczęściej członkowie jedyne w Polsce Koła Naukowego Dydaktyków Historii, które powstało z inicjatywy prof. Barbary Kubis.

Współczesny nauczyciel akademicki w ujęciu modelowym powinien w sposób harmonijny łączyć pracę naukową z działalnością dydaktyczną i organizacyjną. Ten niełatwy postulat od lat z powodzeniem realizuje prof. Barbara Kubis. Aktualnie działa w Polskim Towarzystwie Historycznym i (jako czwarta osoba w naszym kraju) w Międzynarodowym Stowarzyszeniu Dydaktyków Historii, skupiającym członków o uznanym dorobku naukowym z 76 państw. Jest jednym z organizatorów i członków jury w konkursach popularyzujących wiedzę o regionie (np. Konkurs Wiedzy o Kresach Wschodnich). Ścisłe współpracuje z Muzeum Śląska Opolskiego, Centralnym Muzeum Jeńców Wojennych Łąbinowice-Opole, Domem Współpracy Polsko-Niemieckiej w Opolu.

Za dotychczasową działalność była wyróżniona przez Polskie Towarzystwo Historyczne, Ministerstwo Edukacji Narodowej, władze województwa opolskiego, Stowarzyszenie Kresowiaków oraz przez J. M. Rektora Uniwersytetu Opolskiego.

Ad multos annos Pani Profesor!

Adam Suchoński

Anna Pobóg-Lenartowicz

Będzie nam Was brakowało

W nowym roku akademickim w gronie pracowników Instytutu Historii UO zabrakło dwóch profesorów, którzy na trwale wpisali się w historię naszej uczelni. Mam tu na myśli prof. dr hab. Teresę Kulak i prof. dra hab. Dana Gawreckiego. Nawiązując do ubiegłorocznej tradycji, chciałabym poświęcić Im parę słów.

Profesor Teresę Kulak poznałam na początku lat osiemdziesiątych, jako studentka historii Uniwersytetu Wrocławskiego, wówczas noszącego imię Bolesława Bieruta (zwycięskie referendum, zorganizowane w celu zmiany patrona, nie przyniosło wtedy spodziewanego rezultatu). Teresa Kulak (wówczas jeszcze doktor) prowadziła zajęcia z historii Polski międzywojennej (do 1944 r.) Jej rola była (podobnie zresztą jak i Jej kolegów, wykładających historię XX wieku – dra Adolfa Juzwenki, dra Włodzimierza Sulei, mgra Krzysztofa Kawalca czy prof. Wojciecha Wrzesińskiego) wyjątkowo trudna. W telewizji jedyną słuszną prawdę o tych czasach głosił słynny prof. Włodzimierz T. Kowalski. Teresa Kulak nie poddała się obowiązującym wersjom wydarzeń. To na Jej zajęciach po raz pierwszy czytaliśmy tajny aneks do układu Ribbentrop-Mołotow, oglądaliśmy zdjęcia z odkrycia masowych grobów w Katyniu (*nota bene* z niemieckich albumów, wydanych w tym czasie przez propagandę hitlerowską), czy też czytaliśmy – będącą wówczas w dziale prohibitów – *Wojnę obronną 1939 r.* Leszka Moczulskiego. Jako wykładowca prof. Teresa Kulak była osobą życzliwą, ale też niezwykle wymagającą. Ceniła sobie własne zdanie, twórcze myślenie i umiejętność wyciągania logicznych wniosków. Dokładnie tego samego wymagała od studentów Uniwersytetu Opolskiego, a mimo to – na jej zajęcia zawsze był nadmiar chętnych. Co roku trzeba było dokonywać odgórnych korekt liczby zapisanych na Jej seminaria studentów, bowiem żaden z zapisanych nie chciał z nich dobrowolnie zrezygnować. Prof. Teresa Kulak rozpoczęła współpracę z naszą uczelnią w sytuacji specyficznej, związanej z podziałem Wydziału Filologicznego i powstaniem obecnie istniejącego Wydziału Historyczno-Pedagogicznego. Reor-

ganizacja uczelni spowodowała możliwość czasowej utraty uprawnień do doktoryzowania i habilitowania na kierunku historia. Z pomocą przyszła właśnie prof. Teresa Kulak, wówczas kierownik Studium Doktoranckiego Uniwersytetu Wrocławskiego. Zdecydowała się na włączenie naszych doktorantów w ramy prowadzonego przez Nią we Wrocławiu studium. I mimo iż po dwóch latach wydział nasz odzyskał zawieszane uprawnienia, profesor Kulak kontynuowała współpracę z Instytutem Historii. Kulminacyjnym punktem tej współpracy był z pewnością jubileusz 70-lecia urodzin oraz 45-lecia pracy naukowej i dydaktycznej prof. Teresy Kulak, zorganizowany w październiku 2011 r. właśnie w naszej uczelni. Przy tej okazji Pani Profesor wygłosiła wykład inauguracyjny nowy rok akademicki 2011/2012. Nakładem Wydawnictwa A. Marszałek ukazał się też tom jubileuszowy zatytułowany *Polska*



Prof. Teresa Kulak (fot. Tadeusz Parcej)

leży na Zachodzie. *Studia z dziejów Polski i Europy*. Wyrazem uznania zasług prof. Teresy Kulak dla Uniwersytetu Opolskiego było też zgłoszenie przez Radę Wydziału Historyczno-Pedagogicznego Jej kandydatury do Centralnej Komisji ds. Tytułów i Stopni Naukowych. Funkcję członka tej komisji profesor Kulak pełniła przez kolejne dwa lata. Wszyscy ceniliśmy sobie Jej fachowe uwagi, celne wnioski, dobre rady i życzliwość. Nikomu potrzebującemu nie odmawia bowiem pomocy – naukowej, dydaktycznej. Ale i zwyczajnej – ludzkiej.

Będzie nam Ciebie, Tereso, brakowało w instytucie! Dobrze, że masz w sobie jeszcze tyle weny twórczej, pomysłów na dalsze badania, organizację nowych konferencji. Z pewnością skorzysta na tym Komisja Historii Kobiet, której obecnie przewodniczysz, redakcja Śląskiego Kwartalnika Historycznego „Sobótka” i szereg innych gremiów, do których należysz. Wreszcie będziesz miała czas na wszystkie odkładane wcześniej sprawy. Mam nadzieję, że – mimo wszystko – nie zapomnisz także i o tych, którzy w Opolu byli Ci zawsze życzliwi. Wszystkiego dobrego!

Prof. Dan Gawrecki urodził się we Frydku, miejscowości leżącej na czeskim Śląsku, niedaleko granicy z Polską. Studiował na Uniwersytecie Palackiego w Ołomuńcu. Po obronie doktoratu podjął pracę w Czechosłowackiej Akademii Nauk w Opawie, gdzie przeszedł wszystkie szczeble kariery – aż do dyrektora. W 1993 r. rozpoczął pracę w Uniwersytecie Śląskim w Opawie, w którym przez 14 lat był dyrektorem Instytutu Historii i Muzeologii. Z Opolem związał się za sprawą śp. prof. Wiesława Lesiuka i prof. Michała Lissa, uczestnicząc w wielu przedsięwzięciach podejmowanych przez Instytut Śląski. W 2006 r., na wniosek Rady Wydziału Historyczno-Pedagogicznego naszego uniwersytetu, z rąk prezydenta Lecha Kaczyńskiego otrzymał tytuł profesora. Wkrótce potem pozytywnie odpowiedział na prośbę Instytutu Historii UO i podjął pracę na naszym uniwersytecie, wypełniając lukę po nagłej śmierci prof. Leszka Kuberskiego. Na naszej uczelni pracował aż do 1 października 2013 r. mimo ofert, składanych mu przez inne polskie i nie tylko polskie ośrodki naukowo-badawcze.

Prof. Dan Gawrecki jest wybitnym specjalistą od dziejów Europy Środkowo-Wschodniej, począwszy od czasów nowożytnych aż po II wojnę światową. Ważne miejsce w jego badaniach zajmują dzieje Śląska w jego historycznych granicach. Jest autorem kilkuset prac: monografii, prac pod redakcją, artykułów, przyczynków, recenzji, haseł, omówień itp. Był redaktorem kilku czasopism, kierownikiem i uczestnikiem wielu grantów naukowych o charakterze międzynarodowym. Brał udział w tworzeniu najnowszej syntezy *Historii Górnego Śląska*, wydanej w 2011 roku, która cieszy się dużą popularnością wśród uczniów, studentów i pasjonatów dziejów małej śląskiej ojczyzny. Na naszej

uczelni prowadził zajęcia – w języku polskim – z historii powszechnej XIX wieku, industrializacji Śląska w XIX wieku, dziejów pograniczy w Europie Środkowej, rozwoju parlamentaryzmu w krajach Europy Środkowo-Wschodniej, a także po czesku wykłady z historii Czech dla studentów bohemistyki. Jego seminaria cieszyły się dużym zainteresowaniem studentów. W sumie wypromował 20 doktorów. Reprezentował naszą uczelnię na wielu konferencjach w Niemczech, Austrii, Czechach, Słowacji, Polsce. W ramach programu Erasmus prowadził wykłady na Uniwersytecie w Kiel. Dzięki niemu udało się także nawiązać współpracę z Instytutem Historii Uniwersytetu Śląskiego w Opawie.

Profesor Dan Gawrecki, mimo wysłania go na zasłużoną emeryturę, nie zwolnił tempa swoich dociekań badawczych. Jest członkiem kolejnych europejskich grantów naukowych, podtrzymuje też wieloletnie kontakty z Instytutem Śląskim w Opolu, uczestnicząc w organizowanych przez niego konferencjach, wykładach i projektach. Panie Profesorze, dziękujemy za wszystko, co Pan zrobił dla naszego uniwersytetu. Współpraca z Panem to dla mnie zaszczyt i duża przyjemność!



Prof. Dan Gawrecki

Stanisław Gajda

Biblioteka, głupcze!*

1. Podobno do *trzech razy sztuka*. Jeśli zawierzyć magii zawartej w tej formule, to nasz uniwersytet zyska w nieodległej przyszłości nową, nowoczesną bibliotekę główną. W minionych dwudziestu latach uniwersytecka infrastruktura radykalnie się zmieniła – zbudowano ją od podstaw lub gruntownie wyremontowano. Z przeszłej epoki straszy jedynie biblioteka – budynek adaptowany na cele biblioteczne w latach 80. ubiegłego wieku i już wysłużony pod względem technicznym i funkcjonalnym. A zatem czas na bibliotekę?

2. Pierwsza inicjatywa zbudowania z prawdziwego zdarzenia uniwersyteckiej księżnicy zrodziła się zaraz po powodzi z 1997 r., która zniszczyła zbiory oraz obnażyła niedostatki i mankamenty obiektu. Właściwie wbrew rektorowi, który uznał tę ideę za „nóż w plecy” dla jego starań o (od)budowę Collegium Maius, w sprawę zaangażował się profesor Stanisław Kochman, ówczesny przewodniczący Rady Bibliotecznej. Doprowadził do powstania Społecznego Komitetu Budowy Biblioteki z udziałem posłów, senatorów oraz miejskich i wojewódzkich notabli (na wzór Społecznego Komitetu ds. Powołania Uniwersytetu Opolskiego). Określono lokalizację obiektu (przy ul. Oleskiej na należącym do uniwersytetu terenie po byłym OZNS-ie) i rozpoczęto prace studyjne z udziałem ministerstwa. Poseł Jerzy Szteliga – skuteczny we wprowadzeniu do Sejmu *Ustawy o powołaniu Uniwersytetu Opolskiego* – obiecał pomoc we włączeniu inwestycji do budżetu centralnego. Sprawa jednak upadła głównie przez zaniechanie ze strony władz uniwersytetu.

Drugie podejście w 2005 r. zostało również zainicjowane na Wydziale Filologicznym i było inspirowane rozmachem inwestycyjnym w całym szkolnictwie wyższym. W jego ramach we wszystkich ośrodkach akademickich (z)budowano nowe biblioteki, nie tylko kultową bibliotekę Uniwersytetu Warszawskiego, lecz także w Gdańsku, Łodzi, Białymstoku, Puławsku, Wrocławiu, Katowicach, Rzeszowie itd. U nas skończyło się na ulokowaniu biblioteki w uniwersyteckim planie inwestycyjnym na bezpiecznym nastym miejscu.

Po kolejnych ośmiu latach od dołów akademickich (gdzie władze uniwersytetu, dyrekcja biblioteki, Rada Biblioteczna?) – ze swoistej desperacji wobec ogólnej sytuacji uniwersytetu i panującego w nim klimatu oraz wobec pogłębiającej się anachroniczności naszej biblioteki – wychodzi kolejny

apel o poważne zajęcie się sprawą biblioteki. Podjęły go Rada Wydziału Filologicznego i Rada Wydziału Teologicznego, trafił do Senatu i Senackiej Komisji ds. Rozwoju. Są więc szanse na jego odpowiedzialne potraktowanie?

3. Włączam się w debatę okołobiblioteczną z ambiwalentnymi odczuciami. Jestem zdecydowanym orędownikiem budowy – przemawiają za nią fundamentalne argumenty egzystencjonalne: jeśli w Opolu ma istnieć prawdziwy uniwersytet, to musi mieć prawdziwą bibliotekę. Dostrzegam jednak moc barier w realizacji idei budowy. I to nie tyle formalnych, finansowych itp., ile tkwiących w czynniku ludzkim naszej akademickiej społeczności.

Budowa biblioteki to przedsięwzięcie wielkie, trudne, wieloetapowe i wieloletnie. Wymaga wielkiego zaangażowania, wyobraźni, talentów organizacyjnych, wytrwałości etc. W innych ośrodkach osoby o takich cechach się znalazły. Czyżby w Opolu ich nie było? Sądzę, że są, ale ogranicza je coraz dotkliwiej dająca się w Opolu we znaki i coraz wyraźniej widoczna niedobra i obezwładniająca aura intelektualno-emocjonalna, której ulegamy i na którą się godzimy. Współtworzą ją tzw. warunki obiektywne (m.in. niż demograficzny i kłopoty rekrutacyjne, kiepskie finansowanie nauki i szkolnictwa wyższego w Polsce), ale też subiektywne.

Czas współczesny skłania władze (w tym uniwersyteckie) do *rządzenia dziś*, tj. do bieżącego administrowania i myślenia kadencyjnego, do unikania spraw kłopotliwych i niewybiegania w przyszłość, do otaczania się miernymi, ale wiernymi, do uciszania niepokornych i studzenia gorących itp. Do troszczenia się o dobro wspólne i przyszłość nie obligują też tak bardzo rządzeni. Nowe po 1989 r. przyniosło wolność jednostkową (por. nacisk na prawa jednostki, człowieka), skłaniając do egoizacji.

Mam wrażenie, że idea budowy biblioteki jest dość powszechnie popierana, lecz czysto werbalnie, czyli pozornie. Nikt nie ma zamiaru *umierać za bibliotekę*. Nawet profesorowie nie chcą się narażać. *Opinio communis* głosi, iż rektor nie jest jej zwolennikiem, czego dowody dał w przeszłości. *Zasada dłużej klasztora niżli przeora* swoją mądrością nie przełamuje egoizacji, pasywizmu i obaw przed wychyleniem się.

4. Przez 60/20 lat nie zbudowaliśmy prawdziwego uniwersytetu, choć posiadamy formalną nazwę *uniwersytet* i wiele osiągnięć. Nie znaczy to, że nie mamy szans na jego stworzenie. Wbrew ministerialnym rojeniom o sztandarowych uniwersytetach (w Polsce miałyby ich być kilka) nauka i szkolnictwo demokratyzują się. Jeśli przed kilkudziesięciu laty czołowe uniwersytety świata produkowały większość publikacji w najbardziej prestiżowych czasopiśmie, to dziś ich udział znacząco spadł na korzyść uczelni spoza pierwszej ligi. Liczą się nie tylko klasyczne niemieckie uniwersytety w relatywnie małych miastach (Getynga, Heidelberg czy Tybinga), lecz także nowe, np. Uniwersytet w Trondheim. Zdaję sobie sprawę z pewnego uproszczenia, jakie łączy się z takim ujęciem. Jednak wlewa ono choć trochę optymizmu w obolałe opolskie dusze.

Jeśli nasz uniwersytet ma przetrwać trudne czasy i nie dać się zdegradować, jego ludzie powinni stworzyć prawdziwą akademicką wspólnotę. Ta wspólnota musi być zdolna do stworzenia wizji rozwoju oraz do jej realizacji, co wymaga wyłonienia odpowiedzialnych i oddanych liderów. Jednym z kluczowych elementów tej wizji musi być biblioteka – święte miejsce nie tylko uniwersytetu, lecz także kultury ludzkiej w ogóle. Opinia przedstawiciela samorządu studenckiego wyrażona na posiedzeniu Senatu: *po co nam biblioteka, mamy laptopy*, świadczy o jego ignorancji. Gdyby stała się oficjalnym stanowiskiem uniwersytetu, kompromitowałaby go. Zaprzeczają jej nie tylko powstające jak przysłowiowe grzyby po deszczu nowe akademickie biblioteki w Polsce, lecz także w świecie, m.in. w Mińsku i Berlinie.

5. Biblioteka jako instytucja społeczno-kulturowa, ucieleśniająca zbiorową pamięć świata, ma za sobą wielowiekowe tradycje. Jej początki sięgają tysięcy lat wstecz. Zmieniała w ciągu dziejów swoją postać. Stawało się tak z wielu powodów, m.in. ze względu na charakter nośnika (od glinianych tabliczek poprzez papirusowe i pergaminowe zwoje oraz papierową książkę po nośnik cyfrowy), użytkowników, sposób udostępniania itp. Dziś panuje wśród fachowców zgodne przekonanie, że współczesna biblioteka i biblioteka przyszłości będą gromadziły i udostępniały zbiory na wielu nośnikach (komplementarność). Ucyfrowiona wiedza ludzka nigdy nie będzie pełna, a ponadto monopol jednego nośnika może być niebezpieczny.

Zastanawiam się zresztą, czy właściwe jest mówienie o idei budowy biblioteki. W naszej świadomości słowo *biblioteka* kojarzy się z tradycyjną wypożyczalnią książek i czytelną. Tymczasem nowoczesne biblioteki spełniają również wiele innych funkcji. Stają się właściwie centrami życia intelektualnego. Może więc lepiej mówić o budowaniu takiego centrum zorientowanego nie tylko na wspól-

notę akademicką (nauczycieli i studentów), lecz także otwartego na społeczność Opola i regionu?

W ostatnich latach nasza biblioteka uniwersytecka rozwijała się przez mnożenie oddziałów przy instytutach i wydziałach oraz przez parcelację zbiorów. Wynikało to z ambicji jednostek i nazbyt literalnego interpretowania zaleceń akredytacyjnych, ale też z przepelnienia magazynów w Bibliotece Głównej. Działo się tak wbrew światowym tendencjom, które sprzyjały dostępowi do półek, na których w jednym miejscu znajdował się prawie cały biblioteczny zasób. Korespondowało to z tendencjami do interdyscyplinarności czy wręcz postdyscyplinarności wiedzy naukowej i jej integracji. Tymczasem u nas rozrzucanie zbiorów tworzy bariery w korzystaniu z nich oraz w spotykaniu się nauczycieli i studentów z różnych kierunków/dyscyplin. Planowana lokalizacja biblioteki – w centrum miasta i uniwersyteckich obiektów (najwyżej kilkaset metrów od prawie wszystkich wydziałów) – stwarza możliwość scalenia zbiorów i uczynienia z biblioteki centrum intelektualnego życia uniwersyteckiego i publicznego.

Współczesna nauka jest wewnętrznie różnorodna i podzielona. Obok nauki akademickiej, w której badacze komunikują się między sobą, wydziela się naukę stosowaną, która odpowiada na praktyczne potrzeby i zamówienia płynące spoza nauki, a także naukę publiczną. Tę ostatnią stanowi nie tyle popularyzacja nauki, ile partnerska debata badaczy z zainteresowaną publicznością. Nauka publiczna zaczyna odgrywać coraz większą rolę w życiu współczesnych społeczeństw i nie ogranicza się tylko do internetu. Coraz bardziej staje się oczywiste, że nie zastąpi on całkowicie książki i żywego bezpośredniego kontaktu człowieka z człowiekiem.

Wydaje się, że nasza projektowana biblioteka powinna stać się takim centrum intelektualnym, w którym spotykałby się nie tylko tradycyjni czytelnicy, ale też inni użytkownicy. Marzy mi się, aby o naszej przyszłej bibliotece mówiono: *to kultowe miejsce w Opolu*. Z budową biblioteki spóźniliśmy się, ale mamy możliwość wykorzystania doświadczeń innych i stworzenia biblioteki najnowocześniejszej nie tylko w Polsce.

Co się stanie, jeśli nie podejmiemy idei budowy biblioteki/centrum intelektualnego? Czy może istnieć uniwersytet bez prawdziwej biblioteki? Uniwersytet bez takiej biblioteki szczerze, stanie się najwyżej Wyższą Szkołą Byle Jaką. Niech szczerze uniwersytet?

Użyty w tytule frazem, jak powiedziała by profesor Wojciech Chlebda, to swoisty powielający się i mutujący mem kulturowy (zob. R. Dawkins, *Samolubny gen*, 1976). Jego źródłem jest Clintonowskie: *Gospodarka, głupcze!*

25 kwietnia br. opolska chemia będzie obchodzić swoje 50-lecie

Związki nie tylko chemiczne

W tym roku mija 50 lat od chwili, gdy na opolskiej uczelni, w 1964 r., pojawił się kierunek chemia. Najpierw był Zakład Chemii pozostający w strukturze Wydziału Matematyki i Fizyki, później – Wydziału Matematyki, Fizyki i Chemii, w 1969 powstał Instytut Chemii, a w 2008 – Wydział Chemii, najmłodszy z uniwersyteckich wydziałów.

W bilansie tych pięćdziesięciu lat rok miniony, 2013, był jednym z najlepszych dla naszych chemików. We wrześniu ogłoszono wyniki kategoryzacji, czyli ocenę jednostek naukowych (za ostatnie cztery lata) pod względem kondycji naukowej: Wydział Chemii UO po raz pierwszy uzyskał kategorię A. I to w sytuacji, kiedy przez ostatnie dwa lata jednostka ta funkcjonowała „na uchodźstwie”, bo budynek Wydziału Chemii przechodził gruntowny remont. W tym czasie chemicy pracowali w użyczonych im laboratoriach – nawet w Kędzierzynie-Koźlu.

Sukces kolejny. Złożony w lipcu ub. roku wniosek Wydziału Chemii UO o przyznanie uprawnień habilitowania został pozytywnie rozpatrzony przez Radę Główną Nauki i Szkolnictwa Wyższego oraz Centralną Komisję ds. Stopni i Tytułów Naukowych – w listopadzie wydziałowi Centralna Komisja przyznała takie uprawnienia. To z kolei, niezależnie od możliwości przeprowadzania procedur habilitacyjnych, pozwoli Wydziałowi na uruchomienie samodzielnych studiów doktoranckich – dotąd, od dziesięciu lat, doktoranci chemii (dziś jest ich blisko 40, a na początku było dwóch) są doktorantami Środowiskowych Studiów Doktoranckich Wydziału Chemicznego Politechniki Wrocławskiej i Wydziału Chemii UO na mocy stosownej umowy zawartej w roku 2004. Właśnie z powodu braku uprawnień habilitowania, zgodnie z zapisem ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym, nie można było tych studiów uruchomić w Opolu, choć doktoranci u nas, pod okiem naszych promotorów, realizowali swoje prace, tutaj też się bronili. Jesienią studia doktoranckie na Wydziale Chemii UO rozpoczną swoją działalność. Co oznacza nie tylko prestiż, ale i konkretne pieniądze, bo w algorytmie ministerialnych dotacji każdy doktorant liczy się jak pięciu studentów.

Na sukces wydziału składają się też sukcesy jego pracowników. W skali uczelni to Wydział Chemii ma najwięcej realizowanych grantów naukowych, nawet kilkanaście w ciągu roku – są to zarówno projekty Narodowego Centrum Nauki, jak i Narodowego Centrum Badań i Rozwoju.

Pracownicy Wydziału Chemii aktywnie też współpracują z otoczeniem gospodarczym. Wydział Chemii UO był jednym z inicjatorów utworzenia klastra chemii specjalistycznej CHEM-STER, którego jest członkiem wraz z Instytutem Ciężkiej Syntezy Organicznej „Błachownia” w Kędzierzynie-Koźlu i kilkunastoma zakładami przemysłowymi, w tym z kędzierzyńskimi „Azotami”, firmą MEXEO, też z Kędzierzyna-Koźła, czy firmą ALCOR z Opola. Celem zawiązania klastra jest opracowanie wspólnych projektów oraz prowadzenie badań dostosowanych do potrzeb przemysłu. Odpowiedzią na takie potrzeby jest np. opatentowany już, nowoczesny katalizator DMC (dimetalocyjankowy), który jest efektem wspólnej pracy konsorcjum składającego się z trzech jednostek: chemików z Uniwersytetu Opolskiego, a dokładniej – pracowników Katedry Technologii Chemicznej i Chemii Polimerów oraz firmy MEXEO z Kędzierzyna-Koźła i PCC Rokita w Brzegu Dolnym.

– Naszą wspólną pracę zainicjowała firma MEXEO, której właścicielem jest dr hab. Wiesław Hreczuch, lider naszego konsorcjum – mówi **prof. dr hab. inż. Krystyna Czaja**, kierownik Katedry Technologii Chemicznej i Chemii Polimerów. – W firmie MEXEO, z



Budynek Wydziału Chemii UO



4 grudnia ub. roku delegacja Instytutu Badawczego Przemysłu Chemii Gospodarczej w Taiyuan (Chiny) gościła na Uniwersytecie Opolskim. Na zdjęciu w pierwszym rzędzie (od lewej): wicedyrektor prof. Sun Yongqiang, dyrektor prof. Wang Wanxu, rektor UO prof. Stanisław S. Nicieja, prof. Kang Baoan. W drugim rzędzie (od lewej): dr Stankomir Nicieja, dziekan Wydziału Chemii prof. Piotr P. Wieczorek, prof. Krystyna Czaja, prof. Wiesław Hreczuch – właściciel firmy MEXEO z Kędzierzyna-Koźła, prof. Zhi Jianping

aktywnym udziałem absolwenta i obecnie doktoranta chemii mgr. Jarosława Janika, opracowywane są nowe katalizatory i testowane w reakcji polioksyalkilenowania; chemicy z naszego uniwersytetu zajmują się analizą ich składu i charakterystyką produktów otrzymywanych z ich udziałem oraz badaniami nad kinetyką i mechanizmami reakcji, natomiast PCC Rokita to partner zainteresowany w przyszłości wykorzystaniem katalizatora w większej skali.

Opracowywanymi katalizatorami typu DMC jest już zainteresowanych kilka instytucji z całego świata, w tym Instytut Badawczy Przemysłu Chemii Gospodarczej w Taiyuan, największa tego typu placówka w Chinach, zajmująca się chemią gospodarczą, którego przedstawiciele zjawili się na Opolszczyźnie na początku grudnia ubiegłego roku (4 grudnia gościli na Uniwersytecie Opolskim, a 5 i 6 grudnia uczestniczyli w seminarium wyjazdowym wraz z wykonawcami projektu dot. opracowania katalizatorów DMC z MEXEO i UO). Chińscy naukowcy byli bardzo zainteresowani wynikami badań oraz współpracą z MEXEO i UO.

Katalizatorem zainteresowane są też firmy z Rumunii i USA. Rumuni już go przetestowali, uznali, że jest bardzo dobry, prowadzone są też rozmowy z Japończykami. Trwa więc promocja katalizatora, którego zastosowanie jest znacznie szersze, obejmujące nie tylko chemię gospodarczą.

Dotychczasowa współpraca z innymi firmami, ALCOR z Opola oraz BH Industries z Warszawy zaowo-

cowała już deklaracją wspólnego udziału w pracach Ponadregionalnego Centrum Naukowo-Przemysłowego (Bio)-Polimery-Materiały Technologie dla Gospodarki (POLINTEGRA). Dobrze rozwija się także współpraca z opolskimi firmami EURO CERAS z Kędzierzyna-Koźła, IFM ECOLINK z Opola, SILSPEK z Dobrzecza Wielkiego czy firmą CB z Chrzastowic, w której m.in. studenci i doktoranci chemii odbywają praktyki i staże. To tylko wybrane przykłady obrazujące współpracę opolskich chemików z jednostkami gospodarczymi.

– Ale na dobre relacje z zakładami przemysłowymi trzeba najpierw zapracować: pomóc w rozwiązaniu jakiegoś problemu, nie zawsze od razu odpłatnie – podkreśla prof. dr hab. inż. Krystyna Czaja. – Trzeba się najpierw dobrze poznać, żeby móc sobie zaufać. A informacje o tym, że jesteśmy skuteczni, rozchodzą się wśród ludzi przemysłu bardzo szybko, czego efektem są wspólne prace i liczne badania zlecone przez jednostki gospodarcze. Bo co z tego, że ja wiem, że ten elektron przeskakuje z jednego orbitala na drugi? Istotne jest – co z tego wynika. Tak właśnie myślą ludzie z przemysłu: pomysł musi znaleźć zastosowanie, i to szybko. To ma sens: robimy coś, co jest potrzebne, taka praca przynosi ogromną satysfakcję. Zgłaszają się do nas nawet zleceniodawcy z zagranicy; ostatnio robiliśmy np. analizy polimerów dla jednostek naukowych z Arabii Saudyjskiej i z Indii... Zarobione w ten sposób pieniądze przeznaczamy na zakup sprzętu. Takie, wspólnie z przemysłem podejmowane działania (pro-

jekty oraz zlecenia), dają wymierne efekty, umożliwiają realizację użytecznych prac magisterskich, doktorskich i habilitacyjnych, dają też dodatkowe środki finansowe przeznaczane na zakup np. odczynników chemicznych, sprzętu laboratoryjnego i ochronnego, a także niezbędne serwisowanie aparatury badawczej.

Prof. dr hab. inż. Krystyna Czaja: – Same zlecenia z przemysłu przynoszą rocznie kilkadziesiąt tysięcy złotych, a w roku ubiegłym nawet ponad 125 tys. zł – realizujemy je gościnnie w użyczonych czasowo pomieszczeniach Instytutu Fizyki oraz w innych laboratoriach poza głównym budynkiem chemii, w którym, ze względów formalnych, w okresie tzw. trwałości projektu przebudowy, nie możemy prowadzić działalności komercyjnej.

A skoro o zakupach. Ostatni rok był dla Wydziału Chemii UO dobry i pod tym względem. Duże zakupy sprzętu były możliwe dzięki pozytywnie zaopiniowanemu wnioskowi o dofinansowanie wydziałowych potrzeb z funduszy unijnych. Dzięki temu obok liczącego już 18 lat, ale ciągle sprawnego ksenotestu, służącego do badania odporności różnych materiałów na warunki otoczenia, w tym ciepło, promieniowanie słoneczne czy wilgoć, stanął nowoczesny, wielokrotnie wydajniejszy wezerometr. Pojawił się i skaningowy mikroskop elektronowy umożliwiający obserwację topografii badanego materiału, służący do obserwacji i charakteryzacji materiałów organicznych i nieorga-

nicznych w skali od nanometrycznej do mikrometrycznej – jedyny taki mikroskop na Opolszczyźnie. Kolejne zakupy to zestaw do analizy termicznej, aparat do elektroforezy kapilarnej, autoklawy do badań biologicznych...

Kiedy remontowano budynek Wydziału Chemii, doposażono również laboratoria, koncentrując się na potrzebach tych jednostek, które nie współpracują z przemysłem. Teraz przyszedł czas na te z przemysłem współpracujące – są na to specjalne fundusze unijne oraz ministerialny Fundusz Nauki i Technologii Polskiej, ale żeby z nich skorzystać, trzeba wykazać się aktywną współpracą z przemysłem. Nasi chemicy nie mają z tym problemu, procentują wcześniejsze działania. I będą procentować, bo w latach 2014–2020 Unia Europejska będzie wyraźnie faworyzować jednostki z przemysłem współpracujące, co więcej – inicjatorem takiego wniosku ma być nie jednostka naukowa, ale jej partner z przemysłu, który zagwarantuje, że pomysł naukowców będzie wdrożony w praktyce.

Metoda kierownictwa Wydziału Chemii UO jest prosta: pisać wnioski, projekty, szukać kolejnych źródeł finansowania poprzez podejmowanie kolejnych przedsięwzięć i nie zrażać się niepowodzeniami – pieniądze leżą na ulicy. Jeśli nie na tej, trzeba zmienić ulicę.

Barbara Stankiewicz

Odeszli

Profesor Władysław Lubaś (1932–2014)

9 stycznia br., po kilku miesiącach zmagania z ciężką chorobą, zmarł Profesor Lubaś, wybitny językoznawca polonista i sławista, związany z naszym uniwersytem od 1994 r., kiedy to objął funkcję Kierownika Katedry Sławistyki.

Życie prywatne i zawodowe profesora nie pozbawione było sukcesów, ale i dramatów. Urodził się 5 czerwca 1932 r. w Żarnowcu pod Krosnem w rodzinie chłopskiej. Ciężki dworek Konopnickiej, matczyne zainteresowanie literaturą i atmosfera jedlickiego liceum formowały Jego osobowość w okresie dzieciństwa i wczesnej młodości. Jak wielu chłopskich synów awansował społecznie, studiując polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim (1952–1956) i rozpoczynając tu bezpośrednio po studiach karierę akademicką pod pieczęcią prof. Witolda Taszyckiego, *mojego nauczyciela i serdecznego opiekuna*.

Dla zadziornego, temperamentnego i krytycznego młodego asystenta atmosfera krakowskiej Almae Matris była wówczas zbyt duszna. Skorzystał z możliwości ucieczki do Jugosławii – w roku 1962/1963 odbył roczny staż na Uniwersytecie w Belgradzie, a następnie objął funkcję wykładowcy języka polskiego w Lublanie (1965/1966) i w Belgradzie (1966–1970). Do Krakowa wracał, aby się doktoryzować (u W. Taszyckiego w 1966 r. rozprawą *Nazwy miejscowe południowej części dawnego województwa krakowskiego*) i habilitować (1971 r., na podstawie książki *Słowotwórstwo południowosłowiańskich nazw miejscowych z sufiksami -ci, -ovci, -inci itp.*).

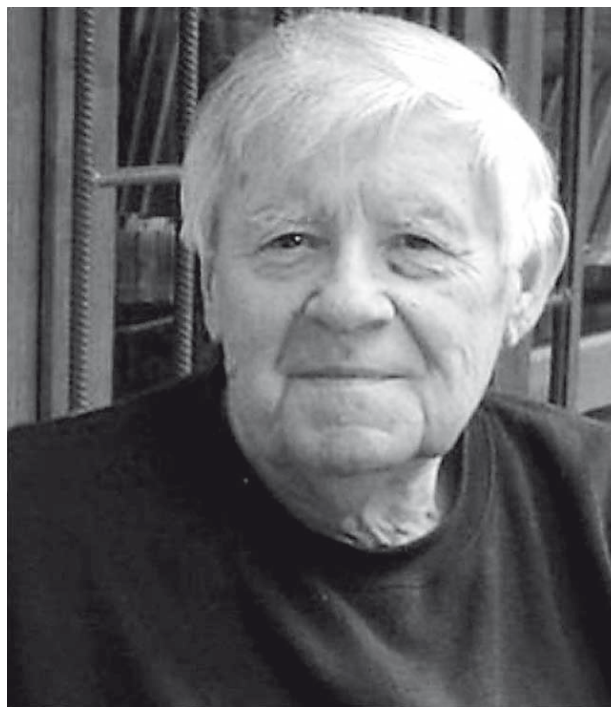
Po powrocie z Belgradu związał się z niedawno utworzonym Uniwersytetem Śląskim. Dziesięcioletni okres sosnowiecko-katowicki (1970–1979) należał niewątpliwie do najbardziej dynamicznych i intensywnych

nych w życiu Profesora. Rektor prof. Henryk Rechowicz powierzył Mu funkcję organizatora Wydziału Filologicznego, którego został wkrótce pierwszym dziekanem. To, że dzisiaj wydział ten należy do najsilniejszych w kraju, jest w dużej mierze owocem działań Profesora Lubasia. W dziejach Uniwersytetu Śląskiego zapisał się też jako bardzo zaangażowany i energiczny prorektor i sekretarz uczelnianej organizacji partyjnej. Pełnione funkcje przy twardym i władczym charakterze przysporzyły Mu oddanych przyjaciół, kolegów i uczniów, ale też osób niechętnych.

Rozbrat z Krakowem i katowicki grunt zaowocowały również nowymi zainteresowaniami badawczymi. Profesor Lubaś z właściwym Mu rozmachem – wykorzystując krakowskie doświadczenia dialektologiczne – zainicjował badania nad polszczyzną miejską miast Górnego Śląska i Zagłębia (por. *Miejska polszczyzna mówiona. Metodologia badań 1976 i Teksty języka mówionego mieszkańców miast Górnego Śląska i Zagłębia*, t. 1–2, 1978–1980). Równocześnie stworzył podstawy polskiej socjolingwistyki (zob. rozpoczęcie wydawania rocznika „Socjolingwistyka” i książka *Społeczne uwarunkowania współczesnej polszczyzny*, 1979). Pozostanie tajemnicą Profesora, jak tę intensywną działalność organizacyjną i badawczą godził z publikowaniem w tygodnikach i dziennikach felietonów na tematy językowe oraz ze stałą audycją radiową *Thesaurus, czyli skarbiec języka polskiego*. (W dorobku Profesora obejmującym około 800 publikacji prawie połowę stanowią pozycje popularnonaukowe! Zob. bibliografię prac Profesora w księdze pamiątkowej *Język w przestrzeni społecznej*, 2002 i w *Studiach socjolingwistycznych*, 2013).

W 1979 r. Profesor wraca do Krakowa (od 1970 r. mieszka w Katowicach), obejmując – po profesorze Stanisławie Urbańczyku – na 12 lat stanowisko dyrektora Instytutu Języka Polskiego PAN. Przeprowadził instytut przez trudne pod względem politycznym i ekonomicznym lata 80. Ciężko znosił zasłużone i niezasłużone ataki na swoją osobę. (Był świadom popełnionych błędów i żałował niektórych swoich zaangażowań i czynów). Odszedł z funkcji dyrektora dla dobra instytutu. Pracownicy instytutu wspominają dziś dobrze okres Jego dyrektorowania. Zresztą pozostał w instytucie jako pracownik, redagując organ instytutu „Socjolingwistykę” i kontynuując rozpoczęte w latach 80. prace nad *Słownikiem polskich leksemów potocznych* (dotąd ukazało się sześć tomów).

Lata 80. w aktywności Profesora przebiegały pod znakiem leksykografii. Wystąpił z ideą wielkiego projektu akademickiego słownika współczesnej polszczyzny. Uczynił wiele pod względem koncepcyjnym i finansowo-organizacyjnym, aby taki słownik przygotowany według najlepszych najnowszych standardów powstał. Projekt został storpedowany przez wpływową część środowiska językoznawczego, która nie mogła się pogodzić, że święte w lingwistyce polskiej takie przedsięwzięcie (zob. B. Linde, W. Doroszewski) miał-



Prof. Władysław Lubaś

by firmować Lubaś. Idea padła, ponieważ nie znalazł się nikt, kto miałby odwagę, kompetencje i talent organizacyjny, by ją wcielić w życie. Powrócono do niej dopiero w XXI w. Profesor zajął się natomiast *Słownikiem polskich leksemów potocznych*.

W 1994 r. rozpoczął się opolski okres w życiu Profesora. Naszą Katedrę Sławistyki opuścił, przenosząc się do Wrocławia, jej twórca prof. Antoni Furdal. Profesor Lubaś, któremu środowisko opolskie nie było obce (od czasów studenckich przyjaźnił się z prof. Henrykiem Borkiem i drem Franciszkiem Bizoniem), przyjął zaproszenie i do 2002 r. kierował katedrą, wzbogacając bohemistyczny profil o serbistykę i chorwatystykę oraz macedonistykę. W ten sposób katedra stała się jednostką uniwersytetu, która chyba jak żadna inna może pochwalić się zatrudnieniem w ciągu ćwierćwiecza swojego istnienia plejady znakomitych sławistów o renomie światowej, por. J. Baluch, M. Čarkić, J. Damborsky, A. Duliczenko, A. Furdal, J. Kornhauser i W. Lubaś. A opolska sławistyka – także m.in. dzięki badaniom S. Kochmana, W. Chlebdy i A. Wieczorek oraz koordynacji wielkich projektów sławistycznych, które przyniosły 14-tomową serię *Najnowsze Dzieje Języków Słowiańskich*, 4-tomową serię *Komparacja Współczesnych Języków Słowiańskich* oraz sławistyczną serię stylistyczną i sławistyczny rocznik „Stylistyka” (od 1992) – stała się ważnym punktem na sławistycznej mapie świata, popularyzując nasz uniwersytet. W 2006 r. Uniwersytet w Belgradzie przyznał Profesorowi zaszczytny tytuł *doctora honoris causa*.

Dwudziestoletni opolski okres Profesora zapisał się nie tylko dokonaniem organizacyjnymi. W tym czasie powstały trzy jego wielkie syntezy: *Polskie gadanie* (2003), które podsumowuje badania nad polszczyzną potoczną, *Komparacja współczesnych języków sło-*

wiańskich, t. 4, *Polityka językowa* (2009) i *Studia socjolingwistyczne* (2013). Do ostatnich miesięcy swego pracowitego życia był więc Profesor twórczo aktywny.

16 stycznia na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie skończyła się ziemską drogą Profesora Lubasia. Tłumnie pożegnaliśmy wybitnego językoznawcę o niekwestionowanych osiągnięciach badawczych i organizacyjnych, ceniącego filologiczny konkret i śmiałego w uogólnieniach. Odszedł też człowiek wrażliwy na piękno, mądry swoimi doświadczeniami życiowymi, cieszący się sukcesami bliskich (syn Marcin jest profesorem socjologii na UJ), kochający wnuki i przeżywający dramat Żony, którą opiekował się przez kilkanaście lat po wylewie i którą pozostawił w nieświadomości, iż ODSZEDŁ.

W przemówieniu nadgrobnym pożegnałem Profesora w imieniu naszego uniwersytetu. Zakończyłem swoje wystąpienie, cytując fragmenty wiersza *Itaka* K. Kawafisa (1863–1933), greckiego poety w tłumaczeniu A. Libery:

*Jeżeli do Itaki wybierasz się w podróż,
niech będzie to podróż długa,
pełna przygód i nauk.*

[...]

*Bylebyś nie zapomniał nigdy o Itace,
o twoim przeznaczeniu – masz do niej dopłynąć.
Lecz nie śpiesz się w podróży.
Niech trwa długo – latami.
Lepiej byś był już stary, gdy dotrzesz do wyspy,
i na tyle zasobny w dobra tego świata,
by już nie oczekiwać od Itaki bogactw.*

*Itaka dała ci upajającą podróż.
Nie wyruszyłbyś w drogę, gdyby jej nie było.
Cóż więcej miałaby dać?*

*I gdyby była biedna, nie oszukała cię.
Zdobyłeś przez nią mądrość i ogrom doświadczeń,
a wraz z nimi świadomość, co znaczy – Itaka.*

Stanisław Gajda

Zmarł Wojciech Kilar, doktor honoris causa Uniwersytetu Opolskiego

29 grudnia ub. roku zmarł, w wieku 81 lat, doktor honoris causa Uniwersytetu Opolskiego Wojciech Kilar – polski pianista, kompozytor i wybitny twórca muzyki do wielu filmów, m.in. *Ziemi obiecanej* Andrzeja Wajdy, *Pianisty* Romana Polańskiego, *Drakuli* Francisa Forda Coppoli, a także filmów Kazimierza Kutza – *Sól ziemi czarnej*, *Perła w koronie*, *Paciorki jednego różańca* i *Śmierć jak kromka chleba*.

Był autorem muzyki do tak znanych filmów, jak: *Sami swoi* Sylwestra Chęcińskiego, *Lalka* Wojciecha Hasy, *Struktura kryształu*, *Iluminacja*, *Bilans kwartalny*, *Barwy ochronne*, *Spirala*, *Kontrakt*, *Cwał* i *Persona non grata* Krzysztofa Zanussiego, *Rejs* Marka Piwowskiego, *Kronika wypadków miłosnych* i *Pan Tadeusz* Andrzeja Wajdy, *Trędowata* Jerzego Hoffmana, *Przypadek* Krzysztofa Kieślowskiego oraz seriali *Przygody pana Michała* Pawła Komorowskiego i *Rodzina Polańskich* Jana Rybkowskiego.

Muzykę do *Pana Tadeusza* wyróżniono Złotą Kaczką oraz Platynową Płytą – za 20 tysięcy sprzedanych egzemplarzy. To właśnie z tego filmu pochodzi słynny polonez, obecny na wszystkich zabawach studniówkowych. Za muzykę do *Pianisty* zdobył francuskiego Cezara, a za muzykę do *Drakuli* – nagrodę Stowarzyszenia Kompozytorów Amerykańskich.

10 marca 1999 r. Wojciech Kilar przyjął godność doktora honoris causa Uniwersytetu Opolskiego – pod-

czas uroczystości, w trakcie której doktorem honoris causa naszej uczelni został także Tadeusz Różewicz. Dziękując za to wyróżnienie, Wojciech Kilar powiedział m.in.: – Zauważyłem pewne zjawisko, którym chciałbym się z państwem podzielić, a które państwo też pewnie zauważyli. Z góry chcę powiedzieć, że ja nie jestem pesymistą, choć wchodzę w ten wiek, kiedy zaczyna się narzekać i mówić: „a my młodzi”... i tak dalej. Mianowicie następuje coś takiego, co określiłbym stwierdzeniem, że mrówka podaje się za słonia. Mówiąc tak, obraziłbym świat zwierzęcy, a tego nie chcę. Mrówka swoją słomkę dźwiga i nie próbuje dźwigać tej belki kilkusetkilowej, którą dźwiga słoń. Niestety, w naszym gatunku ludzkim coś takiego się wytworzyło, że właśnie nie tylko mrówka podaje się za słonia, nie tylko usiłuje podnieść tę belkę, którą słoń nosi, ale rzeczywiście ludzie mają wrażenie, że to mrówka tę belkę podnosi. I oto malarz pokojowy, z całym szacunkiem dla tego zawodu, podaje się za Rem-



10 marca 1999 r. Wojciech Kilar (z lewej) i Tadeusz Różewicz odbierali dyplomy doktorów honoris causa Uniwersytetu Opolskiego. Na zdjęciu także (od lewej) ówczesne władze uczelni: prorektor prof. Józef Musielok, rektor prof. Stanisław S. Nicieja, prorektor prof. Krystyna Borecka oraz prof. Czesław Hernas (fot. Paweł Stauffer)

brandta. Autor tekstu reklamującego margarynę uważa się za poetę. Kompozytor kupletów kabaretowych i tandetnych melodyjek podaje się za Beethovena. I co gorsza – nie tylko podają się... Oto nagle okazuje się, że przy wrzasku środków masowego przekazu, przy tym zgiełku wizyjnym, powstaje coś takiego, że ludzie wierzą w to. Rzeczywiście wierzą, że mrówka stała się

słoniem. Ludzie otrzymują namiastki. Zamiast samochodu – plastikowy model mercedesa, który wygląda jak żywy, i jakoś nie zauważają, że ten pojazd nie jeździ. Jest w tym jakaś manipulacja człowiekiem, jest w tym jakiś egoizm, jest w tym – odważę się powiedzieć – brak miłości.

(b)

Wojciech Dindorf

Dwa portrety

Jubileusze – jeśli się o nich pamięta – obchodzi się po to, by zapomniane w pośpiechu dnia codziennego postaci i wydarzenia przywołać z pamięci, by poświęcić kilka chwil na refleksję o przemijaniu, by pomyśleć o tych, bez których nasze dzisiaj byłoby uboższe.

W jubileuszowym sześćdziesiątym roku istnienia zasłużonej dla kraju uczelni chcę przypomnieć dwie Panie pochodzące z różnych epok, które spotkały się na WSP, tu się zaprzyjaźniły i z tą uczelnią związały ponad dwadzieścia ostatnich lat swojego życia.

Dr hab. Apolonia Wrzesińska (1910–1997) i **dr hab. Bożena Pędzisz** (1948–1995). Pierwsza urodzona i pochowana w Warszawie, z WSP związana była od

1970 roku, druga urodzona i pochowana w Opolu, rozpoczęła pracę w Instytucie Fizyki w roku 1971.

Kiedy wieloletnia szefowa Zakładu Dydaktyki Fizyki **dr Danuta Tokarowa** przechodziła na emeryturę, kierownictwo objęła dr Bożena Pędzisz. Absolwentka i doktorantka Uniwersytetu Śląskiego (praca doktorska z chemii fizycznej) była jak dotąd zainteresowana dydaktyką czysto teoretycznie. Dlatego też równoległe z objęciem zakładu podejmowała pracę w kilku szkołach podstawowych (np. nr 23), w liceach państwowych (np. II LO) i społecznych (m.in. WSE-RO), by, ucząc w przynajmniej jednej klasie w każdej ze szkół, zdobywać własne doświadczenie, przeżywa-



Doc. dr Bożena Pędzisz na konferencji w Pradze (8 marca 1985 r.)

jąc radości i problemy związane z nauczaniem fizyki. Od pierwszych dni była przekonana, że zajęcie się dydaktyką fizyki było słuszną decyzją. Twierdziła, że przeprowadzić jedną lekcję tak, by dzieci się nie nudziły, by cieszyły się z tego, czego się nauczyły, by żałowały, że lekcja musi się z dzwonkiem kończyć, jest znacznie trudniej, niż wygłosić wykład z dydaktyki fizyki dla studentów trzeciego roku. Jedne i drugie zajęcia traktowała z największą powagą. Przygotowywała się do nich kosztem nieprzespanych nocy. Kierowała zakładem, wymagając od współpracowników pełnego wykorzystania godzin pracy – dla sumiennego prowadzenia zajęć dydaktycznych, jak i dla rozwoju własnego. Organizowała seminaria, konferencje krajowe i międzynarodowe spotkania dydaktyków. Odwiedzała szkoły w Polsce i w krajach ościennych. Wierzyła, że nasze szkoły można doprowadzić do stanu satysfakcjonującego rodziców, wyższe uczelnie i przede wszystkim samych uczniów. Cierpiała, w dosłownym znaczeniu tego słowa, słysząc od swoich dzieci i dzieci wielu swoich znajomych, na pytanie: *co dzisiaj ciekawego było w szkole?* odpowiedź: *przerwy*.

Krótkie wizyty u nas, „na herbatce”, traktowała jako czas na relaks, odpoczynek między lekcjami i dzielenie się wrażeniami z dopiero co zakończonej lekcji. Zawsze też miała pytania do – jak mówiła – doświadczonych nauczycieli, zawsze oczekiwała rad i bardzo serio je traktowała. Miała swoje krzesło przy stole – to najbliższe drzwi. Stale się spieszyła i wydawało Jej się, że siadając blisko drzwi, zaoszczędzi trochę czasu. Siadała na podwiniętej nodze i opowiadała o swoich uczniach. A opowiadała tak, jakby mówiła o wła-

nych dzieciach – ze szczerą troską, ze wzruszeniem. Zawsze usprawiedliwiała ich krnąbrność czy jakiegokolwiek objawy nieposłuszeństwa.

Ubolewała nad nonsensami spotykanymi w podręcznikach, nad wymogami programu przekraczającego możliwości jego realizacji, nad brakiem czasu, który był tak bardzo potrzebny, by nawiązać bliższy kontakt z uczniami, jak i z ich opiekunami.

Dbała o męża i dzieci. Cieszyła się z ich sukcesów, była z nimi w trudnych chwilach. Pamiętam nasze rodzinne wypadki do lasu w okolice Osowca. Dalsze wypady do lasu w okolice Karpacza. Wspólne, domowe spędzanie kolejnych nocy sylwestrowych z szalejącymi prawie do świtu dziećmi oczywiście. Pamiętam – chyba była to wiosna 1974 – Jej radość, gdy spotkaliśmy się naprzeciw uczelni na Oleskiej i Bożenia ze łzami radości w oczach powiedziała: *dzwonił Gienek ze Szwajcarii, jest mistrzem świata* (w strzelaniu z broni pneumatycznej). Najmniej czasu miała dla siebie. Kiedy zaczęła kaszleć, trzeba było długo Ją namawiać, by poszła na prześwietlenie płuc. Potem przez dwa miesiące nie odbierała wyników – bo nie miała czasu albo zapomniała. Przychodnia nie powiadomiła, że odczyt był tragiczny. Prześwietlenie zrobiła we wrześniu. W sylwestra 1994 odebrała wynik. Rak płuc szeroko rozwinęty. Zmarła w mieszkaniu na Bytnara Rudego, 21 lipca 1995 roku.

Dwa dni przed Jej śmiercią rozwiązywaliśmy razem problem, który od dawna Ją męczył: chodziło o kulę, która na kręgielnym parkiecie ślizga się zanim zacznie się – od pewnego miejsca – toczyć. Byliśmy blisko rozwiązania kilku równań ruchu (z uwzględnieniem tarcia oczywiście), by odnaleźć poprawny opis kilku obserwowanych w tym doświadczeniu zjawisk.

Często myślę o tym, szczególnie teraz, gdy kręgielnia Błaszykowskiego powstała kilkaset metrów od miejsca, gdzie mieszkamy i gdzie mieszkała Bożena. Można by było kilka hipotez zweryfikować doświadczalnie. Ona prawdziwą kręgielnię widziała chyba tylko raz, gdy kiedyś z mężem i dwójką dzieci odwiedziła nas w Wiedniu.

Na temat Jej osiągnięć naukowych i dydaktycznych można przeczytać w poświęconym Bożenie Zeszycie Naukowym Fizyka nr 27 (Wyd. UO, 1997).

23 września w 2005 r. Polskie Towarzystwo Fizyczne – Oddział w Opolu zorganizowało specjalne seminarium poświęcone dr hab. Bożenie Pędzisz.

Dr hab. Apolonia Wrzeńska, prof. UO, była pierwszą tej rangi osobą zatrudnioną w Katedrze Fizyki Wyższej Szkoły Pedagogicznej, która w Opolu zamieszkała po kilkuletniej pracy w Instytucie Fizyki Powierzchni Ciała Stałego na Uniwersytecie w Łodzi. Wcześniej, zaraz po studiach i doktoracie uzyskanym na Hożej w Instytucie Fizyki warszawskiego uniwersytetu, pracowała na UMK w Toruniu. Przyciągnęła Ją do Opolu



9 lutego 1982. Imieniny prof. Apolonii Wrzesińskiej

propozycja otrzymania mieszkania i praca w prężnie rozwijającej się uczelni. Z kilku spotkań na różnych konferencjach z opolskimi młodymi fizykami, takimi jak Jan Heffner, Jan Mochniak, Roman Dragon wiedziała, czym zajmują się opolscy fizycy. Chętnie przystała na zaproszenie Jana Mochniaka, który był wtedy kierownikiem Katedry Fizyki i któremu nietrudno było przekonać ówczesnego rektora doc. Jana Seredykę o potrzebie zasilenia opolskiej fizyki znaną w kraju i za granicą osobą.

Mniej więcej w tym samym czasie magistranci dr Apolonii Wrzesińskiej w toruńskim PIE (Przemysłowy Instytut Elektroniki) przekształconym potem w zakłady UNITRA-CEMI kontynuowali rozpoczęte w tym instytucie pod Jej kierownictwem prace nad elektroluminescencją i nowym typem diody półprzewodnikowej – elementem późniejszych układów scalonych szeroko stosowanych w technice komputerowej.

Zawsze odwiedzaliśmy Panią Profesor 9 lutego, w Jej imieniny. Wizytę u Pani Profesor składały jednocześnie nie więcej niż cztery osoby. Do odwiedzających zaliczali się: Danuta i Broniek Tokarowie, Bożena i Gienek Pędziszowie, Janina i Alek Miliszkieviczowie, Krystyna i Andrzej Wolfowie, Wanda Heffner, Elżbieta Krawczyk, rzadziej Janek Mochniak, i ja.

Częstowała keksami, serami i czasami wyborem winem. Czasami, bo nie uznawała innego niż francuskie, a w sklepach pojawiało się takie bardzo rzadko. Z Francją łączyły Ją od dawna bliskie stosunki. Biegle mówiła po francusku. Była częstym gościem w Paryżu. Specjalista w dziedzinie luminescencji, krewny noblisty Joliot Curie, David Curie, profesor na uniwersytecie paryskim oraz jego żona Germaine byli Jej przyja-

ciółmi, z którymi kiedyś wymieniała wizyty, a później już tylko korespondencję.

Drugi dzień świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy były okazją do rewizyt. Pani Profesor miała swój grafik wizyt: odwiedzała jeden dom na każde święta, a program i czas odwiedzin ustalała z głowami domów, czyli na przemian z Danutą, Janiną, Bożeną i Elżbietą. Tak było co najmniej przez dziesięć lat.

Podziwiane przez nas i szeroko komentowane wzorcowe, salonowe maniery Pani Profesor podobne były nieraz do tych, jakie można dziś tylko zobaczyć na przedwojennych filmach np. tych z Mieczysławą Ćwiklińską. Najbardziej chyba wszystkim w pamięci utkwiło to, że w pewnym momencie wizyty u Profesor Apolonii, gospodyni wstawała od stołu, słowami: *no to by było wszystko na dzisiaj*, dając niedwuznacznie do zrozumienia, że wizyta dobiegła końca.

Oczywiście bardzo często któraś z wyżej wymienionych koleżanek z Zakładu Dydaktyki Fizyki odwiedzała w mieszkaniu na Matejki 12 czy potem w szpitalu już poważnie chorą Profesor, pomagając, kiedy tylko pomoc była potrzebna. Kiedy zabrakło Bożeny Pędzisz, trzeba było wymyślać najrozmaitsze opowieści o wyjazdach służbowych, stypendiach zagranicznych itp., by usprawiedliwić, dlaczego tak oczekiwana Bożenka nie przychodzi ani nie telefonuje jak dawniej. Krótco przed śmiercią, chyba już w szpitalu, Profesor Apolonia dowiedziała się, że kochanej Bożeny już nie ma. Długo nic nie mówiła. Potem westchnęła i powiedziała: *ogromna strata dla rodziny i dla uniwersytetu*.

Posłowie

Zakład Dydaktyki Fizyki był znany m.in. z tego, że każdy tam zatrudniony nie tylko otrzymywał wierszowane życzenia z różnych okazji (imieniny, ślub, narodziny dziecka, Dzień Kobiet itp.), ale też prawie każdy pisał lub przynajmniej pomagał w pisaniu laurek i w nadawaniu im ładnej oprawy plastycznej. Prezentuje dwa własne wierszyki dla przybliżenia atmosfery panującej w zakładzie. Atmosfery przyjaźni, wzajemnego szacunku. Niespotykane było też to, że poczucie humoru było wśród nas prawie na tym samym poziomie. Można więc było w tej „poezji” się trochę powygłupiać. Nasza nigdzie w całości niepublikowana *Antologia poezji ZDF 1974–1975* zawiera wybór 60 wierszy i piosenek (niekiedy ponad 20- zwrotkowych).

Bożence dr hab.!

*Radość u nas niewymowna
Radość, żeśmy mieli rację
Że Bożence ruchy Browna
Przyniosły habilitację.*

*Chociaż każdy, który brał na
Rozum sprawę i znał temat*

*Nie wątpił, że w ruchach Browna
Mocniejszych od Ciebie nie ma.*

*To był problem dla Einsteina
Smoluchowski mógł „mieć orzech”
Ale gdzie tu porównania!
Oni mieli znacznie gorzej.*

*Kogo mieli się zapytać?
Kto mógł służyć radą światłą
Pomogła któremu rodzina?
Im wcale nie było łatwo.*

*A Ty? wtedy gdy musiałaś
Stawiać czoła wrażym hordom *
Ty wiedziałaś, że masz wsparcie
Mamy, męża, dzieci z Mordą ***

*Mysimy też kciuki trzymali
Choć wynik znaliśmy z góry
I teraz będziemy czekali
Najspokojniej – PROFESURY!*

koleżanki i koledzy z Zakładu Dydaktyki Fizyki
(16 września 1993)

Apolonii

*Życzymy Pani
Profesor drogiej
Rychlejszej wiosny
Mniej zimy srogiej
I wiele siły I zdrowia wiele
By duch był zdrowy
W zdrowiutkim ciebie
Niech będzie wino
I dobra strawa
I dobra Pani
Stanisława *
I inni wokół
Dobrzy ludzie
Na przykład tacy
Jak ja (!), tudzież:
Ela, Bożena, Kazik, Janka,
Andrzej i Wanda, Bronio, Danka,
Bo w takim gronie przebywanie
To sama radość
Proszę Pani!*

(9 lutego 1992)

*) habilitacja z dydaktyki fizyki była, w języku niemieckim, obroniona w NRD

***) ukochany piesek miał na imię „Morda”

*) Pani Stanisława Kozik – ofiarna i bardzo fachowa opiekunka z PCK

Wojciech Dindorf



8 marca 1981 r. – Dzień Kobiet. Nadzwyczajne, coroczne zebranie Zakładu Dydaktyki Fizyki. Panie obdarowane laurką i kwiatkiem. Na pierwszym planie patronka i naukowa opiekunka Zakładu Dydaktyki Fizyki prof. Apolonia Wrzesińska, obok Bronisław Tokar, Danuta Tokar (szefowa), Kazimierz Sochacki, Krystyna Loba-Rychlik, Elżbieta Krawczyk, Andrzej Wolf, Wanda Heffner-Langer i Bożena Pędzisz. Nieobecna Janina Miliszkiewicz (fot. Wojciech Dindorf)

Jan Trzos

Kola Nesterowicz

Suplement opolski

Ciemna noc, po północy. Gwar i hałas studencki w akademiku przy Katowickiej w Opolu powoli się wycisza. Gdzeniegdzie w oknach jeszcze pali się światło, ale nie z powodu gorliwych studentów, przygotowujących się do zajęć. W małych pokojach jedyne akademika ówczesnej WSP, w których mieszkało po pięciu–sześciu studentów, nie dało się przygotowywać do zajęć. Akademik był na tamte czasy jeszcze bezmiejscowy, bez nadanej mu późniejszej, wyłonionej w konkursie nazwy *Mrowisko*. Jeśli więc nocą w oknach świeci się światło, to prawdopodobnie studenci albo balangują, albo grają w brydża. W pokoju nr 347, na trzecim piętrze męskiej połowy bursy, grupa studentów pierwszego roku rozgrywa kolejnego robra. W całym kraju, w tamtych wesołych gomułkowskich czasach, akademiki nie były koedukacyjne. W opolskim akademiku lewa strona była męska, prawa żeńska, a pośrodku holu cerber-portierka czuwająca nad moralnością studencką.

Za oknem popaduje drobny deszczyk. Kiedy namiętności walki karcianej sięgają zenitu, nagle rozlega się pukanie do okna Na trzecim piętrze! Zalega całkowita cisza... zdziwienie, a nawet przerażenie. Czy to słuchowa halucynacja, kawał jakiś, czy diabeł przyfrunął do opolskich żaków z cyrografami do podpisu? Siedzimy osłupiali i wystraszeni, nie wiedząc co począć. Wreszcie Bolek Buriak mówi do Michała Dzwinki, co siedział najbliżej okna, żeby je wreszcie otworzył (na szczęście otwierało się do wewnątrz). Czekamy w napięciu. Powiew świeżego powietrza wdarł się do wnętrza pełnego dymu tytoniowego i zaduchu, a z tej ciemności wyłoniła się postać trochę do diabła podobna. I odezwała się spokojnym głosem: *Chłopaki, macie papierosa? Wszyscy zaczęli nerwowo przeszukiwać własne kieszenie i szafki nocne, by jak najrychlej spełnić życzenie gościa, nie wiedząc do końca, czy mają do czynienia z istotą boską, czy z siłą nieczystą. Papierosy się znalazły, ale gość poczęstował się tylko jednym, poprosił jeszcze o ogień i dziękując, wszedł ponownie na parapet okienny, z niego na gzyms (trzecie piętro akademika!) i skrył się w ciemnościach. Ochota do kontynuowania gry odeszła nas całkowicie. Siedzieliśmy w ciszy przez jakąś dobrą chwilę, zanim zaczęliśmy zjawisko komentować. Zobacz Leszku, czy nie leży pod oknami, czy nie spadł?* – wykrztusił Janek T. Gościem, który odwiedził nas w tę deszczową ciemną noc okazał się być

znakomity w przyszłości polski operator filmowy Mikołaj (Kola) Nesterowicz, wówczas znany i podziwiany, i lubiany student filologii rosyjskiej, wśród braci studenckiej zwany Mikim. Miki vel Kola, zanim został sławnym i znanym w całym kraju wielkim operatorem i twórcą znakomych filmów dokumentalnych, studiował na naszej uczelni. W akademiku, w tę pamiętną noc brydżową jego pokój-pojedynek znajdował się pod numerem 348. To stamtąd, w deszczową ciemną noc odważył się być zrobić nam taki cudowny, niezapomniany kawał.

Był znany również z tego, że ze snu budził się wczesnym rankiem i by dokuczyć śpiochom, spacerował po korytarzach męskiej połowy akademika, wydzierając się po białorusku: *A nas rano mati obudila i tichuju piesniu zanutila!* Swój pokój Miki przekształcił w pra-



Mikołaj Nesterowicz (1963 r.). Fot. Jan Trzos

cownię malarską i trzeba dodać, że jego malarstwo nosiło cechy sztuki wielkiej.

Kiedy w 1964 r. odchodził z uczelni opolskiej z tytułem magistra, wiedziałem, a właściwie przeczuwałem, że takiej klasy artystyczna osobowość na nauczyciela w szkole się nie nadaje. Wróżyłem mu karierę znakomitego malarza i byłem zdumiony po latach, kiedy jego nazwisko stało się znane i popularne – ale nie jako plastyka, ale właśnie filmowca, autora około 300 autorskich filmów dokumentalnych i laureata przeszło 80 rozmaitych (krajowych i międzynarodowych) nagród za twórczość filmową artystyczną.

Moje wspomnienie zatytułowałem: *Suplement opolski*, bowiem w poświęconym Mikołajowi Nesterowiczowi (Koli) dokumentalnym filmie biograficznym wyemitowanym w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia 2012 nie wspomniano ani słowem o jego opolskim epizodzie. Chciałbym tym moim krótkim wspomnieniem braki w je-



Na tarasie akademika *Mrowisko*. Na zdjęciu (z lewej) siedzą: Mikołaj Nesterowicz i Janusz Dziubek

go życiorysie uzupełnić i przekazać mu w zaświaty wiadomość, że my tu, w Opolu, o nim – Wielkim Oryginalie, cudownej, opanowanej wena twórczą postaci – pamiętamy.

Jestem pewien, że pamięć o Mikołaju Nesterowiczu uchowała się nie tylko w mojej pamięci. Więc może wypowiadam się również w

imieniu jego innych starych przyjaciół, którzy, pośpieszając do mety, z nostalgią oglądają się za siebie, w czasy minione, przywołując z tamtych czasów obrazy bajeczne niczym kolorowe wizje Marca Chagalla.

Jan Trzos

18 lutego br. jej imieniem nazwano plac u zbiegu ulic Minorytów i Zamkowej w Opolu

Helena Lehr

(16 lutego 1913–10 maja 1998)

Wspominając niedawno Edmunda Jana Osmańczyka, niezręcznie nie przypomniałem, że minęła także setna rocznica urodzin Heleny Lehr, Jego dożgonnej współpracownicy i przyjaciółki od czasów młodości. Spotkali się, kiedy mieli niespełna po dwadzieścia lat, w Berlinie, w redakcji „Młodego Polaka w Niemczech”, miesięcznika, w którym prowadzono specjalny dział listów od młodych czytelników. Na listy dziewcząt odpowiadała Druhna Hania, czyli Helena Lehr, na listy chłopców – Druh Mietek, czyli Edmund Osmańczyk.

Wkrótce Związek Polaków w Niemczech powierzył im redagowanie w całości tego atrakcyjnie wydawanego pisma dla młodzieży, a potem także centralnego organu Związku – miesięcznika „Polak w Niemczech”. Przez siedem lat, od sierpnia 1932 do sierpnia 1939 ro-

ku współredagowali wspomniane czasopisma. Helena Lehr – jak twierdził Edmund Osmańczyk – miała talent redaktorski, cechowała ją niezwykła pracowitość i była urodzoną społeczniką obdarzoną zmysłem organizacyjnym pozwalającym nie tylko coś sprawnie zorganizować, ale także przewidzieć skutki takiego czy innego działania, co w tamtych czasach było wręcz pożądane.

Nauczyła się tego w harcerstwie, do którego należała w gimnazjum w Żninie. Szybko też została drużynową I Żeńskiej Drużyny Harcerskiej i Gromady Zuchów w Berlinie i wyjeżdżała z nią na obozy na Opolszczyznę. Niemcom nie bardzo podobało się to polskie harcerstwo. Zdarzało się, że członkowie faszystowskiej organizacji młodzieżowej Hitlerjugend próbowali atakować zbiórki harcerek i ich obozy. Druhna



Helena Lehr

Helena znalazła na to sposób. Najpierw sama zapisała się na kurs jiu jitsu (dziu-dzitsu), a kiedy opanowała tę sztukę samoobrony, upowszechniała ją wśród swoich harcerzek, więc młodzi hitlerowcy zaczęli miewać bolesne doświadczenia przy próbach atakowania niewinnie wyglądających polskich harcerzek i woleli je omijać. Na zjeździe ZHP w Niemczech, który odbył się 31 marca 1935 roku w Opolu, została wybrana zastępczynią komendanta odpowiedzialną za ruch zachowy dziewcząt.

Helena Lehr, po tym jak Rada Naczelna Związku Polaków w Niemczech uznała, że dojście Hitlera do władzy wymaga spisania polskich zasobów na ziemiach nadbałtyckich i nadodrzańskich, uczestniczyła w benedyktyńskiej pracy nad przygotowaniem *Leksykonu Polactwa w Niemczech*, ogromnego przedsięwzięcia w formie encyklopedycznego, alfabetycznego spisu miejscowości zamieszkałych przez Polaków, z historycznymi ich nazwami oraz rejestrem pamiątek polskich. Zbieranie materiału trwało cztery lata, zaś przez kolejny rok Helena Lehr razem z Eleonorą Bednarkiewicz redagowały całość *Leksykonu* (1600 stron plus 1200 dokumentalnych zdjęć). Ale wydaniu gotowego do druku *Leksykonu* sprzeciwiło się jesienią 1938 roku polskie MSZ, bo – jak stwierdzono – wydawnictwo to *może tylko podważyć dobre stosunki polsko-niemieckie*.

Jej działalność w Związku Polaków w Niemczech i harcerstwie nie mogła ująć uwadze hitlerowców, dlate-

go też już w 1939 roku trafia do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück, skąd po paru miesiącach wyciągnęli ją prawnicy Związku Polaków w Niemczech.

Po wojnie pracuje w Polskim Radiu w Warszawie, w redakcji niemieckojęzycznej, współpracując z wieloma innymi redakcjami jako redaktor, tłumacz i korektor. W radiu poznaje pracującego w redakcji hiszpańskiej Alvaro Peláeza, za którego wychodzi za mąż. Nadal współpracuje z Edmundem Osmańczykiem, przez wiele lat prowadząc założone wspólnie z nim unikatowe Archiwum Rodła, gromadząc, opisując i katalogując zbiory związane z działalnością Związku Polaków w Niemczech, po Jej śmierci przekazane przez syna bibliotece Uniwersytetu Opolskiego.

W wiele lat później ta Jej wieloletnia przyjaźń z Edmundem Osmańczykiem – co zapamiętałem – miała wzruszający epilog w Warszawie, kiedy to w 1983 roku, jako siedemdziesięciolatki, zaproszeni zostali na harcerską wieczornicę Szczepu Rodła przy Szkole Podstawowej nr 12 im. Powstańców Śląskich przy ul. Górnośląskiej 45 w Warszawie, gdzie im nadano tytuły honorowych członków Szczepu. Oni zaś zebrany opowiadali o wspólnie przygotowywanej właśnie książce pt. *Wisła i Kraków to rodło*, która ukazała się ostatecznie dwa lata później i opowiadała o powstaniu tego znaku Polaków w Niemczech, który nie był ani herbem, ani godłem, ale właśnie rodłem, znakiem łączności z całym narodem polskim i jego duszą.

Wcześniej, w 1972 roku, na 50-lecie Związku Polaków w Niemczech, Helena Lehr i Edmund Osmańczyk przygotowali i wydali monumentalną księgę pamiątkową dokumentującą jego działalność pt. *Polacy spod znaku rodła*, z płytą zawierającą wykradzione hitlerowcom sprawozdanie radiowe z Kongresu Polaków w Niemczech, jaki odbył się w największej sali ówczesnej stolicy III Rzeszy 6 marca 1938 roku – na tym kongresie przyjęto *Pięć prawd Polaków w Niemczech*.

W 1974 roku wydanie największe dzieło Edmunda Jana Osmańczyka *Encyklopedia spraw międzynarodowych i ONZ*. Także przy jej powstawaniu koordynatorem prac była niezawodna jak zwykle Helena Lehr, należąca do grona znakomych Polek, które w najtrudniejszych dla naszej ojczyzny czasach miały cudowny talent znajdowania zawsze czegoś optymistycznego i pozytywnego. Nigdy też nie utraciła wiary w to, o czym śpiewano w hymnie Związku Polaków w Niemczech, ze słowami Edmunda Osmańczyka: *Nie ustaniem w walce/ Siłę słuszności mamy/ I mocą tej słuszności/ Wyrwamy i wygramy*.

Zmarła w 1998 roku, znajdując razem z mężem miejsce wiecznego spoczynku na Powązkach Wojskowych. Całe życie robiła rzeczy ważne, bez patosu, rozgłosu i profitów. Zawsze stała nieco w cieniu, ale potrafiła świecić własnym światłem i taką ją należy zapamiętać.

Jan Cofalka

Janusz Tazbir, *Nie bójmy się pasji*, „ACADEMIA. Magazyn Polskiej Akademii Nauk” 2013, nr 3 (35), s. 20–23.

Nie bójmy się pasji

Namiętność, słabość, chorobliwa mania, skłonność, żyłka, przyzwyczajenie” – aż tyle synonimów słowa „pasja” wymienia „Słownik języka polskiego” wydany w początkach ubiegłego stulecia. „Słownik...” pod redakcją Witolda Jana Doroszewskiego, którego kolejne tomy ukazywały się w latach 1958–1969, jest bardziej powściągliwy: tłumaczy „pasję” jako „wielkie, namiętne przejęcie się czymś; zamiłowanie do czegoś”. Istotnie, słowo to jest często używane w kontekście określenia sposobów spędzania wolnego czasu czy też osobistych zainteresowań. W kontekście religijno-kościelnym oznacza zaś mękę, cierpienie. Może jednak również oznaczać złość.

Co łączy szewców i badaczy?

Istnieje takie bogactwo zawodów rzemieślniczych, nadal uprawianych i już zapomnianych, że aż dziw bierze, iż to właśnie szewca miałyby ogarniać pasja. Jeśli sięgniemy do „Nowej księgi przysłów i wyrażen przysłowiowych polskich” (pod redakcją Juliana Krzyżanowskiego) to pod odpowiednim hasłem znajdziemy mnóstwo cytatów zaczerpniętych z różnych półek naszej literatury – od najwyższych (S. Żeromski, W. Reymont) poczynając, poprzez średnie (M. Bałucki, K. Makuszyński), aż do tych, na których stoją dzieła autorów dziś niezaszczyconych wznowieniami. Przywołajmy choćby tak często cytowanego Boya: „Ciotka na to w pasji szewskiej / Znów ten łajdak Przybyszewski”. Bo przecież nie Krasiński zaraził był swą niechęcią naszą literaturę listem do Delfiny Potockiej, w którym skarżył się na grubiaństwo warszawskiego mistrza dratwy i kopyta. Natchnienie nie mogło też spłynąć z obrazu wiszącego w Muzeum Narodowym w Warszawie „Szewski poniedziałek”, na którym zarówno majster, jak i jego czeladnik oddają się słodkiemu lenistwu. Jego autor Waclaw Koniuszko po prostu na sto lat przed ukazaniem się „Słownika” Witolda Doroszewskiego zilustrował jego tłumaczenie: „szewski poniedziałek” to „próżnowanie, niezgłoszenie się do pracy w poniedziałek”. Daremnie szukałem wyjaśnienia tej minizagadki w różnego rodzaju uczonych kompendiach, choć, jak wynika z pracowicie sporządzanych bibliografii, zarówno świat ptasi w „Balladynie” jak i meble w powieściach Orzeszkowej doczekały się już osobnych, wcale nie takich cienkich opracowań. Po-

dobnie jak i tytuł pracy „Dzieje polskiego upiora przed wystąpieniem Mickiewicza”, z którego tak chętnie namśmiewają się humaniści – poza oczywiście badaczami dziejów literatury, którzy wysoko sobie cenią dorobek Mariana Szyjkowskiego.

Nie będę też wkraczał na zdradliwą ścieżkę karkołomnych hipotez, choć sam Adam Mickiewicz w przypisach do „Pana Tadeusza” jak najpoważniej tłumaczy zwrot „wyrwał się jak Filip z konopi”, wyjaśniając, iż mowa tu o niezbyt mądrym pośle Filipie „z dziedzicznej wsi Konopie”. Tymczasem w staropolszczyźnie zajmą nazywano filipem. Po cóż zresztą tak daleko sięgać, jeśli w wydanej w roku 1968 antologii kontrreformacyjnej satyry obyczajowej czytamy, iż zwrot „rzezać się w koszu” oznacza „poddawać kastracji w obozie tatarskim”. W istocie anonimowy autor miał na myśli próbę, jakiej poddawano domniemaną czarownicę. Dawano jej nóż i umieszczano w koszu, zawieszanym na drzewie, rosnącym nad rzeką. Jeśli już miała dość tej niewygodnej pozycji, to mogła po prostu przeciąć sznur. Wówczas wpadała do wody: utonięcie oznaczało jej bezsporną winę.

Na pozór odbiegłem daleko od tematu, ale tylko na pozór, albowiem tego rodzaju błędy z prawdziwą pasją od wielu już lat tropią i piętnują prof. Henryk Markiewicz na łamach „Dekady Literackiej” i dr Adam Wierciński w „Indeksie”, czasopiśmie, które wydaje Uniwersytet Opolski*. Ale powiedzmy sobie szczerze: ile osób czyta systematycznie oba te, cenne, ale małonakładowe periodyki? Celem moich uwag nie jest wszakże mnożenie anegdot naukowych, ale wzięcie w obronę pasji, zanim zostanie wyparta, podobnie jak wiele innych, przez termin „hobby”. Jak na razie nie uwzględniają go nasze encyklopedie, niebawem wszakże do nich trafi uwolniony z rezerwatu, któremu na imię „słownik wyrazów obcych”. Co prawda znajdziemy pasję w „Słowniku etymologicznym” Aleksandra Brücknera, ale nasz ostatni polihistor, czyli encyklopedysta, na czoło wybija kościelne pojmowanie tego terminu. Wskazawszy na jego romański łacińsko-włoski rodowód, nie odmawia sobie przyjemności poinformowania czytelnika, iż pasja to namiętność, złość, furia. W związku z tak wysoce nieprzychylną opinią uważam niejako za swój zawodowy obowiązek wzięcia pasji w obronę.

Wakacje? Tylko w archiwach!

W świecie naukowym od dawna krąży anegdota o pewnym wybitnym historyku, żyjącym w ubiegłym stuleciu, któremu w tym samym niemal czasie przepadł rękopis (jedyne!) jego dzieła i zmarła ukochana małżonka. Kiedy mu z racji jej zgonu składano kondolencję, miał odpowiedzieć: „istotnie to wielka strata. I do tego zmarła mi żona”. Trudno i darmo: bez prawdziwej pasji nie powstanie żadne dzieło naukowe. Zapomniany już dziś gruntownie historyk literatury Julian Bartoszewicz mieszkał w Warszawie, przy placu Zamkowym. Na który ponoć nigdy nie wyjrzał, bo po prostu nie stało mu na to czasu. Brückner, zamieszkały na stałe w Berlinie, zrezygnował z nagrody literackiej miasta Łodzi (1930), choć wynosiła ona aż 10 tys. złotych, co wówczas było ogromną kwotą. Fundatorom odpisał, że woli z niej zrezygnować, aniżeli tracić czas na przyjazd do Łodzi. „Mam silne podejrzenie, że najgłębsze wzruszenie pięknem przyrody przeżył Brückner, bawiąc... w »Popiołach« Żeromskiego” – pisał krytyk literacki Stefan Kołaczewski w pełnych zresztą sentymentu wspomnieniach o nim. Jego wyjazdy wakacyjne do Lwowa, Krakowa, Wilna i Kórnika trwały czasem i po kilka tygodni, ale spędzał je niemal wyłącznie w tamtejszych bibliotekach i archiwach. Podobny tryb życia może dzisiaj wydać się wielu młodym humanistom czystym dziwactwem, ale samej nauce przynosiło obfity, w znacznej mierze do dziś dnia aktualny, plon. Świadczą o tym liczne wznowienia prac samotnika z Berlina. Podobno ktoś, kto bardzo lubi swoją pracę, będzie umierał z przeświadczeniem, iż przez całe życie nic nie robił. I odwrotnie: nieszczęściem dla państwa okazywał się monarcha, którego prawdziwą pasją było nie panowanie, ale zgoła inne zajęcia. Stanisław August Poniatowski lubił zajmować się sztuką i literaturą. Bez wątplenia był najlepszym ministrem kultury w całych naszych dziejach. Były to pasje, które w XVI stuleciu nadałyby mu przydomek Wielkiego. Natomiast dość nieudolnie spełniał swoje najważniejsze obowiązki, mianowicie obronę niepodległości Rzeczypospolitej. Z kolei panujący równolegle we Francji Ludwik bardzo lubił majsterkowanie. Jan Baszkiewicz pisze, iż gdyby zgilotynowany monarcha przyszedł na świat w jakiejś ubogiej rodzinie rzemieślniczej, zostałby wysoko cenionym zegarmistrzem lub ślusarzem. Natomiast uporanie się z rewolucją przerastało jego możliwości. Stąd w dzienniku Ludwika XVI tak często powtarza się słowo rien (nic), i to nawet pod datą 14 lipca 1789 r. A znaczy to po prostu, iż w dniu zburzenia Bastylji król nie miał zupełnie czasu na swoją pasję, czyli wyjazd na łowy.

Z pasją na manowcach

W dzisiejszym świecie naukowym stało się modne stwierdzenie, iż kocha się wszelkiego rodzaju kwerendy i lekturę prac kolegów, natomiast nie cierpi samej

sztuki pisania. Brückner jedno i drugie uprawiał z pasją. Złośliwi koledzy, a któż ich nie ma, utrzymywali, że w rzadkich wolnych chwilach pisywał recenzje teatralne oraz bryki dla szkół, które bibliografie jego prac omijały potem zawstydzonym łukiem. Potrafił się przyznawać do popełnionych błędów, ale i trwać przy niektórych tezach z uporem godnym lepszej sprawy. Gorący zwolennik poglądu o wielkopolskiej kolebce literackiej polszczyzny stał się polemicznie z Kazimierzem Nitschem, który obstawał za Małopolską. I to tak ostro, że po latach ten ostatni napisze, iż Brückner szkodził nauce polskiej, na co dał dowody. „Pytano, czy Brückner był dobrym Polakiem. Dobrym Polakiem może, ale nie dobrym lingwistą”. Złośliwi utrzymywali, że tak naprawdę głównym przedmiotem sporu było pochodzenie słowa pchła, któremu autor „Dziejów kultury polskiej” tak wiele miejsca poświęcił w swoim „Słowniku etymologicznym”.

Pasja może wszakże prowadzić czasem na manowce. Historycy od dawna już zauważyli, iż autorzy biografii po pewnym czasie naukowe podejście do swych bohaterów zamieniają na czysto emocjonalny stosunek. Przykłady można mnożyć, nawet jeśli pominiemy nazwiska zawodowych popularyzatorów wiedzy z równą beztrąską (i niekompetencją!) zajmujących się postaciami z różnych wieków. Niedawno otrzymałem do recenzji wewnętrznej (niektóre oficyny wydawnicze jeszcze uprawiają tę dziś archaiczną kategorię!) pracę o Marii Kazimierze Sobieskiej. W przedmowie ze zdumieniem przeczytałem, iż są bardzo cenne przychylne studia na temat „Marysieńki”. Są i krytyczne, ale i w nich można czasem coś interesującego znaleźć. Innej polskiej królowej obszerną, czterotomową pracę poświęcił znakomity skądinąd badacz Władysław Pocięcha. Choć w sumie liczy ona aż ponad 1700 stron, to i tak nie obejmuje całości życia Bony Sforzy. Otóż z każdej niemal stronicy z tej pracy wyziera miłość autora do jedynej Włoszki na polskim tronie. Podobnie też Ksawery Pruszyński nie dostrzega żadnej plamy na portrecie Aleksandra Wielkopolskiego. Inna sprawa, że jego książka to z pasją napisana obrona ugodowej polityki wobec ZSRR, prowadzonej przez Stanisława Mikołajczyka jako premiera rządu polskiego na emigracji. Pod wspólnym parasolem, któremu na imię pasja publicystyczna, znaleźli się niecierpiący Stanisława Augusta Poniatowskiego Karol Zbyszewski i wielbiący go Stanisław Mackiewicz oraz Józef Hen.

Słowa, które ukrywają, słowa, które ujawniają

Z pasją godną podziwu była pisana znaczna część powieści historycznych, które ukazywały się w dawnym Związku Radzieckim oraz w latach Polski Ludowej. Zawierały one obraz nader aktualnej problematyki rzutowanej w odległą nieraz przeszłość. Gdzie indziej znajdujemy tak plastycznie ukazane rozterki i cierpienia „postępowych katolików” (czytaj zwolenni-

ków Bolesława Piaseckiego i PAX-u) jak właśnie w „Niezwyciężonej armadzie” Jana Dobraczyńskiego (1960), traktującej pozornie o inwazji floty hiszpańskiej na Wyspy Brytyjskie (1588). Kto sobie pozwolił na tak krytyczną ocenę rewolucji (oczywiście francuskiej) jak Tadeusz Łopalewski w „Zatańczmy karmaniolę” (1973). Kto tak otwarcie zdobył się jeszcze przed Solżenicynem na tak ostre potępienie dyktatury w dobie terroru jak radzieccy autorzy powieści o Iwanie Groźnym: procesy polityczne i zeznania wymuszone torturami łatwiej było przedstawić na XVI-wiecznych przykładach niż na współczesnych autorom tych powieści wydarzeniach.

Pasja bywa niebezpieczna, kiedy przechodzi w agresję i posługuje się słownictwem, jakiego ongiś używano tylko pod budką z piwem. Gdzie podziały się te czasy, kiedy do słów nieprzyzwoitych zaliczano nawet takie wyrażenia jak „jasna cholera” czy „świństwo” (jeszcze Boy-Żeleński pisząc je, używał tylko pierwszej litery, resztę wykropkowując: ś.....). A gdy prude ryjny „Czas” skreślił mu w felietonach z Paryża słowo „dziwka,” pisarz wytoczył organowi konserwatystów głośny proces. Wbrew często powtarzanym obawom

przed inwazją angielszczyzny to nie ona, lecz wulgaryzacja języka zagraża naszej mowie ojczystej. Wynika zaś to właśnie z pasji, którą ogarnięci niektórzy politycy przekraczają granice dobrego smaku i politycznej poprawności. Jak dobrą anegdotę zwykło się przytaczać eufemizmy wielkiej damy polskiej socjologii Marii Ossowskiej, która wślawiła się ongiś stwierdzeniem: „wówczas mu zarzucił, iż jego matka uprawiała erotykę za pieniądze”. Dziś przerywnikiem pozwalającym na chwilę namysłu stało się słowo „kurwa” oraz jemu pochodne. I nie ma większego znaczenia fakt, czy pada ono w pasji, czy też w normalnej rozmowie dwóch wyglądających z pozoru kulturalnie osobników.

Słowem, pasja posiada różne oblicza i należy w nią wpadać jedynie w ostateczności. Co nie znaczy, że sam w nią nie wpadam, kiedy czytam (słucham) różne bzdury upowszechniane przez massmedia. Ale już La Rochefoucauld przestrzegał, iż „niczego nie udziela się tak hojnie jak rad”.

Janusz Tazbir

* Wytluszczenie pochodzi od redakcji „Indeksu”.

Listy, polemiki

Dzięki uprzejmości przesympatycznego pana Jerzego Sajewicza mogłem podczas mojego krótkiego pobytu w Opolu odebrać kolejne numery „Indeksu”, by móc je na spokojnie przeczytać po powrocie do Niemiec. Mimo tych sporadycznych wizyt (3–4 razy w roku), pierwsze kroki kieruję na uniwersytet w nadziei, że a nuż kogoś spotkam ze znajomych. Niektórych dawnych nauczycieli akademickich widuję na mieście i zawsze znajdują czas, by gdzieś przy kawie trochę pogawędzić i powspominać dawne czasy. Aż miło, iż większość – po prawie 40 latach – może sobie przypomnieć byłego studenta; widocznie nie byłem najgorszym.

Niestety, jednego z nich już nigdy nie spotkam. Możliwość ta była zresztą znikoma, biorąc pod uwagę fakt, iż dr Leonard Owczarek już od 1971 roku mieszkał w Kielcach. W numerze 3–4 z 2013 roku ukazały się przepiękne wspomnienia pani Elżbiety Treli-Mazur o tym wspaniałym naukowcu.

Wiadomość o jego śmierci bardzo mną wstrząsnęła. Ten niezwykły człowiek, perfekcjonista w każdym calu, zaszczerpił we mnie pasję do historii starożytnej. Dr Leonard Owczarek był człowiekiem wielkiej kultury osobistej. Nigdy nie podnosił głosu, wykladał w bardzo spokojnym tonie; denerwował się tylko, gdy ktoś na ćwiczenia przychodził nieprzygotowany. Rzadkością było, by wykładowca prowadził zarazem ćwiczenia. Ale że na polu historii starożytnej nie było innego eksperta, więc na dr. Owczarka spadał cały ciężar prowadzenia zajęć z tej dziedziny.

Jego oczkiem w głowie była interpretacja tekstów źródłowych. Znaczenie podstawowe i pochodzenie pisma klinowego, pierwotnego piktogramu, klinów wczesno-babilońskich, klinów asyryjskich itd. Tym doprowadzał nas, studentów, do białej gorączki.

Podczas pisania niniejszego tekstu wybuchłem śmiechem, gdy mi się przypomniał *postrach lasu cedrowego* – Humbaba. Do jednego ze studentów naszego roku ksywa ta przyłgnęła do końca jego pobytu na uczelni.

Dr Leonard Owczarek słynął z niewiarygodnej pamięci. Przekonać się o tym mogłem osobiście podczas zdawania egzaminów z historii starożytnej. Do kogo jak do kogo, ale do dr. Owczarka nikt by się nie ośmielił przyjść nieprzygotowany. A był niewiarygodnie wymagającym naukowcem, ale zawsze fair. O tym, jak trudno zdać u niego egzaminy, krążyły niesamowite opowieści. Po raz pierwszy miałem okazję spotkać się z dr. Leonardem Owczarkiem przy egzaminie wstępnym na historię. Już wówczas wywarł na mnie niesamowite wrażenie – wystąpił w nienagannie skrojonym garniturze, w białej koszuli z krawatem, perfekcyjnie przystrzyżoną czarną brodą, lekko do przodu pochyłony. To był rok 1970. Pytanie nie miało związku z historią, ale geografiją. Miałem wymienić parę wysp Wielkich Antyli. Zaczynam od Kuby, Haiti, Puerto Rico, a kończę na Jamajce. Dr Leonard Owczarek mnie dyskretnie poprawia: *Dżamajka*.

Wracając jednak do egzaminów, trzeba stwierdzić, iż tylko nieliczne grono studentów podjęło się zdawa-

nia całej historii starożytnej. Po części się to udawało. Wskazane było jednak zdawanie egzaminu cząstkowego, tzn. podchodziło się zdawać osobno starożytny Wschód (Sumer, Babilonia, Assyria, Egipt, Syria-Palestyna, Persja, Indie, Chiny), osobno Grecję, osobno starożytny Rzym. Kolejność była obojętna. W ten sposób udało mi się zdać na naciąganej czwórce.

Wspomniałem już fantastyczną pamięć dr. Leonarda Owczarka. Przetestowałem ją osobiście podczas egzaminu. Pytanie dotyczyło wojen punickich. Podałem więc datę III wojny punickiej: 149 – 145 p.n.e. Dr Owczarek mówi: *Pan się o jeden rok pomylił. Wojna*

trwała tylko do 146 roku p.n.e. Wiedziałem, iż pomyłka ta nie ma żadnego wpływu na ocenę, gdyż poprzednie cząstki miałem już zaliczone.

W owym czasie my studenci nie mieliśmy zielonego pojęcia, w jakie perypetie popadał dr Leonard Owczarek z ówczesnymi władzami komunistycznymi – jako człowiek niesamowicie prostolinijny. Wspomniano zresztą o tym już na łamach „Indeksu”.

Odszedł po prostu wspaniały człowiek.

Jerzy Pośpiech

Cytaty z importu

Fragment rozmowy Krzysztofa Ogioldy z rektorem UO prof. Stanisławem S. Nicieją pt. *Elity jak spod kiosku z piwem* („Nowa Trybuna Opolska”, 13 stycznia 2014), przedrukowanej także przez tygodnik „Angora” (nr 5, 2 lutego 2014)

– Zdarza mi się przechodzić obok punktów skupu złomu, gdzie czasem przychodzą menele, aby sprzedać pogiecie puszki po piwie. Patrzą na ich strój. A później często widzę na moim i innych uniwersytetach ludzi tak samo niedbale ubranych. Nie odróżniam profesora od menela – mówił pan w środę, na akademickim spotkaniu opłatkowym. Dawno – a może nigdy – nie padły w Opolu tak mocne słowa na temat obniżenia poziomu kultury życia akademickiego (...).

– Stało się coś złego ze standardami elit. A to elity decydują o jakości narodu. Jakiej klasy są uczeni, politycy, dziennikarze i menedżerowie, takiej klasy jest państwo i tyle znaczy. Standardy się obniżają, jeśli w telewizji możemy zobaczyć profesora poważnego uniwersytetu, który staje przed kamerą i ma za sobą sztyld wielkiej uczelni – np. Uniwersytetu Jagiellońskiego czy Warszawskiego – a wygląda i zachowuje się tak, jakby uczestniczył w programie Kuby Wojewódzkiego. Występuje w rozchełstanej koszuli, w wymiętej marynarce, nieuczesany. A sprowokowany przez dziennikarza, mówi byle jak i często byle co, dostosowując się do języka „ulicy”.

– **Pan rektor zna ten problem z telewizji, czy także z murów swojej własnej uczelni? I czy dotyczy on studentów, czy także profesorów?**

– To objęło obie grupy. Student często naśladuje wykładowcę. Miałem taki przypadek. Na posiedzeniu Senatu wręczam nominacje pracownikom, którzy zdobyli habilitację. To jest święto w życiu każdego uczonego, bo ten tytuł oznacza uzyskanie przez badacza samodzielności naukowej. Jedna z tych osób przychodzi ubrana naprawdę jak menel. W rozciągniętym swetrze, w przetartych dziurawych dzinsach. Nie chciałem psuć święta. Ale to jest zgroza, jeśli profesorowi rektor po-

winien zwracać uwagę na niestosowność stroju. Byłem na obronach prac doktorskich na poważnych uniwersytetach polskich. I zdarzały się przypadki, że promotor przychodził w wytartych, brudnych adidasach albo w sandałach i białych skarpetkach. Nie może być na to zgody, bo obrona doktoratu to jest w tradycji akademickiej uroczystość jak ślub albo Pierwsza Komunia Święta.

Poczucie niestosowności ubioru do sytuacji, w której się jest, zaczyna się w Polsce gwałtownie zacierać. Więc trzeba o tym mówić. Na spotkanie opłatkowe parę osób też przyszło ubranych niestosownie do sytuacji, jak słynny niegdyś minister Pałubicki do Sejmu. Może po moich słowach poczuli się fatalnie, ale z tego, co powiedziałem, się nie wycofuję.

– **Dlaczego kiedyś profesor wstydziłby się przyjść na uczelnię w przetartych spodniach i brudnych butach, a dziś to robi?**

– Jako społeczeństwo zatracamy poczucie wstydu. Ludzie się nie wstydzą ignorancji, tego, że są nieoczytani, że warczą na siebie i klną, że są byle jak ubrani, nieogoleni – a jest przecież coś takiego, jak samopoczucie dobrze ubranej osoby. W murach uczelni także. Kiedyś szokował przymiotnik wprowadzony do języka przez wokalistę Michała Wiśniewskiego – przepraszam, że go użyję, ale muszę uwypuklić zjawisko – zajebisty. Dziś to słowo większości ludzi, także należących do elit, nie brzydzi. Jeśli coś jest zajebiste, to znaczy, że jest bardzo dobre. Jeżeli się nie wstydzimy, to coraz gorsze standardy zachowania przyjmujemy za normę. Wstyd jest ważny, bo zapobiega bylejałości wdzierającej się do naszego życia.

– **Często pan rektor na korytarzach i w salach wykładowych słyszy przeklinających studentów?**

– Słyszę i jestem tym oburzony. Niedawno jadę windą. Obok dwie studentki. Wyglądają pięknie, ale mó-

wią językiem strasznym. Nie wytrzymuję, zwracam uwagę: Dziewczyno, jak ty mówisz, ty się deklasujesz. A ona patrzy na mnie zdziwiona, bo już nie rozumie, dlaczego jestem oburzony. Nie krępuje się przy mnie kląć, zatraciła poczucie stosowności. Na uniwersytecie wciąż zwracam i będę zwracał uwagę na takie zachowania. I nie tylko ja. Niedawno od jednej z pań profesor usłyszałem: „W moim instytucie nikt przeklinał nie będzie, bo się umówiliśmy i cała kadra tego pilnuje”. Kulturowemu zepsuciu trzeba stawiać tamę, bo zła kultura przenika na korytarze uczelni spod budki z piwem, a nawet z przystanku autobusowego. Przyznaję szczerze – na przystanku nie odważam się zwracać nikomu uwagi. Nie mam ochoty dostać w szczękę. (...)

– **Zwraca pan uwagę na to, że na uczelniach jest więcej niż kiedyś słownej agresji i niechęci. Z czego się to bierze?**

– Środowisko akademickie jest bardzo mocno zatowarowane. Ludzie zamykają się w naukowych gettach. Nie chcą widzieć, co ktoś obok robi. Nie czytają sobie nawzajem. Historyk nie sięga po prace polonisty, a polonista nie interesuje się dorobkiem psychologa. Nie ma potrzeby rozmowy o filozofii, historii czy o nowej książce. Obowiązuje model: na zajęcia i do domu. Zanika życie akademickie. Jak ktoś zostanie zatrzymany na korytarzu choć na chwilę, już się denerwuje. Nikt nie chce, by mu zawracać głowę. To zniecierpliwienie tempem życia i sobą nawzajem jest pożywką agresji. Także na uczelni.

– **Spsienie życia akademickiego to nasz polski czy i globalny problem?**

– Byłem niedawno na uniwersytetach w Lyonie i Heidelbergu i miałem wrażenie, że tam elitarność ży-

cia akademickiego jest lepiej pilnowana niż u nas. Wiedziałem zadbanych mężczyzn. W Europie uniwersytet wciąż jest miejscem, gdzie się dobre standardy tworzy, utrzymuje i pielęgnuje. Oni wiedzą, że od tego naprawdę zależy jakość narodu, a nawet cywilizacji.

– **Musimy się zgodzić, że skoro żyjemy coraz szybciej, coraz mniej refleksyjnie, to i bylejałości będzie więcej. Czasy jej sprzyjają?**

– Nie zaślaniajmy się czasami. Jest taka historia o hrabinie Zamoyskiej więzionej na Sybir. Do wagonu pełnego głodnych ludzi wrzucono chleb. Wszyscy rzucili się jak wilki. Hrabina poczekała na swój kąsek. Wyciągnęła białą serwetkę, a potem nożyk i pokroiła sobie ten chleb. Ktoś się zdziwił. Co pani hrabina robi? W takich warunkach? Właśnie w takich warunkach, odpowiedziała pani Zamoyska, nie możemy zapomnieć, że jest kultura mówienia, zachowania i jedzenia. O tym dziś też ktoś musi mówić. Uniwersytet jest takim miejscem, gdzie o standardach i ich upadku musimy przypominać. (...)

– **Czy winy za obniżenie standardów akademickich nie ponoszą same szkoły wyższe? (...).**

– Reformatorzy polskiego szkolnictwa wyższego popsuli je. Dopiero teraz przychodzi opamiętanie. Nie należało dorabiać się na czesnym biednych rodziców, mnożąc liczbę uczelni bez opamiętania. To było nieetyczne, że profesorowie mieli w różnych szkołach po 4 – 5 etatów. Wyciągano ogromne pieniądze, ucząc byle jak. Podniesiono poziom scholaryzacji, ale nie poziom nauczania. Proces naprawy w dobie kryzysu demograficznego nie będzie łatwy. Każda uczelnia będzie się bronić rękami i nogami przed likwidacją. Ale odwrotu nie ma. Elitarność musi wrócić (...).

III Międzynarodowa Olimpiada Języka Rosyjskiego

Zapraszamy studentów Uniwersytetu Opolskiego do udziału w III Międzynarodowej Olimpiadzie Języka Rosyjskiego organizowanej przez Bałtycki Federalny Uniwersytet im. Immanuela Kanta w Kaliningradzie. Olimpiada odbywa się na trzech poziomach:

1. podstawowym – dla studentów I i II roku studiów I stopnia (kierunki filologiczne i niefilologiczne)

2. średnio zaawansowanym – dla studentów III roku I stopnia oraz studentów I i II roku studiów II stopnia (kierunki filologiczne)

3. zaawansowanym – dla studentów biegle posługujących się językiem rosyjskim, w tym dla osób posługujących się językiem rosyjskim jako językiem ojczystym.

I etap Olimpiady zostanie przeprowadzony w dniach 1–15 marca 2014 r., po uprzednim przesłaniu organizatorom zbiorczego zgłoszenia uczestników przez koordynatora i dokonaniu rejestracji przez uczestników w trybie online (<http://ru-olymp.kantiana.ru>).

II etap Olimpiady, na który zostaną zaproszeni zwycięzcy I etapu, odbędzie się w dniach 15–16 maja 2014 r. w Kaliningradzie.

Zgłoszenia (z podaniem imienia i nazwiska, kierunku i roku studiów oraz poziomu znajomości języka rosyjskiego) prosimy przysyłać do **dr Ireny Daneckiej** na adres: danecka@op.home.pl do **25 lutego 2014 r.**

Konrad Glombik

Powrót do domu

Raciborskie dzieło ks. prałata Carla Ulitzki

W latach 20. i 30. XX w. na Górnym Śląsku powstało wiele budynków zaliczanych do charakterystycznego wówczas stylu, nazywanego modernizmem. Jednym z nich jest dom parafialny wybudowany przy kościele św. Mikołaja w Raciborzu-Starej Wsi, kiedy proboszczem tej parafii był znany i wpływowy ks. prałat Carl Ulitzka (1873–1953).

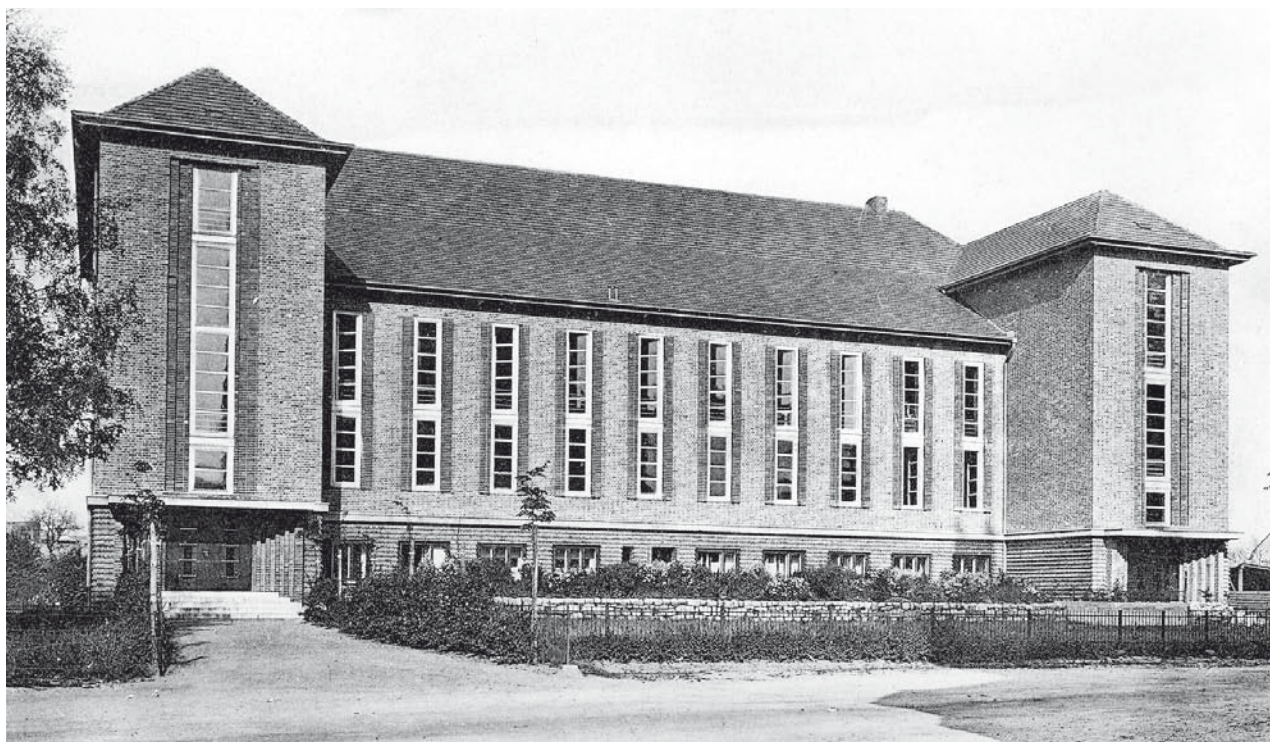
Powstanie opisywanego budynku wiąże się z działalnością duszpasterską i społeczną ks. Carla Ulitzki, który, podobnie jak w Bernau koło Berlina, pierwszym miejscem swojej posługi duszpasterskiej (w roli proboszcza), także w parafii św. Mikołaja w Raciborzu, duży akcent kładł na zakładanie związków i stowarzyszeń kościelnych. Miało to na celu pogłębienie

nie więzi wierzących z Kościołem w coraz bardziej zsekularyzowanym społeczeństwie. Nie wiadomo, kiedy powstała idea budowy na terenie parafii św. Mikołaja odpowiedniego pomieszczenia dla coraz intensywniej działających związków i stowarzyszeń kościelnych, ale projekty architekta, którym był słynny wówczas Reinhold Niemeyer (1885–1959) z Opoła, powstały w styczniu 1927 r. Z zapisów w księgach ogłoszeń parafialnych z 1927 i 1928 r. wynika, że do pomocy przy pracach w budowie ksiądz Ulitzka prosił parafian. Jak twierdzą starsi parafianie, pierwotnie w budynku miała się mieścić siedziba Wyższego Seminarium Duchownego dla kandydatów do kapłaństwa, którzy mieli dobrze opanować język polski po

to, by podjąć pracę duszpasterską na terenach archidiecezji wrocławskiej, gdzie używano tego języka. Informacje te nie są jednakże potwierdzone.

Budowa domu parafialnego przy kościele św. Mikołaja w Raciborzu, na którą parafia starowiejska zaciągnęła kredyt, została ukończona prawdopodobnie w 1928 r. Świadczy o tym fakt, że kiedy w Raciborzu na zaproszenie ks. prałata Carla Ulitzki przebywał we wrześniu 1928 r. prezydent Rzeszy Paul von Hindenburg, został podjęty właśnie w nowo wybudowanym obiekcie, czyli *Jugendheimie*, gdzie odbyła się uroczysta akademii oraz przyjęcie wieńczące jego wizytę.

Oficjalna nazwa budynku: *Jugendheim* wskazywała, że przez długi czas służył on głównie dusz-



Jugendheim, czyli dom parafialny w Raciborzu-Starej Wsi na przedwojennej pocztówce

pasterstwu młodzieży. Przez starszych parafian ta właśnie nazwa jest używana do naszych czasów. Po przejęciu władzy w Trzeciej Rzeszy przez Hitlera w 1933 r. budynek został przemianowany na Dom św. Mikołaja (*St. Nikolausheim*), prawdopodobnie w związku z represjami stosowanymi przez narodowych socjalistów wobec działalności formacyjnej Kościoła katolickiego wśród młodzieży.

Historyk architektury, Ryszard Nakonieczny, w następujący sposób opisuje ten modernistyczny obiekt: *Budynek jest na wskroś tradycyjny w formie, co podkreśla symetria założenia, osadzenie na cokole oraz wysoki dach. Ta ortodoksyjna klasyka została złagodzona delikatnym udziałem nieco bardziej nowoczesnych motywów. Są nimi pionowe otwory okienne, uskokowe portale czy poziome pasy cokołu. Elewacje szczerze pokazują materiał ceglany i jego precyzyjne ułożenie. Ta ekspresja wzorów ceramicznych jest odwołaniem do rodzimej architektury pruskiej. Tendencje takie były popularne w Niemczech nie tylko w okresie późnego średniowiecza, ale i w XIX wieku. Jak widać nie wygasły jeszcze w okresie weimarskim i czasach narodowego socjalizmu, czego przykładem oprócz raciborskiego domu młodzieży jest woj-*

skowy budynek administracyjny z Kassel, projektowany przez Kurta Schönfelda i Ernsta Wendela w latach 1936–1938, w którym ceramikę zastąpił naturalny kamień.

Choć dla parafian budowa i utrzymanie budynku wiązały się ze znacznym nakładem pracy i środków materialnych, szybko uznano go za obiekt niezbędny dla życia parafialnego. O działalności, która odbywała się w jego pomieszczeniach, świadczy sprawozdanie z 24 grudnia 1933 r. Dowiadujemy się z niego, że w budynku tym prowadziły działalność 24 związki i organizacje kościelne, które łącznie liczyły ponad 7 tysięcy członków. Działały tam: przedszkole katolickie prowadzone zgodnie z zasadami pedagogiki M. Montessori, związek sportowy, związek młodzieży, katolicki związek robotników, Trzeci Zakon św. Franciszka, bractwo różańcowe, bractwo pocieszenia NMP, apostołstwo mężczyzn, polskie stowarzyszenie matek katolickich, kongregacja maryjna dziewcząt i chłopców, stowarzyszenia misyjne, Związek św. Karola Boromeusza, Konferencja św. Wincentego a Paolo i krąg czytelniczy. Dom Młodzieży służył także katolickim grupom ponadparafialnych, w tym m.in. kręgowi liturgicznemu, *Quickborn, Neudeutschland, Deutsche Ju-*

gendkraft oraz instytucjom miejskim, takim jak miejski urząd młodzieży czy urząd pracy. W domu parafialnym mieściła się również biblioteka parafialna oraz kuchnia, która umożliwiała organizowanie przyjęć oraz przygotowywanie posiłków dla ubogich. Pomimo tak szerokiej działalności budynek, zwłaszcza po 1933 r., miał problemy finansowe – utrzymywany był bowiem głównie z ofiar wiernych i prywatnych pieniędzy księdza Ulitzki. W związku z tym zwrócono się do Kurii Archidiecezjalnej we Wrocławiu z prośbą o wsparcie finansowe, które jednak nie zostało przyznane. W kolejnych latach sami parafianie z wielkim trudem pokrywali koszty działalności i funkcjonowania budynku.

W starowiejskim domu parafialnym znajdowała się także kaplica. W niej właśnie, po II wojnie światowej, w czasie której kościół św. Mikołaja został poważnie zniszczony, od maja do grudnia 1945 r., były odprowadzane nabożeństwa, o czym informuje *Kronika parafialna*. W 1956 r. Dom Młodzieży jako *dobro martwej ręki* został przejęty przez państwo i urządzono w nim Spółdzielnię Galanterii Skórzanej. Ówczesny proboszcz ks. Maksymilian Poloczek (1901–1962) wielokrotnie interweniował w sprawie zwrotu tego budynku Kościołowi, podkreślając, że był on od samego początku własnością parafii św. Mikołaja w Raciborzu–Starej Wsi. Bezsukcesywnie tłumaczył, że nie jest to mienie poniemieckie, bo nie należało do Kościoła niemieckokatolickiego, ale rzymskokatolickiego. 5 lipca 1957 r. została zawarta umowa dzierżawy pomiędzy parafią św. Mikołaja i Spółdzielnią Galanterijno-Bieliźniarską im. Marii Konopnickiej na okres 30 lat, z możliwością przedłużenia na dalsze lata. Pomimo tego status prawny budynku i nieruchomości był niejasny.

O zwrot nieruchomości, 14 maja 1958 r., zwróciła się starowiejska rada parafialna do Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Opolu. W uzasadnieniu zwrócono



Dom parafialny po przejęciu przez Caritas diecezji opolskiej (maj 2009)

uwagę, że *nieruchomość stanowi jedną całość nierozzerwalną i nieodłączną z kościołem św. Mikołaja. Dom pobudowany na tej nieruchomości służył i służy w dalszym ciągu do szerzenia kultu religijnego wśród miejscowych parafian, z tym że w tym budynku mieści się kaplica, w której w latach 1945 i 1946 odprawiały się nabożeństwa kościelne. Należy zatem zauważyć, że miejscowa ludność, która przywiązana jest do Kościoła katolickiego, niechętnie widzi przejęcie przedmiotowego budynku przez Władzę niekościelną, tym bardziej, że kaplica jako miejsce poświęcone zostanie sprofanowane w wypadku, gdy będzie użyte dla celów nie związanych z kultem religijnym. Gdy zważy się, że ludność Śląska Opolskiego utożsamia katolicyzm z polskością, nie byłoby celowe podważać zaufania ludności do Władz Polski Ludowej, która w zagarnięciu mienia kościelnego widzi wrogą robotę przeciw polskości na tych terenach.*

26 października 1966 r. nieruchomości stała się własnością skarbu państwa. Kiedy po 30 latach minął termin obowiązywania umowy dzierżawnej ks. proboszcz Reinhold Porwoll 23 stycznia 1989 r. zwrócił się do Spółdzielni „Sprawność” z prośbą o podjęcie decyzji co do przedłużenia dzierżawy bądź zwrotu nieruchomości parafii. Natomiast w piśmie z 23 października 1990 r. do Komisji Majątkowej Biura ds. Wyznań Urzędu Rady Ministrów zawniioskował o wszczęcie postępowania regulacyjnego dotyczącego nieruchomości i budynku oraz przyznanie odszkodowania. Po przemianach polityczno-gospodarczych budynek został sprzedany na użytek prowadzenia prywatnej działalności gospodarczej. Przez wiele lat stał pusty i podlegał procesom powolnego niszczenia i dewastacji. Główny problem związany z tym budynkiem dotyczył nie tylko kosztów jego remontu, ale i skomplikowanej sytuacji własnościowej. W czerwcu 2009 r.

w wyniku licytacji budynek został zakupiony przez Caritas Diecezji Opolskiej i odtąd na powrót jest własnością Kościoła katolickiego.

Charakterystyczna architektura budynku harmonizuje z neogotyckim kościołem św. Mikołaja, a liczba i wielkość pomieszczeń pozwala na realizację wielkiego projektu służącemu nie tylko parafianom, ale także całej diecezji opolskiej i społeczności lokalnej. Dramatyczne dzieje tego budynku obalają lansowaną przez niektóre środowiska tezę, że Kościół katolicki w Polsce dąży do przejęcia zagrabionego mienia. Raciborski dom parafialny, własność Kościoła katolickiego, wybudowany dzięki ofiarności i determinacji wiernych, wrócił do pierwotnego właściciela dzięki gotowości ponoszenia kolejnych kosztów i determinacji oraz przekonaniom ludzi o podobnych wizjonerskich umysłach, jak jego budowniczy – ks. prałat Carl Ulitzka.

Konrad Głombik

Logika planowania miast według prof. Janusza Słodczyka

Kilka tysięcy lat w godzinę

Na zaproszenie Grupy Logiki, Języka i Informacji, we współpracy z Wydziałem Ekonomicznym i Instytutem Historii UO, 3 grudnia 2013 r. prorektor ds. nauki i finansów **prof. dr hab. Janusz Słodczyk** wygłosił wykład pt. *Logika planowania miast*. Był to majstersztyk, jak stwierdził po wykładzie **dr Antoni Maziarz**, gdyż rozpiętość czasowa omawianych zagadnień była imponująca. Dotyczył on problematyki rozwiniętej w książce pt. *Historia planowania i budowy miast* wydanej w 2012 roku przez Wydawnictwo Uniwersytetu Opolskiego. **Prof. Janusz Czelakowski** w zapowiedzi wykładu zauważył, że dewizą prezentacji mogą stać się słowa: *Pokaż mi wasze miasto, a powiem wam, w jakim państwie żyjecie*. Profesor Słodczyk

poszedł krok dalej, gdy stwierdził, że w planie miast odzwierciedlona jest wizja świata. Umysł planisty skupia, jak w soczewce, najważniejsze idee, które po powstaniu ośrodka miejskiego niesione są dalej poprzez zmaterializowany w każdej niemalże cegle projekt. Jego realizacja poddana zostaje próbie, która bądź rozsada pierwotny zamysł, ustępując pod naporem nowych potrzeb mieszkańców miast, bądź zachowuje jak najwięcej z oryginalnej formy powstałej według zamysłu projektanta.

Przyczyny powstawania miast na przestrzeni dziejów bywały różne. Jedną z pierwszych wskazanych przez prelegenta była potrzeba wynikła z zarządzania rolnictwem, które na skutek intensywnego rozwoju wyodrębniło grupę ludzi mo-

gących zajmować się czymś innym niż produkcja żywności. Inne, równie ważne potrzeby, są związane z handlem, obroną oraz miejscami kultów religijnych. Według logiki tych potrzeb kreowano więc miejsca ich rozwoju – miasta. W zależności od tego, która z potrzeb była dominująca, znajdowała swój wyraz w akcentach zastygłych w architekturze. Ciekawa przy tym jest nowoczesna logika kreowania miast, a mianowicie *buisness is buisness*. Różni się ona w znaczący sposób od średniowiecznej logiki handlu głównie tym, że jej istotą jest prostota. Nie ma w tym nic dziwnego, przecież tam, gdzie kwitnie biznes, musi być funkcjonalnie. Dlatego właśnie po wielkim pożarze Londynu w 1666 roku nie zdecydowano się na odbudowę

miasta z zachowaniem jego starego, imponującego rozmachem stylu. Londyn miał być zdolny do prowadzenia interesów i to właśnie ta logika wyznaczyła miastu ścieżki dalszego rozwoju.

Prof. Janusz Słodczyk w swoim wykładzie wskazał nie tylko na logikę wynikłą z dominacji którejś z wyżej wskazanych potrzeb. Równie ważna w kreowaniu miast jest logika hybryd. Łączą one bądź dwie różne tradycje, jak np. będąca pod wpływem kultury rosyjskiej i islamskiej Samarkanda, bądź są świadectwem przenoszenia, często też kopiowania zdobyczy architektonicznych jednej kultury na gruncie innej, odległej kultury. Za przykład posłużyły prelegentowi liczne budowle w stylu europejskim, które możemy podziwiać w krajach azjatyckich. Dla profesora Słod-

czyka jest to dowód na to, że idee przenoszą się również za pośrednictwem architektury.

Wykład *Logika planowania miast...* był szeroko otwartym oknem na świat. Słuchacze przenieśli się nie tylko do najodleglejszych jego zakątków, lecz również mieli okazję odbyć podróż w czasie. Można więc było zobaczyć rekonstrukcje np. Jerycha, Uruku i Uku, ale również uświadomić sobie, że geneza popularnego dziś rozwiązania ruchu ulicznego, jaką jest rondo, sięga początków XX wieku, kiedy to w Paryżu powstało skrzyżowanie tego typu. Wśród wielu omówionych miast z całego świata nie zabrakło oczywiście rodzimych przykładów. Wrocław i Opole znalazły się w tej samej kategorii miast rozbudowanych z istniejących tam wcześniej grodów,

znajdujących się odpowiednio na Ostrowie Tumskim oraz Ostrówku. Łódź rozwijała się według logiki produkcji, Zamość to – obok Palma Nova – jedno z niewielu miast wybudowanych według logiki miasta idealnego, mającego geometryczne rozplanowanie. Idealność, której wyrazem miało być geometryczne uporządkowanie miasta, stanowi jednak, według profesora, zbyt ciasny gorset. Miasto rozsada go, kierując się potrzebami jego mieszkańców. A według jakiej logiki rozwinię się Opole? – pytano prelegenta w trakcie dyskusji po wykładzie. Rozwój inicjuje się tam, gdzie mamy do czynienia z potrzebą, stwierdził profesor, wyrażając nadzieję na rozwinięcie tematu na osobnym wykładzie.

Dorota Barcik

Spory nad zbrodnią

Seminarium w 70. rocznicę wydarzeń na Wołyniu

20 czerwca 2013 r. w Instytucie Politologii Uniwersytetu Opolskiego odbyło się seminarium naukowe pt. *Wołyń 1943–1945. Polityczne i społeczne spory o historię i upamiętnienie*. Inicjatorką obrad mających na celu upamiętnienie zbrodni wołyńskiej popełnionej na Polakach w latach 1943–1945 była **prof. dr hab. Danuta Kisielewicz** kierownik Katedry Studiów Regionalnych Instytutu Politologii UO.

W trakcie seminarium w roli prelegentów wystąpiło dziewięć osób, w tym goście specjalni: **prof. dr hab. Grzegorz Motyka** oraz rektor UO **prof. dr hab. Stanisław Nicieja**. Spotkanie zgromadziło wielu gości aktywnie uczestniczących w debacie, w tym pracowników naukowych Instytutu Politologii, studentów z Ukrainy oraz przedstawicieli wielu organizacji, m.in. kresowych.

Dyskusję rozpoczęli rektor prof.

dr hab. Stanisław Nicieja, prof. dr hab. Danuta Kisielewicz oraz **dr Lech Rubisz**, dyrektor Instytutu Politologii. Pierwszym prelegentem był prof. dr hab. Grzegorz Motyka – historyk specjalizujący się w tematyce ukraińskiej, pracownik naukowy Uniwersytetu Jagiellońskiego i członek Rady IPN. Prelegent podjął temat pt. *Rzeź wołyńsko-galicyska 1943–1945. Wojna domowa, bunt chłopski czy ludobójstwo?* W trakcie swojego wystąpienia odniósł się do problemu różnic występujących między polskimi badaczami zajmującymi się zbrodnią wołyńską oraz tezami głoszonymi przez środowiska historyków ukraińskich. Grzegorz Motyka uznał, że wydarzenia na Wołyniu i w Galicji Wschodniej mają charakter ludobójczej czystki etnicznej – nie było to ludobójstwo w pełnym tego słowa znaczeniu. Przywołał również stanowiska

ukraińskich badaczy, których podzielił na liberalnych (mniejszość), którzy uznają winy nacjonalistów oraz konserwatywnych, forsujących tezy o buncie społecznym i równych winach.

Następnie głos w dyskusji zabrał **prof. dr hab. Stanisław Nicieja** – wybitny historyk i badacz ziem wschodnich. Prelegent podjął temat pt. *Spór o Bandere*, w trakcie którego odniósł się do sakralizacji i eksponowania pomników Stepana Bandery w zachodniej części Ukrainy. Odniósł się również do aktualnego stanu badań – stwierdził, że problematyką zbrodni na Wołyniu i w Galicji Wschodniej zajmują się jednostki, a Polska może zaoferować armię historyków. Prelegent zaznaczył również, że przez błędnie opisywane fakty temat Wołynia przenoszony jest na płaszczyznę polityczną, historyk tymczasem powinien wyzbyć się zacietrzewie-



W trakcie seminarium

nia i emocji – nie może być niczym adwokatem, ale sędzią.

Bardzo ważnym głosem w dyskusji było wystąpienie **dr. Krzysztofa Załuckiego** – pracownika naukowego Instytutu Politologii i radcy prawnego, który zaprezentował temat pt. *Czy zbrodnie na Wołyniu można określić według prawa międzynarodowego publicznego jako ludobójstwo?* Prelegent odniósł się do prawa międzynarodowego i definicji terminu „ludobójstwo”. Wyjaśnił, jakie czyny można określić tym mianem, przybliżył też specyfikę prawną konwencji w sprawie przeciwdziałania tego typu zbrodniom. Na zakończenie postawił pytanie: czy zbrodnia wołyńska była ludobójstwem? Zdaniem prelegenta: – Ukraińscy nacjonałiści mieli zamiar zlikwidowania polskiej grupy narodowej – nie była to ewentualność.

Tomasz Czajka, magistrant w Instytucie Politologii i student politologii, podjął temat pt. *Historycy i „historycy” ukraińscy – różne spojrzenia na wydarzenia wołyńskie 1943–1945*. Prelegent zaprezentował stan badań polskich uczonych zajmujących się problematyką wołyńską oraz przedstawił problemy dzielące środowiska polskie i ukraińskie. Pierwsze rozbieżności dotyczą rozkazu eks-

terminacji ludności polskiej. Przywołani historycy wschodni kwestionują istnienie takowego, lecz polscy badacze nie mają wątpliwości o jego wydaniu. Oba środowiska dzielą też interpretacje ilościowe zbrodni. Polscy badacze, na czele z Władysławem Siemaszką i Ryszardem Torzeckim, szacują liczbę pomordowanych Polaków na 60–70 tys. osób. Ukraińscy badacze liczby te zdecydowanie zaniżają, przy jednoczesnym zawyżaniu swoich strat.

Mgr Piotr Bujak z kolei zaprezentował pracę pt. *Polityczne spory o upamiętnienie zbrodni na Wołyniu w polskim parlamencie*. Prelegent podjął się analizy działalności polityków przy okazji obchodów kolejnych rocznic mordów na Wołyniu. Omówił poszczególne rocznice oraz polityczne inicjatywy mające na celu ich upamiętnienie, przedstawił też ós sporu pomiędzy grupami liberałów i konserwatystów – osiłą tą jest kategoria ludobójstwa. Z jednej strony liberałowie relatywizują prawdę historyczną, dbając o kompromis i dobre stosunki sąsiedzkie. Z drugiej strony konserwatyści niejako gloryfikują przeszłość, chcą prawdy całkowitej, bez względu na stosunki dwustronne z Ukrainą. Kończąc stwierdził, że obecnie zgoda mię-

dzy rządami obu państw jest mało prawdopodobna, ze względu na brak odpowiedniego klimatu międzynarodowego i wewnętrzne spory na Ukrainie.

Prof. Aleksandra Trzcielińska-Polus w swoim wystąpieniu *Spory historyczne we współczesnych stosunkach polsko-ukraińskich* podkreślała znaczenie Ukrainy na arenie międzynarodowej oraz jako partnera strategicznego Polski. Przedstawiła także główne problemy polskiej polityki zagranicznej w stosunku do Ukrainy, podkreśliła także rolę Polski jako adwokata Ukrainy w negocjacjach tego kraju z Unią Europejską oraz NATO.

Irena Kalita, prezes opolskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, podczas wystąpienia *Upamiętnienie ofiar ludobójstwa na Kresach Wschodnich II RP przez opolskie środowisko kresowian*, zaprezentowała obraz zbrodni wołyńskiej w kontekście innych tragedii, które rozgrywały się na Ukrainie. Podkreślała, że na Opolszczyźnie działa wiele organizacji kresowych, m.in. Towarzystwo Naukowo-Społeczno-Kulturalne Polonia Kresy – jeden z najbardziej prężnie rozwijających się podmiotów. Przedstawiła także obraz zbrodni wołyńskiej, porównując ją do innych

zbrodni, popełnianych w Galicji, gdzie zabito ponad 200 tysięcy osób. Jak powiedziała – ukraińska buta jest bardzo bolesna.

Ściganie zbrodni ludobójstwa na Wołyniu w świetle zakończonych śledztw IPN z lat 2011–2013 było tematem wystąpienia **Janusza Oszytko**, przedstawiciela Instytutu Pamięci Narodowej w Opolu. Na podstawie zgromadzonych zdjęć przekonywał o barbarzyńskim charakterze zbrodni na Wołyniu. Zdradził także, że obecnie toczy się 25 śledztw w sprawie dopuszczenia się przez nacjonalistów ukraińskich zbrodni ludobójstwa w latach 1939–1945.

Rzeź wołyńska była zbrodnią popełnioną przez nacjonalistów OUN-UPA na Polakach żyjących na Wołyniu i w Galicji Wschodniej w latach 1943–1945. Całkowita liczba zabitych tam Polaków może sięgać nawet 100 tysięcy. Najbrutalniejsze akcje miały miejsce w lipcu 1943 r. – w nocy z 11 na 12 lipca w zsynchronizowanych akcjach zaatakowanych zostało około stu polskich wsi. Prezydent Bronisław Komorowski, na Skwerze Wołyńskim w Warszawie, podczas odsłonięcia pomnika Ofiar Zbrodni Wołyńskiej 11 lipca 2013 r. powiedział: *Ta zbrodnia była jednym*

z najbardziej bolesnych doświadczeń Polaków w czasie II wojny światowej.

Niestety, Polacy nie mają wystarczającej wiedzy na temat tamtych wydarzeń. Jak wynika z badań CBOS (raport CBOS *Trudna pamięć: Wołyń 1943*), aż 47 proc. respondentów zadeklarowało, że nie wie ani kto był sprawcą zbrodni wołyńskiej, ani kto był jej ofiarą. 7 proc. ankietowanych podało, że rzeź wołyńska to zbrodnia dokonana na Polakach przez Niemców lub Rosjan.

Tomasz Czajka
Kordian Gawlik

Dziecięce deficyty rozwojowe

27 listopada ub. roku odbyło się Międzyuczelniane Sympozjum nt. *Dziecko z deficytami rozwojowymi w systemie rehabilitacji, edukacji i wsparcia społecznego*. To już trzecie z kolei wydarzenie zorganizowane w ramach współpracy Instytutu Studiów Edukacyjnych Uniwersytetu Opolskiego i Instytutu Fizjoterapii Państwowej Medycznej Wyższej Szkoły Zawodowej w Opolu. Sympozjum uroczyście otworzyli: **dr hab. Janusz Dorobisz, prof. UO** – dziekan Wydziału Historyczno-Pedagogicznego UO, **prof. dr hab. Ewa Smak** – dyrektor Instytutu Studiów Edukacyjnych UO oraz **dr Tomasz Halski** – rektor PMWSZ w Opolu.

Część plenarna składała się z trzech wykładów. **Mgr Aneta Winiarz** z Fundacji „Dom Rodzinnej Rehabilitacji Dzieci z Porażeniem Mózgowym” w Opolu zaprezentowała referat pt. *Trudne rodzicielstwo – sytuacja rodziców dziecka z zaburzeniami w rozwoju*. Prelegentka omówiła problemy rodziców wychowujących dziecko niepełnosprawne. Zwróciła uwagę na sposoby uży-

skania przez nich pomocy ze strony specjalistów i placówek wspierających. Kolejny referat nt. *Wybranych aspektów kształcenia dzieci ze specjalnymi potrzebami edukacyjnymi w świetle prawa oświatowego* wygłosił **dr Edward Szkoda**

z Instytutu Studiów Edukacyjnych UO, który przybliżył treści aktów prawnych regulujących sytuację dziecka z deficytami rozwojowymi w systemie oświaty. Ostatni referat pt. *Wielospecjalistyczna terapia dzieci i młodzieży w Fundacji*



Po teorii przyszedł czas na praktykę – na zdjęciu warsztaty dotyczące sposobów prawidłowego pozycjonowania małego dziecka

„Dom” w Opolu wygłosiły **mgr Ewa Hilczer** i **mgr Dagmara Łabno** z Fundacji „Dom Rodzinnej Rehabilitacji Dzieci z Porażeniem Mózgowym” w Opolu. Prezentacja dotyczyła metod i form wdrażanych w proces terapii dzieci i młodzieży ze specjalnymi potrzebami edukacyjnymi.

Drugą częśći sympozjum zajęły warsztaty, w których wzięli udział uczestnicy sympozjum, przygotowane przez reprezentantów obu uczelni. **Dr Marian Biliński** (ISE UO) zaproponował zabawy muzyczne stosowane w terapii dzieci z deficytami rozwojowymi. Z kolei studentki z Naukowego Koła Terapeutów pod opieką merytoryczną **dr Małgorzaty Ganczarskiej** (ISE UO) przeprowadziły warsztaty dotyczące twórczej wizualizacji, czy-

li sposobów wykorzystywania siły wyobraźni w pracy z dziećmi przewlekle chorymi. Były to: **Beata Czuczka, Aneta Brzęk, Renata Kławińska, Dominika Styra, Sybilla Śniechota, Paulina Jarosz**. Przedstawiciele PMWSZ w Opolu przygotowali natomiast warsztaty dotyczące sposobów przenoszenia osób poruszających się na wózkach inwalidzkich (**mgr Grzegorz Biliński, mgr Ewelina Lepsy**), a także ćwiczenia, podczas których zaprezentowano sposoby prawidłowego pozycjonowania małego dziecka (**mgr Radosław Rogoziński, mgr Ewa Drygas**).

Uczestnicy wydarzenia po raz kolejny wzięli udział w interesujących prelekcjach, dzięki którym mieli możliwość poszerzenia swojej wiedzy z zakresu różnorodnych

form wsparcia dzieci z deficytami rozwojowymi. Z kolei spotkania warsztatowe dały odbiorcom możliwość nabywania i rozwijania praktycznych umiejętności wzbogacających ich warsztat pracy zawodowej.

Coroczne sympozja organizowane przez Instytut Studiów Edukacyjnych Uniwersytetu Opolskiego i Instytut Fizjoterapii Państwowej Medycznej Wyższej Szkoły Zawodowej w Opolu cieszą się dużym zainteresowaniem odbiorców, co staje się motywacją do zaplanowania i zorganizowania podobnych wydarzeń w kolejnych latach.

Anna Młynarz

Katarzyna Jaruzel

Naukowe Koło Terapeutów ISE UO

Ten mecz wygrali artyści

Rozstrzygnięto konkurs na pomnik legendarnego trenera polskich futbolistów Kazimierza Górskiego, na który prace zgłosiło 36 rzeźbiarzy – wśród nich **prof. dr hab. Marian Molenda** z Instytutu Sztuki UO, którego projekt jurorzy zakwalifikowali do finałowej rozgrywki. Jak przyznał przewodniczący jury **Jacek Kucaba**, prezes Związku Polskich Artystów Plastyków – jurorzy głosowali dwukrotnie (w dziewięcioosobowym jury zasiadli także m.in.: syn wybitnego trenera **Dariusz Górski**, przedstawiciel piłkarzy – były reprezentant Polski **Lesław Ćmikiewicz** oraz były minister kultury **Waldemar Dąbrowski**).

Zwyciężył projekt autorstwa **Marka Maślańca**. Projekt Mariana Molendy zajął drugie miejsce. Ale asystent trenera Górskiego, a w latach 1989–1993 pierwszy selekcjoner kadry narodowej **Andrzej Strelau**, po ogłoszeniu decyzji jurorów, powiedział dziennikarzom: – Osobiście najbardziej przekonywała mnie poza trenera zaproponowana w modelu, który zajął drugie miejsce, czyli przedstawiająca pana Kazimierza z nogą na piłce i patrzącego przed siebie podczas treningu. To było dla niego charakterystyczne. Nie śmiałbym jednak podważać decyzji artystów, którzy znają się na tym lepiej ode mnie.

Projekt profesora Molendy wybrali też, większością głosów, internauci.

(bas)

Kazimierz Górski – projekt Mariana Molendy



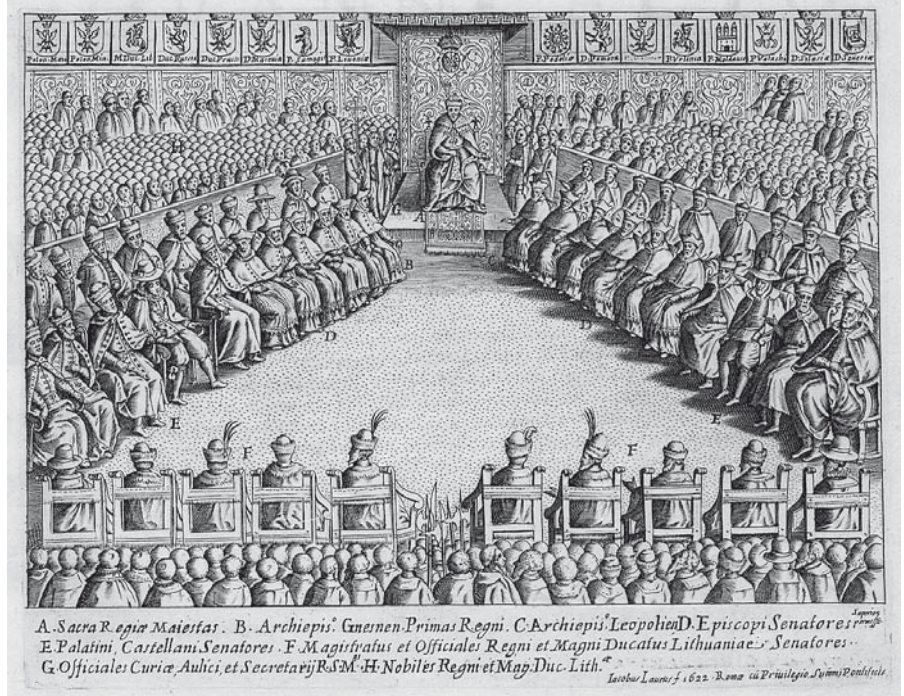
Włodzimierz Kaczorowski

Staropolska kadra poselska

Prowadzone przez badaczy polskiego parlamentaryzmu szczegółowe studia nad konkretnymi sejmami szlacheckiej Rzeczypospolitej pozwoliły ukazać organizację, porządek i technikę pracy sejmu, przebieg i rezultaty poselskich obrad, a także scharakteryzować stany sejmowe pod względem ich aktywności oraz frekwencji. W poszczególnych monografiach sejmowych zamieszczane były wśród aneksów imienne wykazy posłów wybranych na sejmikach przed rozpoczęciem danego sejmu, a także senatorów uczestniczących w jego obradach. Następnie, aby takie wykazy posłów i senatorów nie były celem samym w sobie, podjęte zostały próby przeprowadzenia analiz składów reprezentacji poselskich na poszczególne sejmy staropolskie, jak również statystycznego określenia na nich frekwencji poselskiej i senatorskiej.

Szczególnie doniosłą pozycję w dorobku badań nad polskim parlamentaryzmem stanowi spis koronnych posłów sejmowych z okresu Rzeczypospolitej szlacheckiej przygotowywany od kilku lat przez zespół badawczy pod kierunkiem Ireny Kaniewskiej, w skład którego wchodzi Wacław Uruszczak, Marek Ferenc, Janusz Byliński. Rezultatem pracy zespołu jest pierwszy tom tego opracowania, obejmujący okres ponad stu lat¹. Ramy chronologiczne tomu wyznaczają: rok 1493 uznawany w historiografii za datę pierwszego dwuizbowego sejmu oraz rok 1600, w którym odbył się ostatni w XVI w. sejm walny Rzeczypospolitej szlacheckiej. W latach 1493–1600, odliczając elekcje *virittim* i sejmy elekcyjne, które odbyły się po 1572 r., zwołano 95 sejmów zwyczajnych i nadzwyczajnych. We wstępie pierwszego tomu zawarta została zapowiedź publikacji kolejnych tomów spisu koronnych posłów sejmowych, obejmujących XVII i XVIII w.

Autorzy pierwszego tomu skoncentrowali się tylko na opracowaniu katalogu posłów koronnych, pomijając posłów Wielkiego Księstwa Litewskiego i zawiązując tym samym przedmiot badań i formułę tytułu publikacji, bowiem zdawali sobie sprawę, że aby *uzy-*



Sejm za Zygmunta III Wazy obradujący w Sali Senatorskiej na Zamku Królewskim w Warszawie, ryt. G. Lauro, 1622 r., miedzioryt, Biblioteka Narodowa w Warszawie, Zakład Zbiorów Ikonograficznych, nr inw. A 622/G. XVII/II 20

skąć całościowy ogólny parlamentaryzm powstałej w 1569 r. Rzeczypospolitej Obojga Narodów, nieodzowne jest opracowanie także spisu reprezentantów Wielkiego Księstwa Litewskiego (s. 5). Ze względu jednak na brak środków na równoległe prace dotyczące reprezentacji sejmowych koronnych i litewskich, zrealizowano tylko część zaplanowanych badań.

Opracowanie stanowi nowe, istotne osiągnięcie, wzbogacające dorobek polskiego parlamentaryzmu, rozszerza bowiem zakres dotychczasowych badań nad reprezentacją sejmową Korony z lat 1493–1600. Należy podkreślić, że Irena Kaniewska 40 lat temu zgromadziła w tabelarycznych wykazach dane dotyczące całej prawie ponad 500-osobowej kadry poselskiej Korony z lat 1548–1572, występującej na siedemnastu sejmach².

Autorom udało się ustalić 1706-osobową kadrę poselską Korony, przygotować listy poselskie dla każdego z 95 sejmów, uszeregowane według prowincji, a następnie województw, a także ziem, które związane z funkcjonującymi na ich terenie w XVI w. sejmikami przedsejmowymi.

² I. Kaniewska, *Małopolska reprezentacja sejmowa za czasów Zygmunta Augusta (1548–1572)*, „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Jagiellońskiego” CCCLI, Prace historyczne, z. 48, Warszawa-Kraków 1974, ss. 195.

¹ *Posłowie ziemscy koronni 1493–1600*, red. I. Kaniewska, Warszawa 2013, ss. 435.

Spis został opracowany zespołowo. Prof. dr hab. Wacław Uruszczaak opracował lata 1493–1548, prof. dr hab. Irena Kaniewska lata 1548–1572, dr hab. Marek Ferenc lata 1573–1586, a prof. dr hab. Janusz Byliński lata 1587–1600. Podkreślić należy znaczące osiągnięcia autorów, o których świadczy zarówno precyzyjne odtworzenie obrazu kadry poselskiej z lat 1493–1600, jak również wydobywanie z materiałów archiwalnych licznych istotnych informacji o posłach. Mimo zespołowego przygotowania spisu, sposób przedstawienia części publikacji opracowanych przez poszczególnych autorów odzwierciedla indywidualność ich stylu i warsztatu.

Zasadnicza część pracy (s. 34–409) zawiera wykazy posłów sporządzone według przyjętego schematu, który oprócz danych dotyczących każdego sejmiku i odbywających się sejmików przedsejmowych, obejmuje dane osobowe posłów usystematyzowane w sposób następujący: 1. nazwisko, imię, miejsce pochodzenia, herb rodowy, daty życia, ewentualnie przypuszczalną datę śmierci (powyższe informacje wprowadzono wówczas, gdy nazwisko danego posła występowało po raz pierwszy; w powtórnych i kolejnych posłaniach podawano tylko nazwisko i imię); 2. informacja o wykształceniu posła; 3. wyznanie posła – wyznawca katolicyzmu, prawosławia czy wyznań reformowanych; 4. i 5. informacje o działalności sejmowej posła; 6. liczba wystąpień posła w izbie poselskiej z zasygnalizo-

waniem poruszonego tematu; 7. zestawienie funkcji i czynności powierzanych posłowi na danym sejmie; 8. informacje o czynnościach posła pełnionych z upoważnienia sejmu już po zamknięciu sejmu. Przy każdym z powyższych punktów autorzy starali się w nawiasach podać źródło pochodzenia danej informacji, pieczołowicie wykorzystując źródła i literaturę. Szczególna trudność opracowania takich danych koronnych parlamentarzystów wiąże się z tym, że niejednokrotnie autorzy nie odnajdywali w źródłach i literaturze przedmiotu informacji odnoszących się do poszczególnych punktów charakteryzujących posła, określających jego działalność na forum sejmu lub poza nim. Dlatego rzadko się zdarza, aby przy zestawionych nazwiskach posłów zawarte były pełne informacje odnoszące się do wszystkich punktów, pomimo że autorzy przygotowali biogramy poselskie na podstawie ogromnego materiału archiwalnego, co należy szczególnie docenić.

Szczególny walor przygotowanej w sposób wysoce kompetentny publikacji stanowi zarówno imponująca podstawa źródłowa, jak i kompleksowe, precyzyjne odtworzenie obrazu kadry poselskiej z lat 1493–1600. Monografię należy ocenić jako pozycję wartościową naukowo i godną polecenia zarówno dla przedstawicieli nauk historycznych i prawniczych, politologicznych, jak i wszystkich interesujących się szeroko rozumianą problematyką staropolskiego parlamentaryzmu.

Aleksander Woźny

To nie jest książka spod igły

W 2013 r. ukazała się książka Marka Łuszczyny pt. „Igły”. *Polskie agentki, które zmieniły historię*, Warszawa 2013. Autor (rocznik 1980) jest reporterem i dziennikarzem. Pracował – według informacji z czwartej strony okładki, m.in. dla „Dużego Formatu”, „Gazety Wyborczej”, „Życia Warszawy”, „Bluszcza”, „Chimery”, „Pressu”, radiowej Trójki i Fundacji im. Zofii Rydelt. Wydawca publikacji dla przyciągnięcia uwagi czytelnika, reklamuje kobiety – agentki, które wybrał autor jako: *Dyskretne, sprytne, bezwzględne i precyzyjne – niczym ze słynnej powieści Kena Folletta*. Kontynuując wątek, charakteryzuje je tak: *Agentki, które pracowały dla polskiego – ale też brytyjskiego lub hitlerowskiego wywiadu; rodowite Polki i kobiety, dla których Polska stała się nową ojczyzną. Aristokratki, żony dyplomatów, córki przedsiębiorców, troskliwe panie domu i przedwojenne feministki, dojrzałe i opiekuńcze matki i nastolatki, którym ledwo starczało siły, by przeladować pistolet [...]. Zostały szpiegami z pobudek patriotycznych i wewnętrznej potrzeby, a czasem przez przypadek, wrodzoną naiwność lub ślepe miłość*

[...]. *Te, które ocalały, czekała po wojnie cęła w więzieniu UB lub ciężki los na emigracji. Halina Szymańska przekazywała aliantom informacje wprost ze sztabu generalnego Wehrmachtu [...].*

Trzeci epizod w *Igłach* nosi tytuł *Matka noc. Opowieść o Halinie Szymańskiej* (str. 24). Tytuł w części został zapewne zapożyczony przez autora z amerykańskiego filmu wojennego z 1996 r. pt. *Matka noc (Mother Night)* w reżyserii Keitha Gordona. Film był ekranizacją powieści Kurta Vonneguta, który zadeedykował Macie Hari. Po raz pierwszy książka została wydana w 1961 r. Jej tytuł zaczerpnął z *Fausta* Goethego. Książka i obraz filmowy relacjonują los fikcyjnego pisarza amerykańskiego Howarda Campbella Jr., który w 1938 r. został zwerbowany w Berlinie przez wywiad amerykański. Pracował w hitlerowskim Ministerstwie Oświaty Publicznej i Propagandy Rzeszy, a w radiowych audycjach słuchanych w Rzeszy i transmitowanych do Stanów Zjednoczonych przekazywał zaszyfrowane informacje wywiadowi tego państwa.

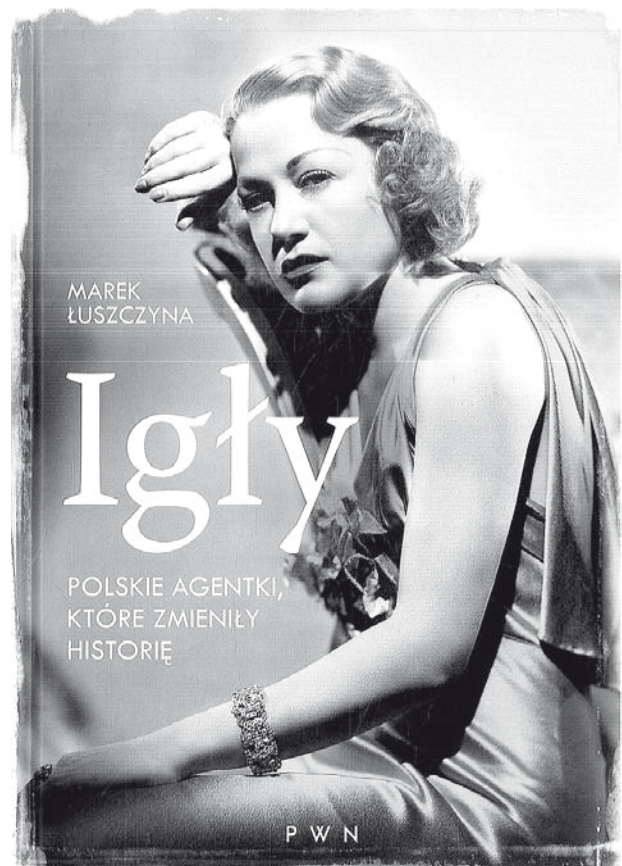
Nie wiadomo, dlaczego Marek Łuszczyna tak za-

tytułował epizod o żonie polskiego attaché wojskowego w Berlinie, majora, potem podpułkownika dyplomowanego Antoniego Szymańskiego, który pełnił w latach 1932–1939 oficjalną misję dyplomatyczno-wojskową. Nic tutaj nie pasuje... Campbell Jr. był amerykańskim agentem, przekazującym w antyżydowskich audycjach do centrali przemysłnie zakamuflowane informacje. Natomiast Halina Szymańska znalazła się w Berlinie z konieczności, towarzysząc od 1932 r. mężowi, który objął dyplomatyczną, wojskową placówkę zagraniczną. Przede wszystkim prowadziła dom i wychowywała trzy córki. Uczestniczyła ponadto wraz z mężem w różnorodnych spotkaniach oficjalnych, bywała na wielu półoficjalnych i prywatnych wizytach, a także przyjmowała gości w ich berlińskim mieszkaniu w dzielnicy Charlottenburg.

Na pierwszy rzut oka założenie publikacji jest przejrzyste – opowieści o kobietach szpiegach. Nie ma tutaj odautorskiego wstępu, w którym powinny znaleźć się stosowne wyjaśnienia co do przyjętej konstrukcji i konwencji publikacji. Autor wybrał formułę opowieści, ale czy dowolnych (może fikcyjnych) w treści przekazu? Rzeczywiście, kanwą są intrygujące przypadki kobiet agentek-szpiegów, nie tylko Polek, przed i w czasie II wojny światowej. Byłoby to do przyjęcia, ale na stronie redakcyjnej widnieje zapis, iż konsultantem merytorycznym książki jest historyk Konrad Paduszek, zajmujący się dziejami XX w. Być może autor nie usłuchał jego sugestii – to tylko przypuszczenie...

Książka utrwała mity o przedwojennych i wojennych losach Haliny Szymańskiej. Licznych błędów – pisząc o niej – nie ustrzegł się w 1983 r. brytyjski historyk Nigel West. Potem w 1987 r. poświęcił jej artykuł Andrzej Konieczny, w którym uwypuklił – zresztą błędnie – postać płk. gen. Hansa Oстера (zamiast adm. Wilhelma Canarisa), jednego z szefów niemieckiego wywiadu wojskowego – Abwehry. W 1987 r. po rozmowach z bohaterką – jej los opisał znany opolanom (gościł kilkakrotnie na uniwersytecie) dr Józef Garliński. Na początku lat dziewięćdziesiątych XX w. wspominał o niej w złym świetle – oskarżenie o współpracę z niemieckim wywiadem wojskowym – historyk Michael Fedrowitz.

W opowieści Marka Łuszczyny znajdujemy niezgodną z faktami narrację. Na stronie 59 autor podał na przykład, że Halina Szymańska była: *jednym z najważniejszych szpiegów drugiej wojny światowej*. Tymczasem nie była szpiegiem, dopiero od przybycia do Berna wykonywała liczne misje łącznikowe do wyższych funkcjonariuszy Abwehry, potem także do francuskiego ruchu oporu (siatka F 2) pod pseudonimem Cleant. Na stronach 59–60 była nawet *superszpiegiem*, ale do chwili opuszczenia Berlina w 1939 r. *jeszcze nie wie, że nim zostanie*. Dalej autor pisze (s. 61), że gościem Szymańskich w prywatnym apartamencie był Hans Bernard Gisevius. To niemożliwe, nie figurował na znanych mi prywatnych listach gości do 1939 r. Był funkcjonariuszem Tajnej Policji Państwowej (ge-



Okładka książki Marka Łuszczyny, „Igły”. *Polskie agentki, które zmieniły historię*, Warszawa 2013

stapo), potem współpracownikiem W. Canarisa. Ponieważ miał zbieżne z nim poglądy został ściągnięty do Abwehry, ale pracował na niższym szczeblu w centrali. Na str. 66 córka państwa Szymańskich – Hania (Haneeczka) uzyskała status najmłodszej. W rzeczywistości była najstarsza (zmarła po wojnie, w Szwajcarii), najmłodsza była Marysia, a średnia to Ewa. Ze str. 69 dowiadujemy się, że w drugiej połowie sierpnia 1939 r. żona attaché wraz z córkami została odesłana do Poznania, gdyż w każdej chwili mogła wybuchnąć wojna. W rzeczywistości – wyjazd nastąpił kilka tygodni wcześniej. Na następnej stronie (70) znajduje się informacja, że attaché 24 sierpnia otrzymał depezę *zakazującą rezydentom opuszczenie Berlina* (26 sierpnia miał nastąpić atak Wehrmachtu na Polskę; pierwszy termin). Oficjalny wojskowy dyplomata nie był rezydentem wywiadu, choć Referat Attaches znajdował się w gestii Oddziału II Sztabu Głównego, podobnie było również w wywiadzie wojskowym Wehrmachtu. Ponieważ wypełniał oficjalną misję dyplomatyczną na terytorium zachodniego sąsiada – musiał pozostać do momentu ewakuacji na terenie Ambasady RP. Halina Szymańska z córkami latem była już w rodzinnej miejscowości na terenie województwa łódzkiego, a nie jak pisze autor: *u rodziny pod Lublinem*. Pojechała tam nieco później, pod wpływem niekorzystnych wiadomości po przerwaniu frontu w bitwie granicznej. Kolejne ciekawe stwierdzenie M. Łuszczyny (s. 70): *2 września [...] cały dzień usiłuje dodzwonić się do męża. Nie wie,*



Halina Szymańska z córką Hanią. Berlin 1930 r. (zdjęcie publikowane po raz pierwszy, z archiwum rodzinnego Marysi i Ewy Szymańskich)

czy został aresztowany, stracony, czy odwołany do Polski. Tego dnia, a także i później nie miała najmniejszej szansy porozumieć się z nim, gdyż łączność z Polską przerwali Niemcy już w nocy z 30 na 31 sierpnia 1939 r. (drugi termin wybuchu wojny – 1 września 1939 r.). Jako żona dyplomaty musiała wiedzieć, że nie mogło mu się nic złego stać – był przedstawicielem RP i dziekanem korpusu attache w Berlinie, chroniły go konwencje i prawo międzynarodowe. Nie został odwołany wraz z innymi oficerami (byli kawalerami, m.in. attaché lotniczy mjr Adam Kowalczyk i pomocnik, Ślęzak z Rybnika, kpt. Lech Biały), podobnie jak ambasador Józef Lipski. Pozostali w Berlinie. Nie wiadomo na jakiej podstawie autor opiera stwierdzenie: *ale Szymański [...]. Nie znosi Lipskiego [...].* W rzeczywistości – obaj byli poznańcami i doskonale się znali. Nie ma dowodu na to, że się nie znosili. To wymysł. Z pewnością Lipski nie in-

formował Szymańskiego o szczegółach swojej pracy, co nie oznacza, że nie wymieniali poglądów w kwestiach zbieżnych. Ambasador RP raporty dyplomatyczne przekazywał pocztą dyplomatyczną do MSZ do Józefa Becka, a Szymański – szefowi Sztabu Głównego przez szefa Oddziału II SG. Znany jest kadr z 1943 r. ze spotkania Szymańskiego z ówczesnym ppor. J. Lipskim. Gdyby się *nie znosili* – nie witaliby się radośnie na lotnisku w Kairze. Nie ma mowy tutaj o tzw. pozorach, fotografia oddaje autentyczny nastrój. Autor (s. 70) nie ma kompletnie pojęcia o funkcjonowaniu służby dyplomatycznej na wypadek wojny – wspomina o *decyzji ewakuacji ambasady* z Berlina. Takie polecenie nie mogło paść. Zresztą podobnie postępowali Niemcy w odniesieniu do swojej ambasady w Warszawie. Polscy dyplomaci opuścili Berlin 3 września 1939 r. pociągiem, który zmierzał w kierunku granicy duńskiej, gdzie musiał czekać dwa dni. W tym czasie niemiecki pociąg dyplomatyczny zatrzymał się w pobliżu granicy z Prusami Wschodnimi, aż polskie służby odnalazły dwóch zaginionych pracowników konsularnych. Informacja autora, że 4 września *zostanie wysłana z Warszawy* depesza o ewakuacji Ambasady RP jest przekłamaniem. Tego dnia zwarty front polski już nie istniał, a dywizje pancerne Wehrmachtu parły na Warszawę (najbliżej do stolicy miała 4. DPanc, która zaatakowała Polskę z rejonu Kreuzburg/Kluczborck).

Kolejna nieprawdziwa informacja ze str. 70 to ta, jakoby Halina Szymańska posiadała w domu notes z telefonami *hitlerowskich dygnitarzy*. Z pewnością zachowała w pamięci niektóre nazwiska gości, którzy bywali w ich prywatnym mieszkaniu na tzw. herbatkach i przyjęciach oficjalnych. Jednak do bajek należy zaliczyć przekaz autora, że podczas wojny dodzwoniła się (s. 70) z okupowanej Polski do siedziby Abwehry w



Defilada Wehrmachtu w Norymberdze, rok 1937. Płk dypl. Antoni Szymański – drugi z prawej (zdjęcie z archiwum rodzinnego Ewy i Marysi Szymańskich)



Gen. w st. spocz. Antoni Szymański z córką Marysią i wnuczętami (dzieci córki Ewy) w Londynie, 1963 r. (zdjęcie publikowane po raz pierwszy, z archiwum rodzinnego Ewy i Marysi Szymańskich)

Berlinie [sic!]. Numery telefonów do niemieckich instytucji wojskowych i dyplomatycznych posiadał kierownik kancelarii attachatu w stopniu chorążego Wojska Polskiego (także poznańczyk). Nawet attaché nie miał dostępu do bezpośredniego biurowego numeru telefonu szefa Abwehry Wilhelma Canaris. Szef kancelarii, co najwyżej, mógł się połączyć z adiutanturą szefa Abwehry. Z całą pewnością 10 września 1939 r. Haliny Szymańskiej nie było w Poznaniu w jej domu w dzielnicy Jeżyce (s. 71). W rzeczywistości był to dom rodzinny jej męża, w dzielnicy Grunwald. Nadal mieszkają w nim Szymańscy. Marek Łuszczyna napisał, że Halina Szymańska rzekomo wsiadła do samochodu z oznaczeniami Wehrmachtu. Wówczas sytuacja niemożliwa – tego dnia Haliny Szymańskiej nie było w Poznaniu. Tego dnia również Wilhelm Canaris nie mógł być w Poznaniu, gdyż podróżował z Adolfem Hitlerem w pociągu sztabowym „Amerika” na zapleczu frontu polskiego. Pociąg ten kilka dni stał na stacji kolejowej Ilnau (Jełowa, koło Opeln\Opole).

Tymczasem Halina Szymańska poszukując wiadomości o mężu, w październiku 1939 r., już po ustaniu działań wojennych – zaczęła w Lublinie na ulicy przypadkowo spotkanego oficera Wehrmachtu (niektórzy historycy wymieniają jego nazwisko, ale bez imienia); tenże wysłuchał jej, gdyż doskonale znała język niemiecki. W trakcie dalszej rozmowy ujawniła, że zna adm. Wilhelma Canarisa (nie wiedziała, jaką od-

grywał rolę w Wehrmachcie). Jak się potem okazało officer, z którym rozmawiała był kadrowym pracownikiem Abwehry. Prosił, by zachciała poczekać do momentu, aż się z nią skontaktuje. W tym czasie officer zameldował Canarisowi o tym zdarzeniu. Podczas kolejnego spotkania zaproponował jej, że zamiast do Warszawy odwiezie ją z córkami do Poznania, gdzie będzie jej łatwiej dowiedzieć się o los męża. W Poznaniu zamieszkała w domu rodzinnym męża i dopiero od tego momentu zakwaterowany został do ochrony oddelegowany officer Abwehry, gdyż wcześniej SS\gestapo rozstrzelało brata jej męża, który figurował na liście proskrypcyjnej. Na początku listopada Canaris spotkał się „przypadkowo” z Haliną Szymańską w Poznaniu i zaprosił do budynku byłego Konsulatu III Rzeszy. Nadużyciem Marka Łuszczyna jest to, iż napisał o spotkaniu z Haliną Szymańską w hoteliku *gdzieś w Wielkopolsce* (s. 71). Z całą pewnością nie towarzyszył mu wówczas w rozmowie Hans Gisevius, którego po-

tem Canaris zainstalował na stanowisku wicekonsula III Rzeszy w Zurychu do kontaktów z wywiadem amerykańskim. W trakcie późnowieczornej rozmowy Wilhelm Canaris zasugerował jej wyjazd do Szwajcarii. Podczas rozmowy wyraził bardzo krytyczny sąd co do niemieckich metod postępowania w czasie wojny i okupacji w Polsce. Około połowy grudnia inny officer Abwehry przewiózł Halinę Szymańską i córki do Berlina. Zakwaterowane zostały u hiszpańskiej rodziny. Po kilku dniach Szymańska udała się pociągiem do Düsseldorfu. Stąd pod opieką oficera Abwehry samochodem wyjechała z córkami ku granicy szwajcarskiej. W trakcie jej przekraczania nie było problemów i w ciągu kilku godzin dotarła do Berna, do Poselstwa RP (nie ambasady – jak pisze autor na str. 72.). Tymczasem na stronie 72. czytamy: *Kilka dni później [wrzesień] Szymańska wraz z córkami wysiadła z samolotu na lotnisku w Bernie.*

Marek Łuszczyna nie odróżnia ambasady od konsulatu: *Kiedy Szymańska przekracza próg ambasady, słyszy od konsula RP, że wszystko jest przygotowane dla żony byłego berlińskiego attaché.* Nikt wówczas nie wiedział, gdzie jest ppłk A. Szymański, nikt poza tym nie powiadomił poselstwa, że Halina Szymańska przyjedzie. Ona sama nie sądziła, że z okupowanej Polski trafi do wolnej Szwajcarii. Nikt nie czekał na nią na dworcu w Bernie. Kolejną niedorzecznością jest rzekomy telefon Haliny Szymańskiej do Berna po poznań-

skim spotkaniu z Wilhelmem Canarisem. Skąd? Z Poznania czy z Berlina? Wszystkie rozmowy z obszaru okupowanego, krajowe i międzynarodowe były w trakcie wojny kontrolowane przez specjalne biuro podsłuchowe SS\SD. Jak pisze autor, jeden z konsulów (posłem RP był Tytus Komarnicki, I sekretarzem Stefan Ryniewicz, attaché Stanisław Nahlik) *Henryk Kwiatkowski, przedstawiciel polskiego wywiadu wojskowego, jest gotowy na rozmowę z Haliną* (s. 72). W rzeczywistości oficerem, który ją przyjął był kpt. Szczęśny Chojnacki, także poznańczyk. Od niego dopiero dowiedziała się kim był Wilhelm Canaris. Warto dodać, że córki państwa Szymańskich do chwili obecnej wyrażają się o Szczęśnym z największą atencją. Pod koniec grudnia Szymańska pojechała wraz z Chojnackim do Paryża na rozmowę z komendantem głównym Związku Walki Zbrojnej gen. Kazimierzem Sosnkowskim i szefem polskiego wywiadu wojskowego ppłk. dypł. Tadeuszem Wasilewskim (jego poprzednik, płk dypł. Józef Smoleński został odwołany ze stanowiska przez naczelnego wodza Polskich Sił Zbrojnych we Francji, gen. Władysława Sikorskiego). Podpułkownik Wasilewski podjął decyzję, by skontaktowała się z wywiadem brytyjskim, który przejął prowadzenie operacji. Natychmiast ustalono jej gażę i zaopiekowano się córkami. Oficjalnie Halina Szymańska została urzędniczką – maszynistką w jednym z biur Poselstwa RP.

To, co pisze Marek Łuszczyna od s. 72 nie jest nawet opowieścią – to zupełna fikcja. Polka spotkała się z Canarisem po raz pierwszy po kilku dniach od powrotu z Paryża. Szef Abwehry mówił ogólnie o sprawach politycznych i wojskowych. (Według Nigela Westa: *Canaris w dużej mierze był właściwie szpiegiem MI6*). Przed końcem stycznia 1940 r. doszło do drugiego i ostatniego kontaktu z Canarisem, ale na terenie Włoch, w Mediolanie. Tutaj zakomunikował jej, że dalszą łączność utrzymywać będzie H. Gisevius (spotkanie Giseviusa 3 stycznia 1940 r. w parku nad zamkniętą rzeką Aare, opisane na stronie 73 to fikcja). Na stronie 61 Marek Łuszczyna podał, że w 1939 r. odwiedziła w Londynie *szefa wszystkich szefów* Stewarda Menzisa (gen. major, w latach 1939–1952 dyrektor generalny Tajnej Służby Wywiadowczej – MI6, szef operacji wywiadowczych Wielkiej Brytanii w czasie II wojny światowej). Nie sądzę, żeby Menzis miał zwyczaj rozmawiać z nieznanymi mu osobami, które dopiero miały się wykazać w służbie wywiadowczej Jego Królewskiej Mości. A Halina Szymańska nie była klasycznym szpiegiem ani agentką. Nigel West napisał w 1983 r. [...] *to ona była łączniczką między Canarisem i jego brytyjskimi kontaktami*. Spotkanie ze Stewardem Menziszem to kolejna fikcja literacka. Nie mogła także mieć miejsca jej dyskusja (s. 61–62) z szefem wywiadu brytyjskiego na temat Związku Sowieckiego, a przede wszystkim na temat siły militarnej i wartości Armii Czerwonej. Fikcją jest także rozmowa z francuskimi oficerami wywiadu. Nie знаła się na sprawach wojska i do 1939 r. nie wypowiadała się na te tematy



W kasynie poligonowym 55. pp, 14. DP (1935 r.). Kpt. Szczęśny Chojnacki – pierwszy z prawej (zdjęcie z teki kpt. Ignacego Szora)

w obecności męża, później zresztą też. Kwestie te były domeną wojskowych wyższych szczebli. Autor mija się z prawdą, pisząc (s. 77), że Antoni Szymański, awansowany po wojnie do stopnia generała, nie interesował się córkami. Nie mógł nic uczynić, choć starał się bardzo, by uratować życie starszej córki Hani. Znam te sprawy z relacji pani Marysi Szymańskiej. Po wojnie mieszkał z nimi dłuższy czas. Zamieszczam po raz pierwszy fotografię gen. w st. spocz. A. Szymańskiego spacerującego w centrum Londynu z młodszą córką Marysią i wnuczkami (dzieci córki Ewy). Córki miały także bardzo dobry kontakt ze swoją mamą Haliną, bywały w jej domu. W jakiś czas po wojnie, po rozstaniu z mężem – Halina Szymańska poślubiła gen. Kazimierza Wiśniowskiego, byłego szefa sztabu II Korpusu Polskiego PSZ, zmarłego w 1964 r.

Historycy piszą: *Nie można mieć [jej] za złe, że zgodziła się na tę [łącznikową] współpracę*. Każdy Polak postąpiłby, być może, podobnie. Nie była szpiegiem, gdyż nie przekazywała rezydentom wywiadu III Rzeszy informacji o aliantach. Wilhelm Canaris nie prosił ją zresztą o żadne informacje o sprzymierzonych. Natomiast admirał – przekazywał jej *przemysłane niedyskrecje*. Książka Marka Łuszczyny, sensacyjna i nieprzemysłana, zawierająca także multum błędów w innych „opowieściach”, utrwała błędne stereotypy w odniesieniu do Haliny Szymańskiej. Kobieta-agent, która nie przekazywała drugiej stronie informacji, czy mogła być szpiegiem?

Półka Sułka

Nie potrafię tańczyć tanga

Nie potrafię tańczyć tanga, jednak taniec ten, w niezrozumiały do dzisiaj sposób, zawsze fascynował mnie i wydawał mi się czymś więcej niż tylko tańcem. Bo jest i rozmową, opowiadaniem czy bardziej prezentowaniem siebie, a zarazem aktem prawie miłosnym. Tańczony w parze, a jednak podkreślający bardzo męską czy wręcz samczą dominację – jak w tytule najnowszej powieści Arturo Perez-Reverte *Mężczyzna, który tańczył tango*. To rzeczywiście mężczyzna prowadzi, próbuje zdobyć partnerkę, a jednak – jak pokazuje książka – rola kobiety, jej siła w tangu, jest równie mocna jak mężczyzny. Zatem tango jako relacja, miłość, pożądanie... Życie po prostu.

Powieść mocno tkwi w kulturze (tradycji) macho i corridy, która do dzisiaj wydaje się nie poddawać feminizacji, a zwłaszcza modnym ostatnio genderowym wpływom, co może drażnić, a co bez wątplenia należy podczas lektury uwzględnić. Nie wdając się jednak w tym miejscu w szczegółowe rozważania na ten temat, wspomnę tylko, że sam autor w wywiadzie dla polskiej telewizji wyraził obawę, że swoimi wypowiedziami może utracić część czytelników w Polsce, zwłaszcza tę bardzo katolicką. Miał na myśli sceny erotyczne. Jak sam podkreśla – ich dosłowność jest konieczna, jednak nie ma to nic wspólnego z tanią erotyką czy wręcz pornografią. Ich obecność w takiej formie dyktuje fabuła i nie ma mowy o porównywaniu ich z popularnymi ostatnio *Pięćdziesięcioma twarzami Greya*, które na erotyce głównie się skupiają. Zdolność Perez-Reverte do zachowywania dobrych proporcji pomiędzy różnorodnymi elementami, z jakich zbudowane są jego powieści, to jego niewątpliwy atutem. To doskonale ustawia perspektywę kulturową tej powieści (a także części pozostałych książek autora, o których jeszcze wspomnę), której bohaterem jest fordanser, co już rzuca nowe światło na tytuł. A dalej? Dalej jest wszystko to, z czego Perez-Reverte słynie. A więc miłość, pożądanie, romans, sensacja, dramat, odrobina polityki, szachy (odnośnie tych ostatnich, godna polecenia jest jego *Szachownica flamandzka*) i morze (pisarz to zapalony żeglarz, a jedną z najlepszych powieści z morzem w roli głównej jest *Cmentarzysko bezimiennych statków*). Tu, na transatlantyku, bohater uwodzi żonę kompozytora (tango, a jakże!), co jednak jest tylko punktem wyjścia dla powieści. Czymś, co pomimo ulotności, odcisnie swoje piętno na życiu obojga. Odwołując się ponownie do słów pisarza – jest to książka o starości, a właściwie o starzeniu się.

Arturo Perez-Reverte to autor, za którym stoi całym spory dorobek literacki. A tworzą go nie tylko powieści. Pisarz był przez wiele lat reporterem wojen-

nym – akcją jednej z powieści, *Terytorium Koman-czów*, umieścił w środowisku reporterskim, można więc potraktować ją jako nieco autobiograficzną (tytułu nie trzeba odczytywać dosłownie – to określenie miejsca, z którego każdy zdrowo myślący, także reporter, powinien zawrócić). Jest także publicystą i komentatorem politycznym, wydaje też zbiory swoich felietonów i artykułów prasowych.

Mimo że nazwisko pisarza, zwłaszcza u nas, stało się znane po ekranizacji powieści *Klub Dumas* – tak powstał głośny film w reżyserii Romana Polańskiego pt. *Dziwne wrota* (tu widać, że autor sięga także po inne stylistyki, w tym przypadku horror czy też powieść grozy), cyklem, który budzi moje największe uznanie (pewnie budząc nostalgie i sentymenty własnych lektur minionych, a może nie tylko lektur?) i absolutnie wart jest polecenia, są przygody kapitana Alatryste. Seria składa się z siedmiu książek (ostatnia jeszcze nie została przetłumaczona, niestety): *Kapitan*



Arturo Perez-Reverte, *Mężczyzna, który tańczył tango*, Społeczny Instytut Wydawniczy Znak 2013

Alatriste (El capitán Alatriste) (1996, wyd. pol. 2004), *W cieniu inkwizycji (Limpieza de sangre)* (1997, wyd. pol. 2004), *Słońce nad Bredą (El sol de Breda)* (1998, wyd. pol. 2005), *Złoto króla (El oro del rey)* (2000, wyd. pol. 2005), *Kawaler w żółtym kaftanie (El caballero del jubón amarillo)* (2003, wyd. pol. 2006), *Korsarze Lewantu (Corsarios de Levante)* (2006, wyd. pol. 2009), *El puente de los Asesinos* (2011).

Tę serię porównano do hiszpańskiego odpowiednika *Trzech muszkieterów* (nie bez wpływu jest tu zapewne fakt, iż akcja obu powieści toczy się w tej samej epoce) i jest w tym wiele racji, ale to zbyt wielkie uproszczenie i skwitować ją tylko tym porównaniem byłoby na zbyt krzywdzące. Jest tu wszystko, co powinno w powieści przygodowo-historyczno-romantycznej być, ale i coś ponadto. Coś, co wynika zarówno z młodzieńczej pasji i miłości do dawnych epok i ich bohaterów (autor jako ulubionych autorów książek dzieciństwa wymienia zarówno Dumasa, jak i Stevensona czy Conrada), ale i historii własnej ojczyzny, którą Perez-Reverte

stara się oddać ze starannością. Wyraźnie też widać, że przygody kapitana Alatriste powstały współcześnie i pomimo dbałości o realia z epoki, ma ów bohater wiele z Brudnego Harry'ego. To nieco cyniczny stary wyga, którego niepokorność, krwistość i kościstość odstaje znacznie od wizerunku wymuskanego szlachcica, chociaż, jak mówią, *zachować się umie*. Czytelnik czuje wyraźnie, że kapitan Alatriste jest bardzo bliski autorowi, że pisarz wchodzi niejako w jego skórę i sam przeżywa wszystkie przygody swojego bohatera. Te, które zapewne przeżywał w wyobraźni, gdy będąc chłopcem, czytał powieści awanturnicze. Przygody, które większość chłopców w wyobraźni przeżywa i o których marzy: być bohaterem, przemierzać obce kraje i kontynenty, walcząc – w imię honoru, prawdy i przyjaźni – ze złem i nieprawością. Oczywiście podbija też serca niewieście, a przynajmniej jedno.

I porwać je do tanga? Bez wątpienia.

Witold Sułek

Noty o autorach:

Dr Dorota Barcik – zastępca redaktor naczelnej internetowego czasopisma filozoficznego „Tekstoteka Filozoficzna”. Autorka artykułów z zakresu historii filozofii niemieckiej XX wieku.

Jan Cofałka – politolog, publicysta, współpracujący z miesięcznikiem „Śląsk”. Były wiceprezes i sekretarz generalny Towarzystwa Przyjaciół Śląska w Warszawie, a także pracownik Kancelarii Sejmu i redaktor w Wydawnictwie Sejmowym. Autor książek: *Księga Ślązaków* (2009), *Ślązacy w Warszawie* (2008), *Ślązacy i Kresowiaczy* (2011), inicjator wydania książki *Edmund Jan Osmańczyk. Dziennikarz – publicysta – parlamentarzysta we wspomnieniach bliskich i przyjaciół* (2004).

Tomasz Czajka – student Instytutu Socjologii UO (specjalizacja: regionalizm i samorząd), przewodniczący Studenckiego Koła Naukowego Politologów UO.

Wojciech Dindorf – absolwent fizyki WSP w Opolu (1957). Nauczyciel matematyki i fizyki w liceach (kolejno): Legnicy, Nowego Jorku, Opola, Wiednia; wykładowca fizyki doświadczalnej na WSP w Opolu (1956–1966, 1972–1975), WSI w Opolu (1975–1980), Uniwersytecie w Wiedniu (1996–2000); egzaminator międzynarodowej matury z fizyki w jęz. angielskim, hiszpańskim i francuskim (od 1984-); juror na Międzynarodowych Turniejach Młodych Fizyków; redaktor „Mojej Fizyki” – internetowego magazynu dla nauczycieli; autor publikacji, podręczników i zbiorów zadań z fizyki i wierszy o tematyce fizycznej i nie tylko; członek Chóru Medyka (bas) od 2012 r.

Jerzy Duda – emerytowany nauczyciel, b. kurator oświaty i wychowania w Opolu, autor wielu publikacji dotyczący historii oświaty w woj. opolskim.

Jan Feusette – absolwent polskiej WSP (studia w latach 1966–1971), dziennikarz miesięcznika „Opole” (1972–1993), w latach 1982–1990 kierownik literacki Teatru im. J. Kochanowskiego w Opolu, potem jego dyrektor naczelny i artystyczny (1992–1996). Od 1996 do 2012 starszy wykładowca w Instytucie Nauk Pedagogicznych UO, od 1999 do 2011 dyrektor Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej w Opolu, redaktor naczelny „Stron” (2009–2012). Autor ok. 200 artykułów, głównie o literaturze i teatrze. Ostatnio wydał tom wierszy *Sprawa gardłowa*.

Prof. dr hab. Stanisław Gajda – pracownik naukowy Katedry Języka Polskiego Instytutu Polonistyki i Kulturoznawstwa UO. Członek wielu organizacji naukowych, m.in. Międzynarodowego Komitetu Słowistów, Komitetu Językoznawstwa PAN, Komitetu Słowianoznawstwa PAN, Rady Języka Polskiego, Rady Naukowej Instytutu Języka Polskiego PAN, Rady Naukowej Instytutu Badań Literackich PAN. Członek korespondent PAN. Zainteresowania badawcze: język polski, języki słowiańskie (teoria i historia języka, onomastyka, socjolingwistyka, teoria tekstu, stylistyka, leksykologia i kultura języka).

Kordian Gawlik – student II roku politologii, studia magisterskie (specjalizacja: marketing polityczny), członek Studenckiego Koła Naukowego Politologów UO.

Ks. dr Konrad Glombik – adiunkt w Katedrze Teologii Moralnej, Etyki Społecznej i Duchowości Wydziału Teologicznego UO.

Jan Goczoł – poeta, publicysta, absolwent opolskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej, autor książek poetyckich: *Małgorzata* (1961), *Topografia intymna* (1961), *Sprzed drzwi* (1969), *Manuskrypt* (1974), *Poezje wybrane* (1985), *Znad Odry* (1996), *Zapisy śladowe* (1999), *Z pogorzeliśka* (2011) i felietonów literackich *Na brzoźowej korze* (2000).

Zbigniew Górniak – dziennikarz. Obecnie pracuje w Dziale Promocji UO. Prowadzi zajęcia z dziennikarstwa prasowego, współpracuje z „Nową Trybuną Opolską” i Radiem Opole. Felietonista, autor trzech powieści wydanych m.in. przez WAB i Wyd. Prószyński i s-ka.

Andrzej Hamada – nestor opolskich architektów, urodzony w Gdańsku znawca historii Opola, w którym mieszka od ponad sześćdziesięciu lat.

Prof. dr hab. Włodzimierz Kaczorowski – pracownik naukowy Wydziału Prawa i Administracji UO. Jego badania naukowe dotyczą głównie dziejów powszechnych i Polski XV-XIX wieku, zwłaszcza parlamentaryzmu, wymiaru biologicznego w badaniach historyczno-prawnych oraz biografistyki.

Dr hab. Bartłomiej Kozera, prof. UO – pracownik naukowy Instytutu Filozofii UO. Tematyka badań: filozofia średniowieczna i jej współczesne kontynuacje, filozofia Boga i filozofia religii, filozofia społeczna.

Prof. dr hab. Stanisław Nicieja – historyk (biografistyka najnowszych dziejów Polski, historia najnowsza), urzędujący rektor Uniwersytetu Opolskiego (wybrany na to stanowisko po raz trzeci), współautor filmów dokumentalnych, autor kilkunastu książek, m.in.: *Cmentarz Łyczakowski we Lwowie 1786-1986*; *Cmentarz Obrońców Lwowa*; *Z Kijowa na Piccadilly. Wokół biografii Tadeusza Zabłockiego – Gwasza*; *Łyczaków – dzielnica za Styksem*; *Tam gdzie lwowskie śpią Orleża*; *Cmentarz Łyczakowski w fotografii*; *Twierdze kresowe Rzeczypospolitej. Historia, legendy, biografie*; *Kresowe Trójmiasto. Truskawiec-Drohobycz-Borysław*; *Lwowskie Orleża. Czyn i legenda*; *Kresowa Atlantyda*.

Leszek Ołdak – grafik, plakacista, rysownik, ilustrator i scenograf. Jego prace znajdują się m.in. w zbiorach Muzeum Karykatury w Warszawie, Muzeum Plakatu w Wilanowie, Biurze Wystaw Artystycznych w Zamościu, Archiwum Satyrykonu w Legnicy oraz w kolekcjach prywatnych w kraju i zagranicą.

Tadeusz Parcej – opolski fotografik. Zdjęcia publikował w pismach artystycznych: „Format”, „Exit”, „Sztuka”, „Dialog”, „Teatr” oraz wydawnictwach książkowych. Autor wystaw indywidualnych i zbiorowych, m.in. *Kościoty drewniane Opolszczyzny* (2007),

Album rodzinny (2009). Stały współpracownik „Indeksu”.

Dr Mariusz Patelski – adiunkt w Katedrze Biografistyki Instytutu Historii UO. Autor książek: *Generał broni Tadeusz Jordan Rozwadowski – żołnierz i dyplomata* i *Niezależne Zrzeszenie Studentów w Opolu 1980–1990* oraz ponad 100 artykułów poświęconych problematyce kresowej, historii wojskowej i dziejom najnowszym Śląska Opolskiego, publikowanych m.in. na łamach: paryskich „Zeszytów Historycznych”, „Arcanów”, „Życia”, „Studiów Śląskich”, „Sobótki”, „Stron” i „Indeksu”. Konsultant historyczny w filmach dokumentalnych pt.: *Roman Dmowski – niedokończona kariera*; *Zapomniany generał – Tadeusz Jordan Rozwadowski*; *Droga do Rzeczypospolitej*; *Kryptonim „Wichrzyciele”* i in.

Ks. dr hab. Joachim Piecuch, prof. UO – pracownik naukowy Instytutu Filozofii Uniwersytetu Opolskiego. Tematyka badań: filozofia człowieka, ontologia, fenomenologia.

Prof. dr hab. Anna Pobóg-Lenartowicz – pracownik naukowy Instytutu Historii UO. Zainteresowania naukowe: monastycyzm średniowieczny (ze szczególnym uwzględnieniem kanoników regularnych, cystersów i dominikanów), dzieje Księstwa Opolskiego (do 1532 r.), historiografia średniowieczna, nauki pomocnicze historii.

Jerzy Pośpiech – absolwent historii Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu (studia w latach 1970–1975).

Bartosz Sadliński – absolwent Uniwersytetu Opolskiego (kulturoznawstwo – licencjat oraz nauki o rodzinie – magisterium). Pracuje jako dziennikarz i redaktor w „Tygodniku Prudnickim”, prowadzi tam dział terenowy.

Dr Krzysztof Spałek – adiunkt w Samodzielnej Katedrze Biosystematyki Uniwersytetu Opolskiego. Współredagował pierwszą w Polsce regionalną *Czerwoną księgą roślin województwa opolskiego*. Jako pierwszy odkrył stanowisko paleontologiczne w Krasiejowie. Zainteresowania naukowe: fitosocjologia i geobotanika, ze szczególnym uwzględnieniem zbiorowisk roślin wodnych.

Prof. dr hab. Adam Suchoński – dydaktyk historii, wieloletni dyrektor Instytutu Historii UO (wcześniej WSP). Członek Międzynarodowego Stowarzyszenia Dydaktyków Historii, od 2002 r. – przewodniczący (ze strony polskiej) Polsko-Litewskiej Komisji Podręcznikowej.

Witold Sułek – opolski księgarz, poeta, pisarz. Autor tomu wierszy *Plantacja* oraz książki dla dzieci *Bajka o małym łosiu*. Publikował w pismach STRONY, RED, książkach zbiorowych. Animator kultury, aktor Teatru Fieter z Ozimka, w którym się urodził.

Bartosz Suwiński – poeta, krytyk literacki, doktorant filologii polskiej na Uniwersytecie Opolskim. Po-

ezję, prozę, szkice krytyczne i artykuły naukowe publikował min. w „Kresach”, „Frazie”, „Toposie”, „Polonistyce”, „Odrze”, „Śląsku”. Opublikował tom wierszy „Sehir” (2010).

Dr Jan St. Trzos – studiował filologię rosyjską w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu, obronił pracę doktorską na temat alienacji artystów w literaturze rosyjskiej epoki romantyzmu. Autor licznych esejów o tematyce malarskiej i kulturze śląskiej, kolekcjoner malarstwa i zabytkowej porcelany. Wiceprezes Zarządu Oddziału Towarzystwa Opieki nad Zabytkami.

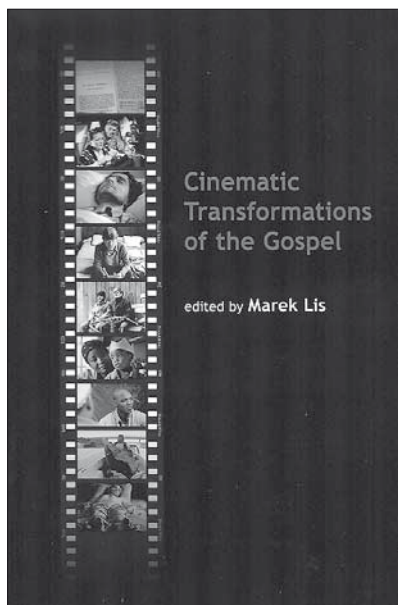
Dr Adam Wierciński – starszy wykładowca w Katedrze Literatury Polskiej (Zakład Literatury XX i XXI wieku) Instytutu Polonistyki i Kulturoznawstwa Uniwersytetu Opolskiego.

Dr hab. Aleksander Woźny – zajmuje się historią najnowszą, w tym m.in. historią wojskowości, operacjami wywiadu i kontrwywiadu oraz kwestiami bezpieczeństwa państwa. Autor licznych artykułów naukowych. Najnowsza publikacja to *Łużyce w planie dywersji polskiego wywiadu wojskowego w latach 1931–1939* (Opole 2010).

Nowości Redakcji Wydawnictw Wydziału Teologicznego UO



Lis Marek (red.), *Cinematic Transformations of the Gospel* (seria: Opolska Biblioteka Teologiczna, nr 134), Opole 2013, 198 s. cena 18,00 zł

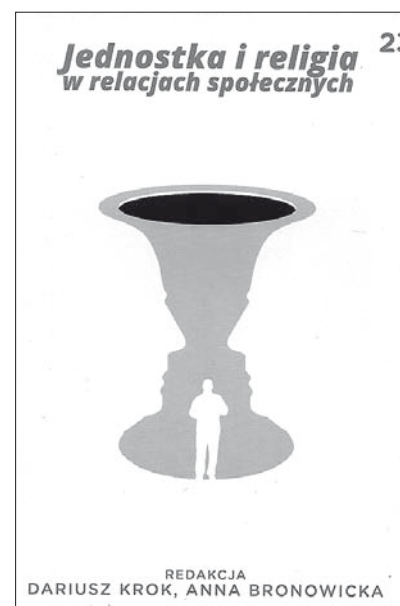


Kolejne powstające filmy potwierdzają nieustające zainteresowanie widzów i twórców: Biblia na ekranie wciąż jest atrakcyjna, podobnie jak postać Jezusa z Nazaretu. Wydana po angielsku książka jest zbiorem 13 artykułów, których autorzy – teolodzy kultury i filmu – analizują różne aspekty filmowych transformacji Ewangelii: we wprowadzeniu ks. Tadeusz Lewicki wskazuje w średniowiecznych sce-

nicznych adaptacjach tekstów biblijnych prekursorów ekranizacji, ks. Seweryn Puchała stawia pytanie o status filmu jako nowej ikony Jezusa. W pierwszej części książki (*Jezus z dalekich stron*) o. Lloyd Baugh analizuje południowoafrykański film *Syn Człowieczy* (2006), Freek L. Bakker omawia dwa filmy z Iranu – o Jezusie i Maryi, Mariola Dopartowa przygląda się wizerunkom Jezusa – bohatera filmów animowanych, ks. Peter Malone proponuje perspektywiczne spojrzenie na humorystyczne portrety Jezusa. Drugą część (*Figury... od Wschodu do Zachodu*) otwierają dwie panoramy: Irena Sever przedstawia filmowe figury Chrystusa, ks. Marek Lis odsłania obecność Jezusa i figur Chrystusa w polskim kinie. Mariola Marczak odczytuje ewangeliczne odniesienia w *Edim*, o. Marek Kotyński identyfikuje poziomy interpretacji Biblii w *Powrocie* Andrieja Zwiagincewa, ks. Andrzej Draguła rozpoznaje postać Jezusa w *Odette Toulemonde*, o. Michał Legan analizuje „trylogię mesjańską” z udziałem Willa Smitha. W zamykającym eseju teolog kultury o. Witold Kawecki stawia pytanie, czy wiara może być komunikowana przez obraz filmowy.



Krok Dariusz, Bronowicka Anna (red.), *Jednostka i religia w relacjach społecznych* (seria: Człowiek – Rodzina – Społeczeństwo, nr 23), Opole 2013, 393 s. cena 24,00 zł



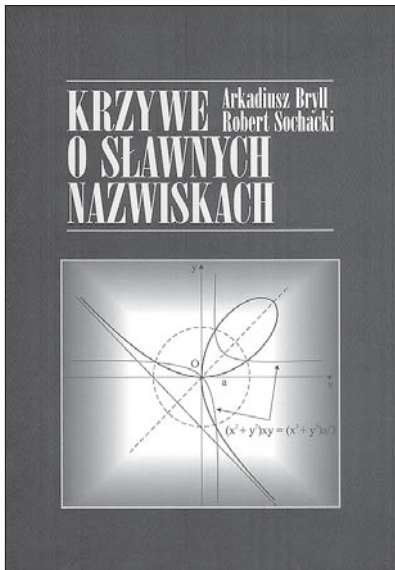
Niniejsza książka powstała z myślą o uhonorowaniu osoby i dorobku akademickiego ks. prof. Józefa Króla (1945–2011), wieloletniego wykładowcy na Wydziale Teologicznym oraz w Instytucie Psychologii na Wydziale Historyczno-Pedagogicznym Uniwersytetu Opolskiego.

Przygotował:
Piotr Juszczyszyn

Nowości Wydawnictwa Uniwersytetu Opolskiego



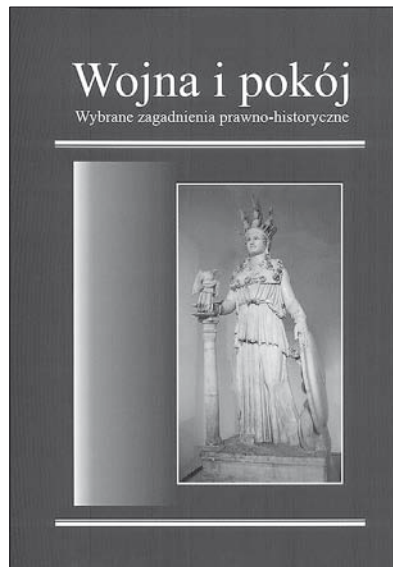
Bryll A., Sochacki R., *Krzywe o sławnych nazwiskach*, Stud. i Mon. nr 494, ISBN 978-83-7395-568-4, Opole: Wyd. UO, 2013, format B5, 118 s., oprawa miękka, cena 15,75 zł



W pracy prezentowane są różne podejścia do wybranych krzywych, które z jednej strony związane są z nazwiskami słynnych uczonych z różnych epok, a z drugiej strony, pozwalają na rozwiązanie wielkich problemów starożytności (problemów delijskich). Różnorodne, nieskuteczne, próby rozwiązania problemów delijskich oraz konstrukcji dowolnych wielokątów foremnych (m.in. za pomocą środków klasycznych, zwanych też konstrukcjami platońskimi) doprowadziły starożytnych Greków do odkrycia i zbadania niektórych krzywych oraz zbudowania odpowiednich przyrządów konstrukcyjnych. Wiele z tych krzywych ma także zastosowanie w technice. Książka jest adresowana do szerokiego kręgu odbiorców: studentów kierunków ścisłych, nauczycieli matematyki, uczniów uzdolnionych matematycznie, a także do osób zajmujących się historią i filozofią matematyki.



Kozerska E., Sadowski P., Szymański A. (red. nauk.), *Wojna i pokój. Wybrane zagadnienia prawno-historyczne*, ISBN 978-83-7395-570-7, Opole: Wyd. UO, 2013, format B, 402 s., oprawa miękka, cena 34,65 zł

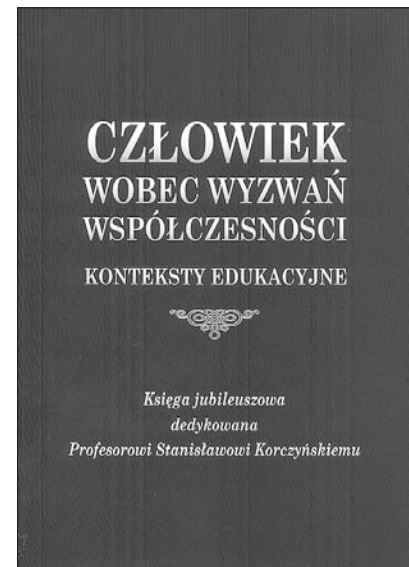


Tak w starożytności, jak i współcześnie wojna i pokój rzutowały na szczęśliwość poszczególnych społeczeństw czy jednostek. Starożytni Rzymianie postrzegali te rzeczywistości w odniesieniu do kultu bogów. Już w I w. p.n.e. polityk i historyk Salustiusz w *Wojnie z Jugurtą* pisał, że „zgodą rosną małe sprawy, niezgodą największe się rozpadają”. Dzisiaj kwestiami wojny i pokoju zajmuje się przede wszystkim prawo międzynarodowe. Jednak już w starożytności istniały instytucje, które przyczyniały się do humanizowania ówczesnych stosunków ogólnoludzkich. Stosunki między różnymi narodami można postrzegać jako konglomerat prowadzenia wojen i zawierania przymierzy. W 28 artykułach specjaliści przede wszystkim prawa rzymskiego, historii prawa, doktryn polityczno-prawnych przedstawiają wybrane kwestie prawno-historyczne dotyczące wojny i pokoju w różnych epo-

kach. Książka jest adresowana do osób, którym nie obce są rozważania nad rzeczywistością wojny i pokoju, zwłaszcza historyków prawa, romanistów, specjalistów doktryn polityczno-prawnych, historyków, politologów, socjologów czy teologów.



Krasnodębska A., Konieczna E. J., (red. nauk.), *Człowiek wobec wyzwań współczesności. Konteksty edukacyjne. Księga jubileuszowa dedykowana Profesorowi Stanisławowi Korczyńskiemu*, ISBN 978-83-7395-560-8, Opole: Wyd. UO, 2013, format B5, 256 s., oprawa miękka, cena 22,05 zł



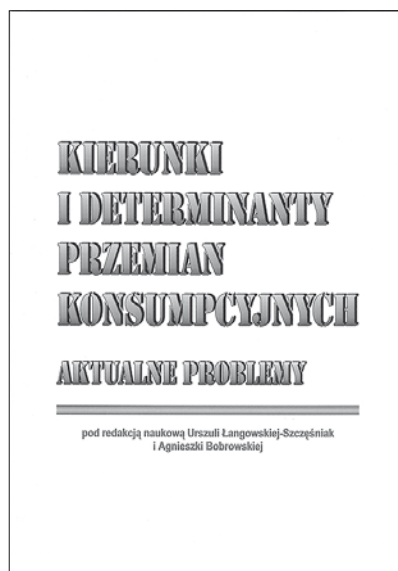
Zamieszczone w pracy teksty traktują o ważnych wartościach życia współczesnego człowieka: o jego funkcjonowaniu w rodzinie, pracy, szkole. Ukazują rolę rodzica, nauczyciela oraz innych podmiotów wychowawczych, podkreślając znaczenie ich umiejętności, kompetencji i sposobu organizacji procesu edukacyjnego. Autorzy, pisząc o problemach człowieka, dostrzegają aktualne i historyczne zależności społeczno-kulturowe. Poruszane są między innymi problemy migracji zarobkowej rodziców, niepełnosprawności osób i

Nowości Wydawnictwa Uniwersytetu Opolskiego

wielu istotnych zjawisk w obszarze edukacji i instytucji oświatowych. Praca adresowana jest do studentów, nauczycieli i wszystkich osób, którym nie są obojętne problemy życia codziennego współczesnego człowieka.



Langowska-Szczęśniak U., Bobrowska A. (red. nauk.), *Kierunki i determinanty przemian konsumpcyj. Aktualne problemy*, ISBN 978-83-7395-567-7, Opole: Wyd. UO, 2013, format B5, 208 s., oprawa miękka, cena 17,85 zł



Publikacja zawiera opracowania poświęcone w szczególności ekonomii behawioralnej oraz powiązane z tym nurtem szczegółowe rozważania dotyczące zachowań konsumentów determinowanych różnymi czynnikami. Ze względu na dużą wagę we współczesnej gospodarce, część opracowań dotyczy zagadnień finansowania konsumpcji.

Praca jest adresowana do pracowników naukowych i studentów.



Machelski Z. (red. nauk.), *Demokracja polska na początku drugiej dekady XXI wieku*, ISBN 978-83-7395-576-9, Opole: Wyd. UO,

2013, format B5, 242 s., oprawa miękka, cena 21,00 zł



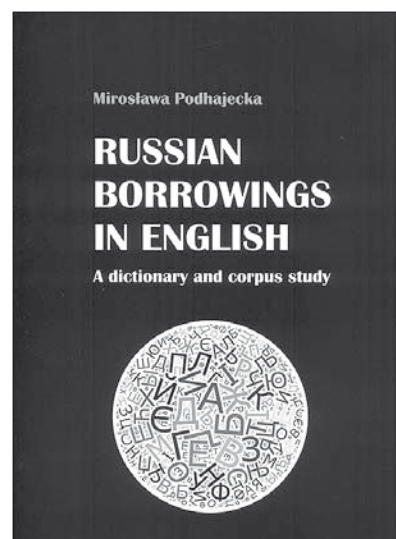
Przez szereg lat obowiązywał w Polsce uproszczony schemat interpretacyjny polegający na niepisaniu źle o demokracji III RP, ponieważ wszystko, co zostało dokonane w niedalekiej przeszłości, było albo mądre, albo nieuniknione. Nadużywano naukowych pojęć i terminologii albo korzystano z teorii oraz koncepcji całkowicie w oderwaniu od politycznego kontekstu. Autorzy pracy zrywają z tego rodzaju podejściem. Prezentując różne szkoły myślenia o polityce, weryfikują hipotezę o fasadowości demokracji III RP. W odróżnieniu od studiów prowadzonych przez przedstawicieli nauk prawnych, gdzie badacze ograniczają analizę systemów politycznych do zmian konstytucyjno-ustrojowych, książka przedstawia obraz polskiej demokracji odległy od utartych opinii. Pokazuje, że demokracja nie jest panaceum na wszystkie ludzkie problemy. Nie zawsze jednak dokładamy należytych starań, by ją ulepszać, poddawać stałej krytyce połączonej z zabiegami o jej umocnienie.

Praca adresowana jest do studentów nauk humanistycznych, społecznych i prawnych, jak rów-

nież do polityków oraz działaczy partyjnych – do wszystkich, którzy są przekonani o potrzebie uzyskiwania zgody drogą swobodnej dyskusji.



Podhajecka M., *Russian borrowings in English. A dictionary and corpus study*, Stud. i Mon. nr 497, ISBN 978-83-7395-581-3, Opole: Wyd. UO, 2013, format B5, 292 s., oprawa miękka, cena 28,35 zł



Niniejsza książka omawia założeń rosyjskie odnotowane w tekstach angielskich od połowy XVI po koniec XX wieku. Stanowi ona pierwsze szeroko zakrojone opracowanie wpływów rosyjskich, do tej pory marginalizowanych w literaturze, obejmujące dwie zasadnicze części. Część pierwsza wprowadza metodologię badawczą, nakreśla historię stosunków anglo-rosyjskich i rosyjsko- amerykańskich oraz zawiera analizę źródeł, natomiast część druga zapewnia wgląd w obszerny materiał dokumentacyjny. Jak wynika z przeprowadzonych badań słownikowo-korpusowych, wiele pożyczek funkcjonuje w rosyjskich kontekstach kulturowych, niemniej jednak wpływ leksyki rosyjskiej na angielszczyznę – zarówno w ujęciu diachronicznym, jak i synchronicz-

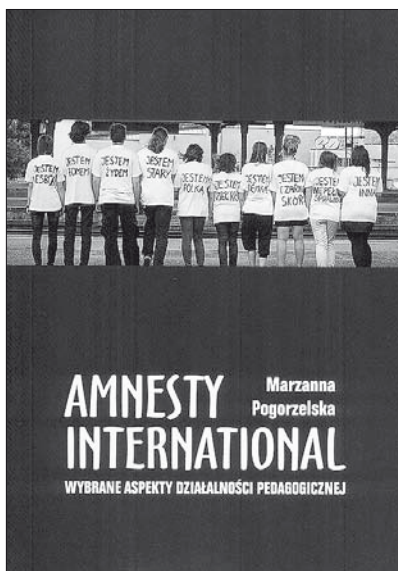
Nowości Wydawnictwa Uniwersytetu Opolskiego

nym – należy uznać za dość znaczący.

Książka jest adresowana do studentów filologii, językoznawców i leksykografów, ale także do wszystkich czytelników zainteresowanych etymologią, badaniem słowników i problematyką kontaktów językowych.



Pogorzelska M., *Amnesty International – wybrane aspekty działalności pedagogicznej*, Stud. i Mon. nr 498, ISBN 978-83-7395-584-4, Opole: Wyd. UO, 2013, 176 s., oprawa miękka, cena 17,85 zł



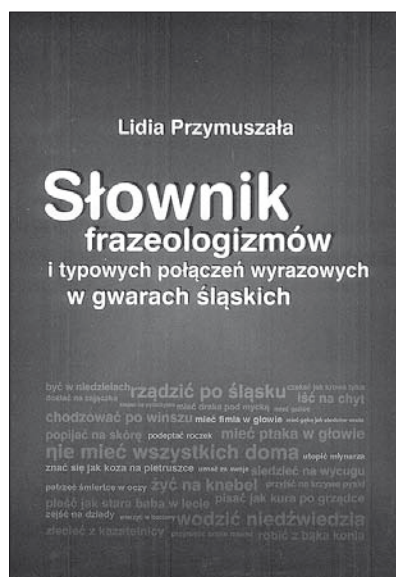
Publikacja przybliży działalność jednej z największych światowych organizacji praw człowieka – Amnesty International. W pracy skupiono się na genezie organizacji, jej ewolucji i tych działaniach, które łączą się z aspektem pedagogicznym: kampaniach na rzecz dzieci oraz edukacji praw człowieka. Jedną z części pracy poświęcono rozwojowi polskiej struktury Amnesty International z zaznaczeniem wątku edukacyjnego w jej działalności.

Praca jest adresowana do działaczy/działaczek organizacji pozarządowych, nauczycieli/nauczycielek, studentów/studentek

kierunków pedagogicznych i innych z zakresu nauk społecznych.



Przymuszała L., *Słownik frazeologizmów i typowych połączeń wyrazowych w gwarach śląskich*, ISBN 978-83-7395-566-0, Opole: Wyd. UO, 2013, format B5, 504 s., oprawa twarda, cena 68,25 zł



Praca wpisuje się w nurt badań dotyczących frazeologii gwarowej – stosunkowo młodej dziedziny badawczej, uprawianej przez wąskie grono badaczy i reprezentowanej przez niezbyt liczne teksty. Jest to praca w pełni naukowa, opracowana na podstawie najnowszych metodologii leksykograficznych. Gromadzi blisko 7 tysięcy związków frazeologicznych wyekscerpowanych z kartoteki *Słownika gwar śląskich* (red. B. Wyderka). W większości jest to materiał zebrany w terenie, a także pochodzący z rękopiśmiennych i drukowanych źródeł dialektologicznych i etnograficznych oraz tekstów folklorystycznych. Zakres czasowy materiału to wiek XX, częściowo także koniec wieku XIX – a zatem, obok związków współczesnych, słownik rejestruje również frazeologizmy rzadkie, dziś już niespotykane, odchodzące do językowego lamusa.

Z uwagi na swą zawartość słownik jest skarbnicą nie tylko językowego, ale też kulturowego bogactwa Śląska.

Słownik frazeologizmów i typowych połączeń wyrazowych w gwarach śląskich w swoim założeniu nie jest słownikiem dyferencyjnym (jak większość słowników gwarowych), lecz rejestruje ogół gwarowych związków frazeologicznych z obszaru Śląska.

Ma on charakter dokumentacyjny i otwiera szerokie możliwości dalszych badań. Może służyć badaniom porównawczym frazeologii śląskiej z frazeologią innych gwar i języka ogólnego. Na jego podstawie można badać geografie frazeologizmów, wewnętrzne zdyferencjonowanie frazeologii śląskiej – słownik daje bowiem materiał pozwalający ustalić, które frazeologizmy mają zasięg ogólnos Śląski, a które są ograniczone terenowo. Ponadto może być wykorzystywany w przyszłych badaniach diachronicznych. I wreszcie materiał słownikowy może stanowić punkt wyjścia do tworzenia większych uogólnień i syntez dotyczących frazeologii gwarowej.

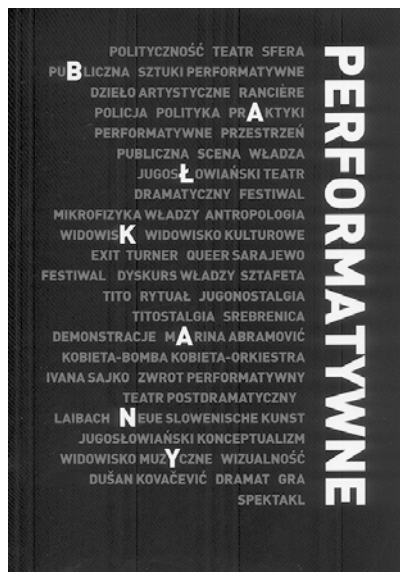
Leksykon kierowany jest przede wszystkim do językoznawców (zwłaszcza frazeologów i dialektologów), ale korzystać może z niego również każdy miłośnik gwary śląskiej.



Sztandara M., Injac G., Kuligowski W. (red. nauk.), *Balkany performatywne. Rytuał – dramat – sztuka w przestrzeni publicznej*, ISBN 978-83-7395-578-3, Opole: Wyd. UO, 2013, format B5, 206 s., cena 17,85 zł

Książka *Balkany performatywne. Rytuał – dramat – sztuka w przestrzeni publicznej* wypełnia znaczącą lukę w wiedzy na temat zjawisk kulturowych zachodzących współcześnie w krajach bałkańskich, w tym szczególnie

Nowości Wydawnictwa Uniwersytetu Opolskiego



odbiorców, którzy chcą poszerzyć swoją wiedzę o współczesny wymiar praktyk przedstawieniowych na Bałkanach.

Ponadto ukazały się:

„Opolskie Studia Administracyjno-Prawne”, XI/3/2013, (red. nauk.) W. Kaczorowski, ISSN 1731-8297, Opole: Wyd. UO,

2013, format B5, 194 s., oprawa miękka, cena 16,80 zł

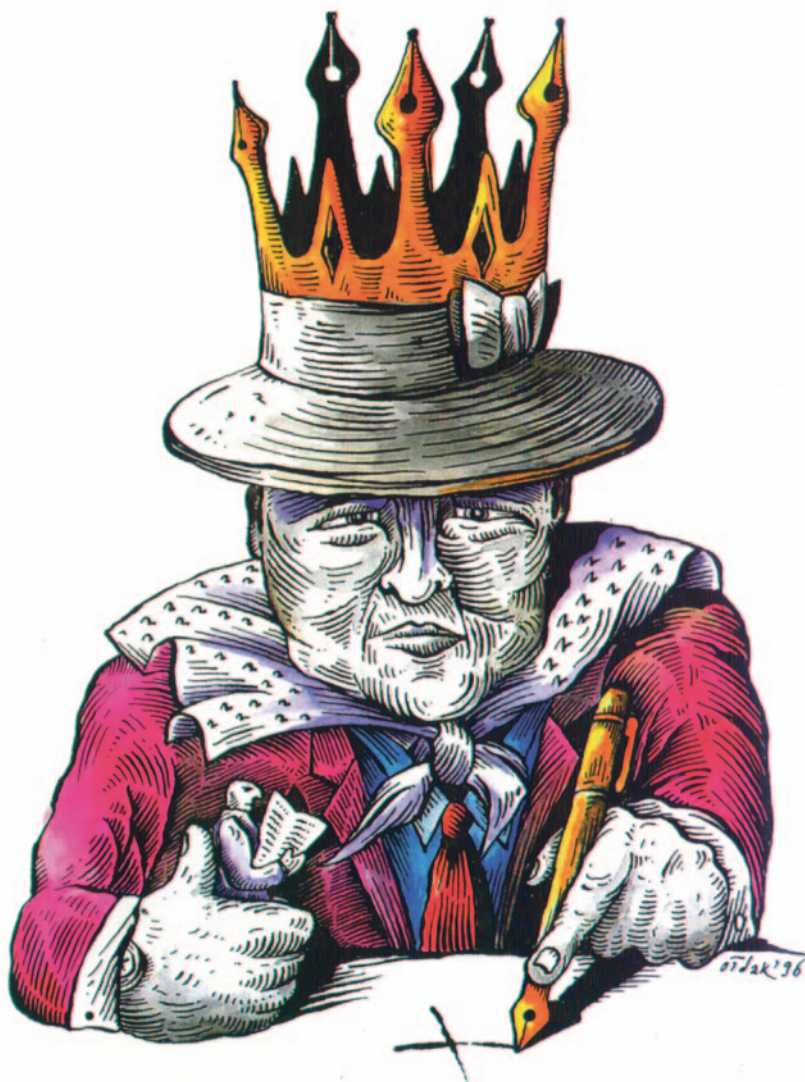
„Studia Miejskie” 2013, t. 11, (red. nauk.) J. Słodczyk, ISSN 2082-4793, Opole: Wyd. UO, 2013, format B5, 116 s., oprawa miękka, cena 10,50 zł.

Przygotowała:
Lidia Działowska

Pełna oferta Wydawnictwa Uniwersytetu Opolskiego znajduje się na stronie internetowej wydawnictwa www.wydawnictwo.uni.opole.pl tam też działa księgarnia internetowa

na temat działalności wybitnych przedstawicieli sztuk przedstawieniowych. Tom podejmuje szerokie kwestie i obszerny zbiór zjawisk: rytuał, grę, teatr, sztukę, spektakl, muzykę oraz odgrywanie ról społecznych, zawodowych i płciowych. Prezentacja owych dokonań, zjawisk i problemów zdecydowanie nie ogranicza się tylko do tematyki teatrologicznej; autorki i autorzy zbioru analizują kulturę poprzez różnorodne praktyki przedstawieniowe i performansy, ukazując całą złożoność kulturowych procesów związanych z nimi i/lub przez nie ujawnianych. Dobre autorów, uwzględnia dwie perspektywy oglądu analizowanych zjawisk, wewnętrzną i zewnętrzną, a także otwiera się ku kwestiom stawianym o istotę praktyk performatywnych, a także zdarzeń i reakcji, które one wywołują.

Książka *Balkany performatywne* wkracza na pola badań nad przedstawieniami i performansami kulturowymi oraz nad kulturą popularną. Tym samym opracowanie to oferuje szeroką, uporządkowaną i w Polsce mało znaną wiedzę o sytuacji współczesnej sztuki na obszarze Półwyspu Bałkańskiego i skierowane jest do badaczy zajmujących się tym obszarem naukowo, a także i do popularnych



Król prasy, rys. Leszek Otdak

Pomologia i Krasiejów

– wizytówki Uniwersytetu Opolskiego

W historycznej dzielnicy Pomologia w Prószkowie ma powstać centrum dydaktyczno-badawcze Uniwersytetu Opolskiego, w tym ogród botaniczny. Te plany były przedmiotem spotkania przedstawicieli uczelni z marszałkiem woj. opolskiego Andrzejem Bułą, starostą opolskim Henrykiem Lakwą i burmistrz Prószkowa Różą Malik. W Krasiejowie natomiast, w obiekcie JuraParku, obradował Senat UO. Ofertę oraz plany rozbudowy JuraParku przedstawili senatorom wiceprezes Zarządu Stowarzyszenia „Delta” Halina Kisiel i dr Andrzej Boczarowski, paleontolog, członek ekipy tworzącej krasiejowski JuraPark.



W Prószkowie. Na zdjęciu od lewej: burmistrz Róża Malik, starosta opolski Henryk Lakwa, rektor UO prof. Stanisław S. Nicieja, marszałek woj. opolskiego Andrzej Buła, koordynator budowy centrum dydaktyczno-badawczego UO prof. Arkadiusz Nowak i kanclerz UO Ewa Rurynkiewicz



Dr Andrzej Boczarowski przedstawił plany rozbudowy JuraParku

W trakcie spotkania podpisano umowę o wydzierżawieniu przez Uniwersytet Opolski pawilonu paleontologicznego w krasiejowskim JuraParku



Wyjazdowe posiedzenie Senatu UO w Krasiejowie. Na zdjęciu od lewej: prorektor UO prof. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, wiceprezes Zarządu Stowarzyszenia „Delta” Halina Kisiel, rektor UO prof. Stanisław S. Nicieja, prorektorzy: prof. Janusz Słodczyk i prof. Marek Masnyk